ROK XXIV.
Ogólnego zbioru Tom XCV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

1899.

DRUK. i LIT. JANA COTTY,
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **12**.

Druk ukończono d. 31 lipca 1899 r.

Petersburg, d. 11 lipca. Komunikat ministra Najwyższego Dworu:

W dniu 10 lipca o godz. 9 m. 35 rano w Abas-Tumanie spoczął w Bogu JEGO CESARSKA WYSOKOŚĆ NASTĘPCA TRONU CESARZEWICZ I WIELKI KSIĄŻĘ JERZY ALEKSANDROWICZ. Śmierć JEGO CESARSKIEJ WYSOKOŚCI nastąpiła wskutek nagłego i silnego krwotoku gardłem.

MANIFEST NAJWYŻSZY.

MY,

z łaski Bożéj,

MIKOŁAJ II-gi,

CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSYJSKI,

KRÓL POLSKI,

WIELKI KSIĄŻĘ FINLANDZKI,

itd. itd. itd.

Wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym:

Dnia 28-go bieżącego miesiąca czerwca, zmarł w Abas-Tumanie Ukochany Brat Nasz, Cesarzewicz Następca Tronu, Wielki Książę Jerzy Aleksandrowicz. Zdawało się, że

choroba, która dotknęła Jego Cesarską Wysokość, może ustąpić pod wpływem kuracyi i klimatu południowego, ale Bóg rozrządził inaczéj. Poddając się bez szemrania woli Bożéj, wzywamy wszystkich Naszych wiernych poddanych, aby dzielili z Nami serdeczną boleść i połączyli się w modłach gorących za spokój duszy zmarłego Brata Naszego.

Od dnia dzisiejszego, dopóki Bogu nie spodoba się pobłogosławić Nas narodzeniem Syna, najbliższe prawo następstwa Tronu Wszechrosyjskiego, na ścisłéj zasadzie prawa zasadniczego państwowego o następstwie Tronu, należy do Najukochańszego Brata Naszego, Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza.

Dan w Peterhofie, dnia 28 czerwca, roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc ośmset dziewięćdziesiątego dziewiątego, Panowania Naszego piątego.

Na oryginale własną Jego Cesarskiéj Mości ręką napisano:

MIKOŁAJ.





Nasz dorobek artystyczny.

Wracając do Paryża po chwilowym w kraju pobycie, miałem sposobność oglądać w przeciągu niespełna dni kilkunastu wystawy obrazów w Warszawie, Krakowie i pobratymczéj Pradze. Stąd tłoczyło mi się wiele uwag, wiele porównań, témbardziej, że trafiłem na chwilę bardziéj ożywioną, kiedy w warszawskim salonie Krywulta była „Sztuka", w krakowskich Sukiennicach — wystawa pośmiertna prac Kossaka Juliusza, a w Pradze — 60-ta doroczna wystawa związku artystycznego.

Z przykrością mnie, warszawiakowi, wypada wyznać, że Warszawa słabiéj w tym porównawczym przeglądzie się przedstawia. Nie powiem, żeby Kraków lub Praga zgromadziły same dzieła doskonałe, ale jakieś piękno artystyczne, jakiś wyższy, na ogół biorąc, stopień poczucia estetycznego wieje od tych wystaw na widza.

Wprawdzie na to niekorzystne wrażenie wpływa w znacznéj części ta nieodpowiedniość lokalów, jakie obie wystawy warszawskie zajmują. Lokale te są wprost niemożliwe, no i szczęściem będą podobno niedługo porzucone. Lokal Krywulta w hotelu Europejskim jest niżéj wszelkiéj krytyki. Żadnego obrazu nie można powiesić tak, żeby światło miał dobre i żeby się można było należycie odeń odsunąć. Przy téj ciasnocie i egipskie ciemności panują tam, szczególniéj w pochmurne dnie zimowe, więc winszujemy panu Krywultowi decyzyi porzucenia téj siedziby. Towarzystwo Zachę-

ty Sztuk Pięknych, siedzące też na komornem i pod grozą znalezienia się na bruku, łata biedę jak może, aby jako tako przeczekać aż do chwili przeniesienia się do własnego gmachu. Skutkiem tego ani jedna ani druga wystawa, mimo najlepszych chęci zarządu, nie może być urządzona odpowiednio. Są to raczéj składy sklepowe obrazów zawieszonych, gdzie się da i jak się da, niż wystawy artystycznie obmyślone.

Inna jest jednak cecha odczuwająca się na wystawach warszawskich, a nie mająca nic wspólnego ze złemi warunkami wystawienia: jest nią brak wrażliwości estetycznéj u wielu autorów obrazów. Obrazy ich są narysowane i malowane względnie poprawnie, ale to takie jakieś surowe w sharmonizowaniu barw, takie pospolite, trywialne nieraz w pomyśle, tak się tam kłóci wszystko ze sobą: barwy, linie i plastyka, że na widzu subtelniejszym robi to podobne wrażenie jak papuzie stroje, w jakich się delektują nasze wiejskie dziewczyny.

Natura posiada niezmiernie bogate barwy, które skąpane w świetlanéj atmosferze, nigdy dość świetnie nie mogą być przez malarza powtórzone. Lecz w téj jaskrawości barw panuje harmonia dzięki jednemu i temu samemu źródłu oświetlenia, które przesycając całe powietrze, kładzie na każdy przedmiot jakąś patynę artystyczną, harmonizującą go z otoczeniem.

Na takiém tle lokalném zjawienie się wystawy „Sztuki" musiało zrobić bardzo dodatnie wrażenie. Pod nazwą „Sztuka" utworzyło się kółko artystów krakowskich, lwowskich i warszawskich, pragnących śród szarzyzny naszéj tuzinkowéj i na sprzedaż obliczonéj produkcyi zaznaczyć się idealniejszym prądem. Tworzyć i wykonywać dla wewnętrznéj potrzeby tworzenia, nie myśląc o ułatwieniu sobie zbytu, służyć pięknu i sztuce, nie zaś napchanéj kiesie pseudo-mecenasów sztuki: oto zdaje się, że są takie główne przyczyny wytworzenia się tego zamkniętego kółka artystów, które przybrało nazwę „Sztuki".

Wystąpiła ona z drugą swoją wystawą. Pierwszéj, nie będąc w kraju, nie widziałem, a więc porównań robić nie mogę. Powiadają, że pierwsza była lepsza, a że druga zgromadziła głównie dorywcze notaty i szkice. Gdyby i tak było, to niechby tylko te notatki posiadały piętno talentu i cechy prawdy, a wystarczyłoby to dla uczynienia wystawy interesującą. Publiczność nasza, jak zresztą prawie każda, jest zmanierowana na punkcie pojęcia o „wykończeniu" obrazu. Żeby obraz zasłużył u niéj na miano „skończonego", musi być zamalowany starannie od brzegu do brzegu, że tak powiem, zaciągnięty farbą równo jak posadzka. Umyślnie szeroko traktowane

tło na portrecie, lub tylko z lekka przetarte farbą płótno, wywołuje ocenę, że obraz ten jest niedokończony i że artysta lekceważy publiczność. Cóżby taka publiczność powiedziała o znakomitych portretach Bonnat'a, gdzie tło zwykle jest tylko podmalowane jednobarwnie szerokiemi sztrychami, przypominającemi sztrychy węgla? Cóżby powiedziała na przepyszne pejzaże nocne Thaulowa, gdzie cały obraz jest tylko przecierany rzadką farbą, a jaśniejsze miejsca, np. białe obłoki, zrobione są za pomocą wprost starcia farby i ukazania białego płótna? Te arcydzieła uchodziłyby zapewne za prace niedokończone.

Naodwrót, obrazy nędzne, ale tak wypracowane, że ta praca i wysiłki tkwią na powierzchni płótna, budząc odrazę u ludzi mających jakieś poczucie subtelniejsze, takie obrazy, nie posiadające ani tonu, ani harmonii barw, brudne, czarne, koszlawe, nieartystyczne- są przyjmowane przychylnie i noszą nazwę „skończonych“.

Również co do treści pewne tematy noszą nazwę szkiców lub studyów, bez względu na sumę włożonéj pracy i interesu malarskiego jaki sobą obudzają.

Często to, co nazywamy pospolicie szkicem lub studyum, nietylko posiada wiele interesu dla znawców, ale i dla szerszéj publiczności jest bardziéj pouczającém, niż niejeden obraz z całą swą pretensyą do kompozycyi i wykończenia.

Naprzykład szereg studyów, na których widzimy ten sam bezpretensyonalny kawałek natury, ale przybierający coraz to inne barwy i efekt z powodu rozmaitego oświetlenia, różnych momentów dnia, pór roku, stanu atmosfery..., o wieleż lepiéj uczy publiczność dostrzegać i odróżniać te najrozmaitsze fazy kalejdoskopowo zmiennéj natury, niż jeden pojedyńczy obraz, w którym jest przedstawiony tylko jeden z takich momentów i gdzie w dodatku uwaga widza odciągnięta jest jakąś kompozycyą, jakiemiś figurkami, których zadaniem ma być niby „ożywienie” tego pejzażu i uczynienie go bardziéj sprzedażnym.

Natura żyje sama przez się i nie potrzebuje „ożywiania” przez anegdotyczne zestawianie na jéj tle figurek. Na takim szeregu obrazów, o zmieniających się barwach i oświetleniach, widz uczy się zdawać sobie sprawę z tych różnic, ma je bowiem zgromadzone obok siebie i może robić porównania, gdy w naturze albo niedostatecznie te różnice dostrzegał, albo wiedząc o ich istnieniu, nie umiał sobie zdać sprawy na czém polegają. Tymczasem szereg takich studyów uczy go późniéj dostrzegać te same cechy i w naturze. Artysta na takich studyach uczy niezmiernie widzów, ale maluje je nie

w tym celu, lecz dla własnéj potrzeby wyładowania swego wirtuozostwa i dla własnych badań.

Więc wszystko ma racyę bytu na wystawie: zarówno szkic i studyum jak obraz, byleby nosiło jedno i to samo piętno — piętno dobrego wykonania i sumiennéj obserwacyi, popartéj talentem. Na odwrót, szkic nieudany, jak i zły obraz, nie powinny nigdy szpecić ścian wystawy i psuć gustu publiczności.

Z tego punktu widziana wystawa „Sztuki" u Krywulta robi bardzo dodatnie wrażenie. Gromadzi ona zarówno prace większe o szerszém założeniu, jak i drobniejsze studya równie artystyczną cechę noszące.

Mamy tu przedewszystkiém szereg cały portretów lub studyów portretowych.

Augustynowicz Aleksander dał portret p. Cz., który był bardzo dobry, gdyby nie jakiś fałszywy skrót nóg, czyniący, że model zupełnie nie siedzi na fotelu. Tenże artysta jednocześnie wystawił w Zachęcie Sztuk Pięknych „Portret damy" i „Portret damy wiekowéj"; obydwa doskonałe, plastyczne, żywe i dobrze skombinowane.

Aksentowicza Teodora szereg główek pastelowych ma dużo wdzięku, lekkości, ale mniéj duszy i prawdy.

Boznańska Olga w „portrecie pana W." wyraziła to, o czém wielu nawet bardzo utalentowanych artystów, choć wie, jednak zdaje się w pracach swych ignorować, a mianowicie, że kontur i rysunek są to rzeczy niezbędne dla stworzenia każdéj pracy malarskiéj, ale w rzeczywistości one nie istnieją. Malując realistycznie, trzeba więc się niemi posługiwać, ale nie pozwolić im rozpościerać się w widoczny sposób na obrazie. W przeciwnym razie obraz stanie się pokolorowanym rysunkiem.

Najzupełniéj błędném, a niezmiernie rozpowszechnioném jest mniemanie, że widzimy w naturze i barwy i kształty.

Prosta logika nam przypomina, że zmysł wzroku — może odczuwać tylko barwy, kształty zaś podpadają pod inny zmysł, — zmysł dotyku. Jeśli odgadujemy kształty za pomocą wzroku, to tylko dzięki barwom. Kształt bez odrębności barwnéj przepada dla wzroku, a barwa zawsze jest dlań dostrzegalną, bez względu jakie kształty przybierze.

Naturę więc widzimy nie pod postacią form i kształtów, ale pod postacią zbiorowiska plam barwnych.

Oto przykład: gdy nam upadnie szpilka ze szklanym łebkiem zielonym na tło również zielone, np. na dywan lub trawnik, wówczas

nie możemy jéj z łatwością odszukać. Gdyby jednak łebek był czerwony, od pierwszéj chwili by się nam rzuciła w oczy. Poszukiwania by jednak bynajmniéj nam nie ułatwiła zmiana kształtu łebka. Czy on jest kanciasty, czy kulisty, czy téż podługowaty, to trudność pozostanie taka sama, o ile barwa łebka jest zbliżona do barwy tła. Któż z nas nie pamięta z dzieciństwa, że łatwiéj nam było, siedząc na drzewie, wyzbierać wszystkie wiśnie czerwone, niż wszystkie jabłka i gruszki zielone, lub orzechy włoskie w łupinach. Łatwiéj zrywać gronka porzeczek, niż duże ziarna agrestu zielonego, a to tylko z tego powodu, że gruszki, jabłka, orzechy i agrest, mimo że większe od wiśni i porzeczek, jednak ginęły dla naszego oka śród podobnéj zieleni liści. Jeśli odczuwamy wzrokiem kształt, to dzięki tylko wyrobionemu doświadczeniu, że na przedmiocie, który zmysł dotyku uznaje np. za kulisty, światło się rozkłada w ten a nie w inny sposób. Stąd powstaje ustopniowanie oświetlenia, czyli cieniowanie się przedmiotu. Ale to cieniowanie się przedmiotów nie jest niczém inném, tylko zmienianiem się barwy pod wpływem rozmaitéj siły oświetlenia, refleksów i t. p. Przedmiot tak w świetle jak i w cieniu jest pewnéj barwy, i widzimy go tylko dzięki téj barwie. Gdybyśmy widzieli kształty i linie, tobyśmy mogli malować przedmioty białe na takiém samém tle białém, zielone na zieloném i t. p., bez obawy, że te przedmioty zatrą się dla oka widza. Jeśli dbamy o harmonijne kontrasty i umieszczamy przedmioty jasne na tle ciemném, a ciemne na jasném, ciepłe na tle zimném, a zimne na ciepłém, jeśli staramy się o zestawienie różnych barw podnoszących się w kontrastowości przez sąsiedztwo, to dla tego, że artysta oddziaływać może na wzrok widza jedynie za pomocą barwy, i forma, jeśli staje się dostrzegalną, te téż dzięki barwie.

Boznańska więc, wyznając zdaje się tę zasadę, a raczéj prawo, przedstawia naturę jako zbiór plam barwnych. Dobre rozmieszczenie każdéj plamy barwnéj dowodzi umiejętności rysunku, który jednak powinien w obrazie znikać zupełnie, tak jak znika rusztowanie po wybudowaniu domu, mimo że było niezbędne do jego postawienia.

Wyczółkowskiego Leona portrety są pełne życia, siły i brawury wykonania, co jednak nie przeszkadza postawieniu zapytania, dlaczego jeden z nich, mówiąc nawiasem, wyborny, jest malowany na samym brzegu obrazu, z zostawieniem wielkiéj pustéj przestrzeni po za plecami modelu, która jakby oczekiwała na umieszczenie tam jednéj lub kilku nowych figur? Napróżno szukałem wytłómaczenia, gdyż nie mogłem tego uważać za chęć wyrażenia ruchu dla pokaza-

nia, że ten pan idzie i już zostawił pewną przestrzeń po za sobą. Przedewszystkiém ruch i przebywanie przestrzeni wyraża się w układzie figury, postać tymczasem mężczyzny robi wrażenie stojącéj na miejscu i pozującéj z dużą nawet dozą królewskości teatralnéj.

Wyobrazić sobie, że w takiéj pretensyonalnéj pozie i ze zwróconą w bok głową ktoś przebywa przestrzeń, byłoby wprost niemożliwém. Musiałem więc odrzucić to przypuszczenie, a innego niestety, oprócz kaprysu artysty, nie znalazłem.

Jak wybornie można wyrazić ruch postaci, bez zostawiania na obrazie po za nią niby przebytéj pustéj przestrzeni, może za dowód służyć z zeszłorocznego salonu paryskiego obraz Burnanda, p. t. „Uczniowie Piotr i Jan biegnący do grobu w dzień Zmartwychwstania". Ten bieg jest wybornie wyrażony, mimo, że postacie są pośrodku obrazu i, co ważniejsza, mimo że są przedstawione tylko do połowy figur.

Mówiąc o portretach, nie mógłbym nie wymienić znakomitéj pracy Pankiewicza Józefa. Przedstawia ona wnętrze przy oświetleniu lampy z abażurem, która jednak jest po za ramą obrazu. W oświetleniu tém wybornie z tła występuje śliczna figurka biała kilkoletniéj dziewczynki, wdzięczącéj się po dziecinnemu do widza. Ciemna sylwetka damy siedzącéj odgrywa rolę dodatkową i drugorzędną, mimo że znajduje się na bliższym planie, a to w skutek tego, że się rozpływa w ciemném tle, gdy cała siła światła lampy skierowana jest na dziecko.

Portret ten przedewszystkiém cechuje niezmierna prawda i odczucie charakteru wieczornego oświetlenia lampy, które jest oddane ze wszystkiemi jego cechami.

Któż nie pamięta najrozmaitszych faz działalności Pankiewicza? Zaczyna on swą karyerę pod wpływem Gerymskiego, niezmiernie sumiennemi, realistycznie pojętemi scenami z życia warszawskiego, następnie w Paryżu staje się zapalonym zwolennikiem impresyonistycznego wibryzmu, malując cętkami barw surowych, co sprowadza nań gromy krytyków warszawskich i śmiech publiczności, a co czyni go coraz zawziętszym w obranym kierunku i coraz bardziéj krańcowym. Następnie wracając do spokojniejszéj techniki, zaczyna szukać efektów wyjątkowych, często wyobrażających noc, oświetlenie księżyca i t. p., i znów dają się słyszéć głosy, że jego obrazy, jak były zbiorowiskiem jaskrawych plamek, tak teraz są jedną wielką czarną plamą na któréj się nic nie widzi i z któréj nic zrozumiéć nie można. Nie będę tu dowodził, o ile takie zdania były bezpodstawne. Dziś zdaje się Pankiewicz jakoby wracał do tego

miejsca, z którego rozpoczął swą karyerę, lecz o ile doskonalszy i subtelniejszy! Ta zmienność kierunków — to jest właśnie dowód prawdziwego talentu, który zmusza artystę do nieuniknionego badania, do ciągłego niezadowolenia z otrzymanych rezultatów i do rzucania jednych dróg, aby szukać drugich. Aby tylko artysta robił to z głębokiego przekonania, to przerzucanie się takie od kierunku do kierunku tylko na wydoskonalenie się talentu wpływa. Nie jest to rzemieślnik, szczęśliwy że znalazł sposobik podobający się publiczności, ale artysta wiecznie ze siebie niezadowolony, ciągle pragnący znaleźć coś lepszego i doskonalszego.

Mówiąc o przerzucaniu się z jednego kierunku do drugiego, odrazu się nasuwa na myśl działalność Chełmońskiego. Wielki jego obraz p. t. „Czwórka", malowany jest przed ośmnastu laty. Jakaż zmiana w pojęciach artysty i w zapatrywaniu się na naturę!

Zapominając o tym obrazie, jako o obrazie, i uważając go jako olbrzymią rysunkową ilustracyę, trzeba się zachwycać niezmierną siłą pędzenia téj czwórki wprost na widza i wielką plastyką w modelacyi, ale gdzie się zaczyna barwa, tam tak nas Chełmoński zepsuł swemi późniejszemi obrazami, pełnemi powietrza i koloru, że to wielkie płótno malowane na manierę monachijską, budzi zapytanie, dlaczego artysta dał to na wystawę „Sztuki", która zapewne ma za zadanie dawać prace ostatnie, wyrażające to, co artysta t e r a z czuje i do czego t e r a z dąży? Chełmoński dziś nie namalowałby w ten sposób téj „Czwórki", a gdyby ją umyślnie postarał się tak namalować, toby był w niezgodzie ze sobą samym. Obraz jest aktem wiary artystycznéj malarza, jakżeż więc za ten akt podawać to, w co się już nie wierzy?

Dla nas artystów, znających naszą sztukę, było bardzo ciekawém zobaczyć lub przypomnieć sobie dawniejszą pracę Chełmońskiego — pracę, która ma duże zalety. Obraz ten widziałem obecnie po raz pierwszy, a rzuciwszy tylko okiem, przedewszystkiém zacząłem szukać na nim daty, tak ten obraz kłócił się z pojęciem, jakie sobie wyrobiłem o obecnéj technice Chełmońskiego. Zapewniwszy się, że to rzecz dawna, mogłem się już spokojnie dziełu przypatrywać i nad ewolucyą talentu artysty zastanawiać. Ale ta szersza publiczność, która za sztuką nie śledzi, która daty się nie doszukuje, jest w błąd wprowadzana, biorąc ten obraz logicznie za jedno z ostatnich dzieł Chełmońskiego. O ile obraz ten powinienby figurować na zbiorowéj wystawie prac tego artysty, o tyle dziwi na d o r o c z n é j wystawie „Sztuki".

Mehoffer Józef, artysta z niezaprzeczonym talentem, dał prac wiele, może za wiele w stosunku do wartości w nie włożonéj. Jeśli Stanisławski Jan dał drobne studya i notaty, których wystawienie ogółowi sprawozdawców się nie podobało, a które uważam za mające równe prawo do wystawienia co dziesięcio-metrowe płótna, gdyż zawierają pewną całość dającą widzowi pewien skończony rezultat obserwacyi artysty, to większość szkiców Mehoffera jest tak traktowaną, że nie robi wrażenia kompletnego zanotowania odebranego wrażenia. W technice również jakby silenie się na twardość i brutalność drażni u artysty, który zdobywał się na nierównie lepsze rezultaty. Najlepszym bez zaprzeczenia jest portret p. K., gdzie artysta właśnie dał to, czego od niego ma prawo widz wymagać: pełność odebranego wrażenia. Kilka typów téż jest ciekawie zanotowanych.

Bruzdowicz Franciszek namalował doskonały w tonie „Cmentarz". Po za staremi drzewami widać sylwetkę drewnianéj kapliczki na tle złotego nieba wieczornego. Nastrój melancholijny gasnącego dnia, żółtéj jesieni i starego zaniedbanego cmentarza łączą się z sobą wybornie.

Laszczki Konstantego jest ciekawa w przeprowadzeniu stylowém głowa w rzeźbie „Średniowiecznéj".

Malczewskiego Jacka „Chimera" i „Narcyz" wyborne w niektórych szczegółach, są być może zbyt zawikłane w treści symbolicznéj, do zrozumienia któréj, choć już tytuł znacznie ułatwia drogę, jednak mimo to jeszcze trzeba przeprowadzić cały szereg kombinacyi myślowych, żeby wniknąć i w idee obrazów i intencye autora.

Artysta chciał przez nie powiedzieć: 1) że artysta jest doprowadzony do rozpaczy przekonaniem, że nigdy nie będzie w stanie wyrazić tego wszystkiego, co duszę jego przepełnia, i tak jak czuje, i dla tego te pragnienia są jego „Chimerą", która go dręczy; 2) że artysta spotyka na swéj drodze straszną pokusę, a jest nią uwielbienie dla siebie samego i swych dzieł, które go zaślepia i rozwój talentu wstrzymuje. Symbolem tego krańcowego uwielbienia jest mitologiczna postać „Narcyza", zamieniona następnie w kwiat tegoż nazwiska. Te dwie ostateczności: wątpienie o wszystkiém i samouwielbienie czyhają na przemian, aby zgubić artystę. Psychologiczne oddanie cierpień artysty z powodu tych dwóch demonów, które go przez całe życie goryczą poją, oddał Malczewski bardzo subtelnie, ale komponując, zapomniał, że symbolistyka tém jest wspanialsza, im jest prostsza i tak zrozumiała dla każdego, żeby dwóch wersyi i tłómaczeń nadać jéj niepodobna było.

Ślewińskiego Władysława jest kilka pejzażów morskich, posiadających wielką siłę ton, otrzymaną środkami niezmiernie prostemi. Wejssa Wojciecha „Melancholik” jest doskonałym portretem psychologicznym.

Na zakończenie wspomnę o „Kantyczkach” Tetmajera Włodzimierza. Różnych się zdań o nich nasłuchałem tak od publiczności, jak i artystów. Krytyka też im łatkę przypięła. Dla mnie tymczasem jest to obraz posiadający wielkie zalety, ale wystawiony w tak nieodpowiedni sposób, że zalety te robią na ogóle wrażenie wad.

Dość sporych rozmiarów obraz przedstawia izbę wiejską, oświetloną prawdopodobnie małą lampką, którą zasłania sobą pierwszoplanowa postać. Pod ścianą ława z szeregiem siedzących dziewuch, a pośrodku izby stoi stary włościanin i śpiéw prowadzi. Typy ludowe Tetmajera są zawsze wierne i prawdziwe. W tym obrazie chodziło mu o przesycenie obrazu światłem lampki bez klosza, która rzuca na otoczenie światło ostre, kontrastowe, przy którém półtony nikną, refleksów brak, a przedmioty są częścią skąpane w świetle żółtawém, częścią pogrążone w atramentowéj ciemności. Tetmajer z zadania tego wywiązał się doskonale, tylko, żeby należyte wrażenie odebrać, trzebaby na obraz patrzyć z właściwego oddalenia, jakiego wymagają rozmiary obrazu i technika, oparta w niektórych szczegółach na zestawieniu barw impresyonistyczném. Niestety, obraz wisi w takim zakątku, że widz zamiast 15-tu lub 20-stu kroków może tylko odstąpić o trzy kroki, cóż więc dziwnego, że widzi się wszystko: ramy, podpis, grubość płótna, oddzielne smugi farby, ale się nie widzi najważniejszego, t. j. ogólnego tonu, i nie odbiéra się właściwego wrażenia.

*

* *

W Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych równie ciasno i tłoczno, jak na wystawie Krywulta. Tyczy się to jednak tylko obrazów, bo co do publiczności, to ta coraz bardziéj wystawy nasze zaniedbuje. W pewnéj części winien temu znaczny odłam naszéj krytyki, który zamiast budzić w publiczności zamiłowanie do sztuki i zainteresowanie się nią, to uważa za swój święty obowiązek wartość wszystkiego obniżać, wytykać co najsłabsze, słusznie lub niesłusznie artystom łatki przypinać, jedném słowem, używając wyrażenia z „Nowego dziennika” babrać wszystko i wszystkich. Takie

krytyki, pisane przez płytszych lub zaawanturowanych krytyków, bawią tylko płytszą publiczność, budząc niesmak w ludziach czujących jaśniéj zadania i obowiązki krytyka. Taki krytyk wyobraża sobie, że im bardziéj zmiażdży autora, tém większym się wyda w oczach czytelników, którzy z nabożném skupieniem wyszepczą: „gdyby on sam chciał wziąć za pędzel, wejść na katedrę prelegenta, lub napisać o téj kwestyi książkę, toby dopiéro to była praca gruntowna, głęboka i doskonała!"

Tymczasem najczęściéj ci „babrzący" krytycy pędzla w ręku nigdy nie trzymali, katedrę znają tylko o tyle, o ile w szkole byli do lekcyi „wyrwani", a talent ich literacki ogranicza się na mieszaniu z błotem pracy cudzéj produkcyjnéj i z dobremi intencyami podjętéj.

Tacy panowie „od babrania" przyczyniają się do tego, że publiczność zniechęca się i z góry jeszcze przed zobaczeniem potępia wystawione obrazy, twierdząc, że jest tam sama nędza artystyczna i t. p. Oto są rezultaty działalności użytecznéj tych panów krytyków, którzy nie mając sami zamiłowania do sztuki, nie mogą, rzecz prosta, tego zamiłowania wpajać publiczności, a którzy, co gorsza, nie mając żadnego przygotowania i wykształcenia artystycznego, nie są w stanie poinformować jéj w sposób spokojny i kompetentny o rzeczach, o których sami nie mają pojęcia. W takim razie, mając sposobność umieszczenia krytyki w jakimś pisemku, pozostaje im jedyna droga — droga zbabrania wszystkiego i wszystkich. Na to nie potrzeba ani znawstwa, ani zamiłowania do sztuki. Zresztą zdaje się to być ogólną zasadą szanowaną i po za sztuką, że kto czego nie rozumie, na czém się nie zna, ten najskłonniejszy jest do krytykowania w tém warszawskiém rozumieniu tego słowa, t. j. do „babrania".

Zaznaczywszy więc tę „znakomitą" usługę, jaką oddała naszéj sztuce i naszéj publiczności dyletancka najczęściéj krytyka, mogę jednak z przyjemnością twierdzić, że mimo niekorzystnych czasowych warunków, w jakich się Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych znajduje, mimo musowego natłoczenia dzieł słabszych z lepszemi, jednak można przed niejedném zatrzymać się z przyjemnością i pożytkiem. Mamy tu zgromadzony szereg nazwisk takich, jak Matejki, Gersona, Fałata, Alchimowicza, Malczewskiego, a obok tych firm „wyrobionych" i młodsze nazwiska, a przynajmniéj nowsze na naszéj wystawie, dowodzą, że nowe nam wciąż siły przybywają.

I tak prawdziwą rozkosz estetyczną odczuwa się przed pejzażami Wywiórskiego. Weźmy tylko dwa dla porównania. Jeden

przedstawia widok na historyczną wioskę, Studziankę, drugi jest fragmentem pola i drogi z chatą. I tu i tam śnieg całą ziemię pokrywa, lecz jakżeż inaczéj jest on na każdym przedstawiony! Na pierwszym czujemy ten śnieg jędrnym, termometr musi wskazywać daleko niżéj zera. Czyjeś stopy wycisnęły ślady. Czuć, że są one wygniecione w śniegu sypkim. Czyste, przejrzyste powietrze i cały nastrój obrazu wskazuje, że dzień jest pogodny i mroźny. Na drugim znów pejzażu widoczna odwilż panuje. Obfite zwały śniegu stały się waciasto-puszystemi. Każdy ślad wywołuje topnienie z przezroczystawo-żółtawém zabarwieniem. Oto są obrazy, wskazujące, jak artysta powinien odczuwać naturę, żeby ją oddać tak wiernie i prawdziwie, zaznaczając słabemi środkami, jakiemi rozporządza, takie nawet fenomeny natury, jak temperatura, co już zdawałoby się przechodzi granice środków malarskich. Jednakże umiejętne oddanie wszystkich cech dnia mroźnego lub odwilży musi robić na widzu wrażenie tych dwu temperatur.

W Żukowskim Stanisławie wypada mi powitać nową siłę w malarstwie pejzażowém i to siłę bardzo poważną. Kilka nadesłanych pejzażów są niezmiernie sumiennemi rezultatami obserwacyi, wyrażonych na płótnie wiernie i bezpretensyonalnie. Jego niebo po za nagiemi drzewami w „Wiośnie", chmury w „Jesiennéj niepogodzie", perspektywa w „Ciszy wieczornéj", lub śnieg we „Wczesnym śniegu", są znakomicie oddane. Może w pejzażach, gdzie promienie słońca padają bezpośrednio bądź na las daleki, bądź na śnieg pierwszoplanowy, artysta wyraził je jeszcze zbyt nieśmiało, jakby obawiając się przesady, tymczasem cóż może być jaskrawszego, wprost oślepiającego, jak słońce padające na śnieżne przestrzenie? Czy kiedy artysta był w stanie znaleźć ten blask na swéj palecie, a cóż dopiéro go przesadzić?

Piotr Andrzejewski przenosi nas nad morze, do portu z łodziami płynącemi pod żaglem, lub nad Sekwanę w chwili zapadającego zmroku. We wszystkich tych pracach przebija doskonała obserwacya i poczucie koloru. Woda jest bardzo prawdziwą.

Alchimowicz Kazimierz dał kilka miłych pejzażów śród zieleni, skał i strumyków górskich. Oprócz tego „Kornelja westalka", duży obraz przedstawiający chwilę, kiedy ją żywcem zamurowywują, wskazuje w Alchimowiczu subtelnego kolorystę. Śród pejzażystów wymienię jeszcze nazwisko Szturmana Aleksandra, którego „Wschód księżyca" jaknajlepiéj wróży o jego talencie.

Śród szeregu portretów wyróżniają się Mordasiewicza podkolorowane portrety rysunkowe.

Łempickiéj Leokadyi zwraca uwagę doskonały duży portret chłopczyka w białém ubraniu o myślącéj głowie, oraz kilka innych mniejszych główek dziecinnych. Artystka studyując długi czas w Paryżu, posiada to, co tak często naszym artystom nie dopisuje, to jest ten zmysł estetyczny i gust, który z każdéj, nawet o najskromniejszém założeniu, pracy robi dzieło sztuki umiejętnie skomponowane i stanowiące dobrze sharmonizowaną całość. A tego nam bardzo potrzeba się uczyć od Francuzów. Nadto Łempicka zdradza duże zdolności w portretach dziecinnych oddając wiernie dziecinny charakter swoich małych modeli. Téjże artystki znalazłem „Małą rekonwalescentkę", znaną mi już poprzednio z salonu paryskiego, i co powiedziałem o portretach, da się zastosować i do tego obrazu.

Wiele życia wlał Kędzierski w „Głowę" pastelową kobiéty, a Szańkowski Bolesław dużo zdradził temperamentu w „Głowie, śmiejącéj się" i w „Pokusie Ś-tego Antoniego". W temacie tak często nadużywanym oryginalnie jest pojęte zdziwienie Świętego, zaczytanego w Piśmie świętém, a którego uwagę oderwało zjawienie się nagości niewieściéj. Wogóle Szańkowski wykazuje dużą technikę i siłę w traktowaniu figur ludzkich. Jego „Hiszpanka" i „Japonka" są bardzo plastycznie i jędrnie malowane.

O doskonałych dwóch portretach, Augustynowicza już powyżéj wspomniałem. Nadmienię jeszcze o małym portreciku młodéj kobiéty, malowanym przez Dulębiankę Maryę z zachowaniem doskonałego rozkładu plam barwnych, i o portrecie kobiécym Pruss-Wiśniewskiéj, posiadającym dużo wyrazu psychologicznego.

Wiśniewskiego Władysława „Gclarz ukraiński" praktykujący pośród targu zawalonego wozami i wołami—jest wybornie zaobserwowany i malowany, a Wodzińskiego „Gra w cerceau" ma bardzo wiele dystynkcyi i subtelności w ruchach młodych panien w kostiumach z początku tego wieku.

Rzeźb spotykamy jak zwykle nie wiele, jeśli nie będziemy wliczali dawnych, usuniętych na bok, a nie rzadko znajdujących się w opłakania godnym stanie potłuczenia.

Z tego jednak, co widzimy, wszystko prawie jest interesującém.

Muszę zacząć od wybornéj figury „Ze snu" Mazura. Jest to nagi mężczyzna, który stoi i wyciąga się, ziewając. Ruch cały doskonale jest odczuty, wyraz twarzy niezmiernie prawdziwy, a cała faktura dowodzi dużego udoskonalenia technicznego.

O szkicach konkursowych do grup, mających stanąć przed przyszłym gmachem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pisano w swoim czasie bardzo wiele i jak zawsze u nas bywa, zamiast trak-

tować rzecz objektywnie, zaczęto sobie dogryzać i wymyślać. Drażliwość nasza osobista jest tak chorobliwie wygórowaną, że wszelką opinię przeciwną uważa się za osobistą obrazę.

Szkice te, mające przedstawiać malârstwo i rzeźbę, wykonało dwóch artystów: Zygmunt Otto został nagrodzony, a dla Leopolda Wasilewskiego utworzono specyalną téj saméj wysokości nagrodę od miłośników sztuki. Zdawałoby się, że i wilk był syty i owca cała. Tymczasem nie. Zwolennicy prac Wasilkowskiego uznali taką nagrodę za ubliżający datek. Możeby inni mieli prawo powiedziéć, że umyślne stworzenie nagrody, któréj w programie nie było, może być uważane naodwrót za wielki honor.

Jeśli więc sędziowie tak wysoko cenili tę pracę, czemuż jéj nie nagrodzili pierwszą oficyalną nagrodą?

Nie mam prawa odgadywać i tłómaczyć intencyi sędziów, zdaje mi się jednak, że przeszkodą do tego było bardzo szkicowe i pobieżne traktowanie samego pomysłu. Artysta miał oryginalny pomysł, czuł, jak by go pragnął widziéć wykonanym, ale zapemniał, że inni nie mogą podążyć za jego wyobraźnią i zdawać sobie sprawy z tego, co dopiéro będzie. Widziano więc tylko to, co już było, to jest szkic zaledwie narzucony i zapewne pamięciowy, a więc posiadający wszystkie cechy nieopracowania. Był to jakby szemat jeszcze nie wypełniony, dający tylko pojęcie, jak artysta rozmieścił figury i jak w ogólnym zarysie myśl swoją wyraził. Dobroć jednak lub lichota samego dzieła zależała całkiem od tego, co artysta zdoła z tego zrobić potém.

Samo pojęcie tematu i skomponowanie go było doskonałe i oryginalne. Dzień pod postacią nagiego młodzieńca ukazuje wschodzące słońce młodéj zachwyconéj kobiécie, symbolizującéj malarstwo, słońce bowiem jest źródłem światła, a ztąd źródłem barw wszystkich. Po za usymbolizowaniem tak szerokiém malarstwa, artysta umiał konsekwentnie wyzyskać warunek, że rzeźby te miały być przy ścianie, i związał je z tą ścianą w jedną całość, wyrażając jako tło w płaskorzeźbie kawałek pejzażu ze wschodzącą tarczą słońca.

Również szeroko pojętą symbolistyka rzeźby. Człowiek pierwotny usiłował najpierw odtwarzać formy otaczających przedmiotów. Lecz gdy po raz pierwszy zapragnął włożyć swą własną myśl w rzeźbę, to z pewnością sięgnął odrazu najwyżéj do tego, co jego umysł najbardziéj zajmowało, to jest do odtworzenia bóstwa. Potrzeba bałwochwalstwa tak tkwi głęboko we krwi człowieka, że plemiona stojące na bardzo nizkim stopniu kultury posiadają prawie zawsze jakiegoś

drewnianego potworka, jako szczyt swych wysiłków artystycznych. Jeśli chęć odtworzenia bóstwa zrodziła się najpierwsza w głowie pierwotnego rzeźbiarza, to i po dziś dzień jest ona najtrudniejszém do wywiązania się zadaniem kompozytora. Bardzo więc trafnie Wasilkowski przedstawił człowieka z epoki kamiennéj z trudem wykuwającego wyobrażenie wielkiéj, groźnéj głowy bóstwa, a dopełniająca grupa młoda dziewczyna, jakby młodsza siostra rzeźby, wyobraża ceramikę i rzeźbę dekoracyjną. Myśl jest więc doskonała i układ bardzo artystyczny w obu tych grupach.

Otto Zygmunt nie myślał o symbolizowaniu malarstwa i rzeźby, o odszukaniu się ich treści, ich cech zasadniczych, najcharakterystyczniejszych. Przedstawił po prostu figurę rzeźbiarza i figurę malarza w odpowiedniém otoczeniu i z dodatkowemi figurami allegorycznemi. Prace Ottona były pod względem technicznym poprawne i tak w skończeniu posunięte, że dawały możność zdać sobie jasno sprawę, co artysta przez nie pragnął wyrazić, były to już bowiem nie szkice, jak Wasilkowskiego, ale modele w zmniejszeniu tego, co potém miało być ostatecznie wykonane.

Że Otto wyraził swego rzeźbiarza pod postacią Wita-Stwosza, a malarza zrobił podobnym do Matejki, to nic pomysłowi nie szkodziło, ale téż i nic mu nie pomagało, grupy te bowiem nie miały być pomnikami tych ludzi, ale ornamentacyą i fragmentem zdobiącym fasadę nowego gmachu wystawy. Nawet ktoby zapatrywał się subtelniéj na tę kwestyę z całym szacunkiem, jaki mamy i miéć powinniśmy dla tych dwóch artystów, to nie bez pewnéj słuszności mógłby twierdzić, że dorabianie figurom dekoracyjnym głów zasłużonych mężów, jest pewną mimowolną profanacyą. Grupy te będą lepsze i artystyczniejsze od różnych figur gipsowych zdobiących domy warszawskie, ale cel i przeznaczenie mają absolutnie te same.

Cobyśmy więc na to powiedzieli, gdyby na wszystkich domach w Warszawie, tak zwykle przeładowanych ornamentyką, wszystkie karjatydy, wszystkie figury, bądź stojące na czterech rogach dachu, bądź malowane pomiędzy oknami najwyższego piętra, miały głowy zasłużonych ludzi? Czyż już teraz nie doznajemy przykrego wrażenia, widząc w tylu framugach klatek schodowych figury gipsowe Mickiewiczów, Słowackich i t. p.? Czy nie doznajemy niesmaku spostrzegłszy, że rzeźba ta (najczęściéj lichy odlew gipsowy) stoi na schodach w dodatkowéj roli upiększenia tych schodów na równi z zabłoconym dywanikiem, kolorowemi szybkami w oknie i bukiecikami malowanemi w sufitowych rozetach.

Pewnie że artystycznie pojęta i wykonana grupa malarstwa, mająca zdobić fronton wystawy, nie stoi w jednéj linii z popielniczką „ozdobioną" głową Mickiewicza (co za parodja), ale w każdym razie główną rzeczą jest tu fronton gmachu, a rzeczą dodatkową, podrzędną owa grupa, która o tyle jest tu potrzebna, o tyle tylko ma racyę bytu, o ile ma służyć do ozdoby tego frontonu narówni z różnemi gzemsami, pilastrami, imitacyami ciosów, marmurów i t. p.

Czybyśmy mieli zdradzać taki brak smaku i taktu, jak Niemcy, którzy przez patryotyzm rzeźbią drewniane dziadki do orzechów, wyobrażające głowę uwielbianego przez nich Bismarcka?

Z tego punktu wychodząc podobieństwo figur Ottona do Wita-Stwosza i Matejki nic im większéj wartości nie dodaje, i powinniśmy nawet zapomnieć o tém, aby to nam nie mąciło sądu o artystycznéj wartości kompozycyi. Ow rzeźbiarz skomponowany jest niedość charakterystycznie. Gdyby nie akcesorya i tło, to nie wiedzielibyśmy z samego jego zachowania się, co to za rodzaj człowieka stoi przed nami. Malarza Otto pragnął wyrazić w chwili tworzenia i rozmyślania nad nowém dziełem, ale co prawda, to upozowanie i wyraz można wziąć równie dobrze za żal lub rozpacz nad czémś, co się już stało, a więc znów kompozycya nie dość jasno się tłómaczy. Alegoryczne figury i mało się wiążą z całością, zbyt często się podobne widuje na różnych pomnikach, żeby je uznać za najlepszą i najoryginalniejszą stronę kompozycyi. Po za tém pozostaje staranność odrobienia i owo podobieństwo figur dekoracyjnych do zasłużonych mężów na polu sztuki. Wielu osobom zdaje się ten szczegół bardzo podobać, mnie się jednak zdaje, że albo postarajmy się postawić pomnik samoistny, pisząc na piedestale wyraźnemi literami: „Janowi Matejce... i t. d.", albo nie róbmy żadnych figur dekoracyjnych z głową tak kiedyś pełną pięknych myśli, a tak fizycznie nieforemną.

Na zakończenie przeglądu rzeźby wyliczę Zawiejskiego maskę „Indyanina" w bronzie; Gersonówny Maryi „Studyum śpiącéj", o którém pisałem w sprawozdaniach z Salonów paryskich i biust „Ś-téj Salomei"; Laszczki Konstantego z dużym wyrazem głowę „Wierzę"; Niespodziańskiego Stanisława główkę kobiecą; Długoborskiego charakterystyczny portret Pługa w płaskorzeźbie i Podgórskiego Edwarda bardzo ciekawą kolorową wypukłorzeźbę w drzewie, przedstawiającą Wenus z Amorkiem. Wszystkie te prace, aczkolwiek drobne, zasługują na uwagę, uznanie i dowodzą, że rzeźba nasza, choć w bardzo ciężkich rozwija się warunkach, jednakże się rozwija. Dodam nawet, że wszystkie wystawione rzeźby posiadają wartość

artyczną i nie dostrzega się śród nich tak słabych utworów, jakie można widzieć czasem w dziale malarstwa. Zapewne jest to skutkiem tego, że więcéj dyletantów bierze za pędzel niż za szpachlę.

*

* *

W Krakowie w Sukiennicach trafiłem na ciekawą wystawę pośmiertną Kossaka. Nie będę wchodził w szczegóły i scharakteryzuję tylko ogólnie jego dzieła.

Kossak Juljusz należał do tego odłamu artystów swojskich starszego pokolenia, którzy uważali sztuki piękne nie za cel ale raczéj za środek wypowiedzenia czegoś pędzlem, jakby się wypowiedziało to piórem. Hasło „sztuka dla sztuki“ uważane by było wówczas za bluźnierstwo. Kossak więc był przedewszystkiém ilustratorem i za pomocą środków malarskich odtwarzał bądź dzieje rodzinne, bądź sceny i zdarzenia współczesne, bądź ilustrował dzieła poetyckie. Nie można sobie prawie wyobrazić pracy Kossaka, na którejby się nie znalazło konia.

W obrazach Kossaka forma dominuje nad barwą. Są to rysunki kolorowane. Szczegóły rysunkowe dominują wszędzie, a za to rzadziéj obraz robi wrażenie całości barwnéj. Do takich wyjątkowych obrazów należy „Banderja krakusów na błoniach”, gdzie odczuwamy całą prawdę tych cwałujących szeregów konnych krakusów, których świtki białe z czerwoném robią wrażenie wielkiego łanu, pokrytego barwném kwieciem. Ogół jednak obrazów nie osiąga tego natężenia barwy. Wszędzie np. widzimy ostre kontury rzuconych cieniów, wskazujące słoneczne oświetlenie, ale wrażenia słoneczności najczęściéj się nie odbiera. Nie robię z tego żadnego zarzutu, lecz tylko charakteryzuję samą technikę Kossaka.

Kossak nie należy do dzisiejszego pokolenia artystów. Gdy kształcił się i formował jego talent, istniały zupełnie inne od dzisiejszych poglądy na zadania sztuki i drogi, jakiemi iść powinna. Był on więc wyrazem tego pokolenia, śród którego wzrastał. Niemniéj jednak widoczny jest ciągły rozwój sztuki i podążanie za postępem w sztuce.

Zasługą téż Kossaka jest to utrzymanie się na wyżynach poważnéj sztuki, bez wpadnięcia w zdawkowość i manierę. A jest to najniebezpieczniejsza hydra, czyhająca na tego rodzaju talenty, jak Kossaka, które tworząc mnóstwo obrazów ilustracyjnych, czer-

panych jak w tym wypadku z podobnych motywów batalistycznych, bardzo łatwo wpadają w powtarzanie się i coraz gorsze kopiowanie siebie samych. U Kossaka tego niema. Kompozycya jego jest zawsze jasna, każda ma w sobie cechę właściwą, każda czémś odrębném interesuje.

Przedewszystkiém więc uczcijmy tu dzielnego, pełnego wyobraźni kompozytora, doskonałego rysownika, znawcę naszéj historyi wojskowości.

Krakowska wystawa Kossaka zawiera blizko 300 dzieł. Jednocześnie otwartą jest podobnaż wystawa we Lwowie.

Dowód to niezmiernéj pracowitości i obfitéj twórczości dzielnego artysty, który w historyi naszéj sztuki zajął wybitne i całkiem samodzielne stanowisko.

Po za wystawą Kossaka niewiele już miejsca zostało w salach dla innych artystów. Nadmienię więc tylko w kilku słowach o wybornych pejzażach olejnych i „Dożynkach" Stachiewicza Piotra. Przyzwyczajeni głównie do działalności ilustratorskiéj, doznajemy miłéj niespodzianki, widząc te płótna pełne siły, barwy i słońca. Obok widzimy kilka niezmiernie prawdziwych krajobrazów akwarelowych Pociechy Michała. Wyborne lasy sosnowe namalowali Janowski Stanisław i Bruzdowicz. W dobrym nastroju zachodzącego słońca jest utrzymana jakaś „sadzawka w ogrodzie" Dąbrowskiego Eugeniusza.

Malczewskiego jest niezmiernie prawdziwa i plastyczna głowa starego. Wyspiańskiego pastelowy typ chłopca posiada dużo charakteru.

Stasiak wystawił szereg cały obrazów symbolicznych i alegorycznych, p. t. „Bluźnierstwo", „Fata morgana", „Pieśń", „Wojna" i inne. Artysta zdaje się jeszcze nie zestroił dobrze z obranym kierunkiem, przez co obok stron ciekawych i oryginalnych spotykamy i banalności lub formy kompozycyjne, wielokrotnie już powtarzane przez innych. Czekamy zatém na dalsze prace tego artysty.

*

* *

A oto jestem w Pradze. Wspaniały gmach Rudolfinum imponuje mi odrazu. Gdybyż w Warszawie można się było doczekać czegoś podobnego! Gmach ten mieści w sobie kilka instytucyi: wystawę doroczną sztuk pięknych, muzeum sztuki stosowanéj, szkołę muzyczną i t. p. Czemu to nasze instytucye, posiadające

dosyć grosza zebranego, żeby coś zrobić na współkę, a zamało, żeby budować gmachy własne, czemu nie mogą się porozumieć co do wspólnego gmachu? Czy tu czasem znów nie wychodzi na wierzch nasza chorobliwie rozwinięta drażliwość osobista, unosząca się nad każdą dyskusyą, paraliżująca każdą pracę zbiorową?

Wchodzę do ładnego przedsionku, mogącego zmieścić połowę wystawy Krywulta, i spotyka mnie nowa niespodzianka. Za 50 krajcarów dostaję gruby ilustrowany katalog, mający jeszcze oprócz blizko setki stron tekstu, 48 kart bardzo ładnego grubego papieru z tylomaż światłodrukowemi reprodukcyami obrazów.

A że katalog nie ilustrowany kosztuje 30 kr., więc za 48 ładnych światłodruków płacę 20 kr., czyli po trzy za kopiejkę. A u nas? Dodam, że katalogi są ilustrowane i nieilustrowane, drukowane po czesku i drukowane po niemiecku, czyli że jest ich cztery rodzaje, co znacznie koszt podnosi, tém bardziéj, że Praga ma blizko cztery razy mniéj ludności niż Warszawa, a więc i nakład nie może być chyba wielki.

Na parterze wielka sala z górném oświetleniem jest jednocześnie przedsionkiem wewnętrznym, z którego monumentalne schody prowadzą na pierwsze piętro do sal malarstwa. Że jednak te są nieduże, a rzeźba reprezentowana jest nielicznie, więc w tym przedsionku umieszczono téż i największe obrazy.

Tu więc spotykam „Czarodziejkę" profesora Gersona i dwie rzeźby Lewandowskiego: „Żniwiarkę" i „Słowianina zrywającego pęta", trafniéj tu zatytułowanego jako „Spoutany otrok".

Prace te znane są w Warszawie z naszych wystaw.

W tymże przedsionku znajduje się pejzaż Zofii Stankiewiczówny, przedstawiający w oświetleniu księżyca wejście do białéj świątyni, otoczonéj czarnemi sylwetami cyprysów. Wiemy, jak wybornie odczuwa artystka efekty księżycowe, dość sobie przypomniéć „Stary Kamieniec", i tu więc mamy dzieło pełne harmonii i głębokości tonu.

Na pierwszém piętrze spotykamy kilka rozrzuconych płócien Polaków. Zofia Stankiewiczówna wystawiła tu „Zorane pole" z rozległym dalszym krajobrazem. Przesiąknięty jest on powietrzem i słońcem.

Kozakiewicz Antoni dał sumienny mały pejzaż zimowy i „Dasz mu pokój!", gdzie bardzo typowa stara wieśniaczka gniewa się na przekomarzającą się z dzieckiem dziewuchę. Zarówno typy, kompozycya, jak i przeprowadzenie oświetlenia słonecznego, są bardzo dobre, a obrazek tchnie swojskością.

Boznańskiéj Olgi „Studyum dwóch chłopców" i martwa natura nie dają miary talentu artystki, mimo że są pracami zasługującemi na uwagę.

Kochanowski Roman dał „Wieczór", maleńki pejzażyk z brzozami. Praca bardzo skończona i poprawna.

Oto i cały dorobek artystyczny artystów polskich w Pradze. Bardzo to niewiele, tymczasem wystawa posiada obrazy z różnych końców Europy: z Paryża, Rzymu, Monachium, Antwerpii, Londynu i t. p.

Nadto obok ogólnéj wystawy urządzone są dwie sale specyalne. Jedna zawiera kolekcyę Hansa Schweigera, przeważnie z rysunkami, a druga akwarele królewskiego instytutu akwarelistów w Londynie, które są wprost znakomite. Dość wymienić tu kilka takich nazwisk jak: Dudley Hardy, Bernard Evans, Austen-Brown, Meyerheim lub Collins.

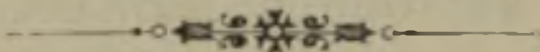
Obie wystawy, jak i ogólna, zasługiwałyby na obszerne sprawozdanie, ale że tu pragnąłem mówić tylko o artystach polskich, więc nadmienię tylko mimochodem, że wystawa ogólna potrafiła zgromadzić takie firmy jak: Brozika, Marolda, Pausingera, Rauppa, Rochegrosse'a i innych.

Salka Schweigera Hansa jest niezmiernie ciekawą. Schweiger jest przedewszystkiém znakomitym karykaturzystą. Wiele jego prac jest rysowanych na sposób średniowieczny niemiecki, i tym środkiem otrzymuje komizm satyryczny nieporównany. Przy tém prace jego posiadają wyborny rysunek, charakterystykę i humor bardzo subtelny, choć odpowiednio do stylu rubaszny w formie. Jest tam téż wiele wybornych ilustracyi do opowiadań fantastycznych, a także szereg z dużą prawdą malowanych ulic z wyborną architekturą i trochę bardzo wiernych studyów z natury.

Sale rysunków i portretów zawierają dużo ciekawych prac, sztuka stosowana téż jest w sposób poważny reprezentowana i wykwintnie wystawiona: jedném słowem jest to kompletny salon paryski w miniaturze, który jednak zgromadził przeszło 800 numerów.

Antoni Austen.

Paryż w Maju 1899.



DLA MILIONA.

XVI.

Jesienią pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że delegacya banku anglo-austryackiego zajechała do hotelu pod „Czarnym Orłem" i zamierza kupować grunta w Schodnicy. Cały Drohobycz handlujący został tą nowiną zelektryzowany i wysoce zaniepokojony. Faktorzy i kupcy na wyścigi rozmawiali na ten temat i skwapliwie podglądali czynności przybyszów. Tylko kilku poważnych kupców, pomiędzy nimi pp. Lindeman, Krausberg i Eisenstein, którzy swoją sekretną pocztą byli już dość dawno uprzedzeni o przybyciu delegatów, oczekiwali na pozór spokojnie, lecz wstrząsani dreszczem spodziewanych zysków, pierwszych kroków zakupna gruntów włościańskich w Schodnicy.

Nareszcie dotarli faktorzy do przybyłych i nagle gruchnęła wieść, że bank chce kupować grunta chłopskie. Ruszyli się natychmiast więksi i mniejsi kapitaliści, furmanka za furmanką wiozła kupców żądnych nabycia zakopów do Schodnicy. Cena gruntów szła szybko w górę, chłopi pili bez miary, zawierali umowy i wnet zrywali w kilka nieraz godzin, łakomiąc się na wyższą cenę. Aron

i Selig, szynkarze w Schodnicy, stali się chwilowo bohaterami dnia, do ich karczem, jak do miejsc cudownych, spieszyli wszyscy żydzi i chłopi, żądni łatwego zarobku, podnieceni nadzieją szybkiego wzbogacenia.

Po kilku dniach otrzymali faktorzy upoważnienie wyszukania i sprawdzenia kilku właścicieli gruntów włościańskich w Schodnicy, którzy przezornie kupili na kilka miesięcy naprzód prawo poszukiwania płodów kopalnianych.

Pan Lindeman na téj operacyi zarobił sto na sto, a przyjmując powinszowania p. Krausberga, uśmiechnął się z ironiczną pobłażliwością i rzekł:

— Nu Lejzor, chociaż ty szczęśliwy, ale mój rozum wyprzedził twoje szczęście w tym interesie.

Pan Krausberg przyjął w milczeniu tę uwagę, a skinąwszy na przechodzącego p. Eisensteina, wszedł z nim do swego mieszkania.

— Nu Boruch, — zaczął gdy obaj usiedli na wygniecionéj sofie, w jadalnym pokoju, teraz przyszedł czas na nasze żniwo.

— Nam trzeba skorzystać z tego, co ty Lejzor myślisz?

— A ty byłeś już na gruncie w Schodnicy?

— Ja byłem i widziałem, nasze grunta wchodzą klinem w ich zakopy.

— Wszystkie?

— Nie. Pole Macieja przecięło trochę grunta Lindemana zakupione przez bank.

— To nasze szczęście, — uśmiechnął się gospodarz, — oni muszą kupić ten kawałek, ale ty Boruch kawałka nie sprzedawaj, tylko cały grunt.

— A jak nie zechcą Lejzor, co ja zrobię? Ja potrzebuję pieniędzy...

— Nu, ja odkupię część twoją.

Po ich cenie? — spytał z żywością.

— Boruch ja nie taki głupi, — zaśmiał się p. Krausberg, — ty dałeś za cały grunt 500 guldenów do naszéj spółki, ja tobie dam za połowę twojéj części całych 500 florenów. Co ty powiész?

— Nie Lejzor, to za mało, ja wpierw pójdę do nich, ich faktor był u mnie dwa razy.

— Ty Boruch dobrze mówisz, idź teraz do nich pod „Czarnego Orła” i żądaj 5000 fl. po 2000 za morgę.

— Oni Lindemanowi dali tylko po tysiąc.

— On nie miał klinu, a my mamy. Jak pogadasz z nimi, przyjdź dzisiaj do mnie, ja będę czekał na ciebie.

Zaledwie zamknęły się drzwi za odchodzącym, weszła żona:

— Lejzor, ty robisz interes z Boruchem?

— Ja nie wiém, może i zrobię.

— On nasz krewny, ty pamiętaj o tém.

— Ja nie zrobię mu krzywdy, ty Suro możesz być przy interesie.

Późnym wieczorem przyszedł oczekiwany i zaraz z progu mówił:

— Oni dają cztery tysiące.

— A ty Boruch co myślisz?

— Ja potrzebuję pieniędzy, ja radzę sprzedać.

— Ty chcesz, a ja nie chcę, nu my się pogodzimy, ty siadaj.

Po dość długich pertraktacyach p. Krausberg wypłacił tysiąc guldenów za połowę części p. Eisensteina i wziął od niego kwit odpowiedni.

— Lejzor, na co tobie ta część — spytała żona, gdy zostali sami.

— Ja już wiém.

— Lejzor, ty powiedz swojéj żonie.

— Ja byłem dziś w Schodnicy i przez nasz grunt musi iść ich droga, oni zapłacą dobrze.

— Lejzor, ty bardzo mądry.

— Co mi z tego, — westchnął, — kiedy mam mało pieniędzy.

— Ty będziesz miał krocie! — zawołała rozczulona.

— To za mało, ja muszę mieć milion!

Gdy delegaci wyjechali z Drohobycza, i gorączka zakupna gruntów w Schodnicy minęła, p. Krausberg zawezwał p. Eisensteina do siebie.

— Słuchaj Boruch, ty jedź do Lwowa i sprzedaj bankowi nasz grunt.

— Ja pojadę, a za ile?

— Ty żądaj teraz więcéj, powiedz 9000 guldenów, a oddaj zaosiem.

— A jak oni nie zechcą, kto mi zwróci koszta?

— Ja tobie zapłacę, ale ty weź paszport z policyi, weź świadectwo z magistratu i zabierz plany ze sobą.

Przewidywania p. Krausberga sprawdziły się, bank wypłacił żądaną sumę osiem tysięcy i uradowany p. Eisenstein wprost z kolei przywiózł p. Krausbergowi należne 6000 guldenów, wytargowawszy na nim trzy czwarte kosztów podróży do Lwowa.

W zapale i uniesieniu radości, zapomniał na razie o odebraniu umowy notaryalnéj, w któréj odstępował połowę nabytych gruntów p. Krausbergowi, następnie zajęty gorączkową czynnością odzyskania zaryzykowanych pieniędzy, nie miał czasu na wydobycie dokumentu i rzecz poszła w odwłokę, zwłaszcza, iż obecnie od czasu przyjazdu córki p. Krausberga, czuł się tam obcym, natrętnym i niemiłym gościem.

Wkrótce po przyjeździe panna Esterka Krausberg, ładna, smukła brunetka, stała się ulubienicą ojca i matki, oboje widzieli w niéj skończoną doskonałość piękności, wykształcenia i wychowania. Korzystając z tego usposobienia ojca, zdołały jéj prośby i namowy matki skłonić go do zmiany ciasnego mieszkania na inne większe, frontowe od rynku.

— Mamo, u nas we Lwowie, nawet biedniejsi mają ładniejsze meble w salonie, nasze są okropne.

— I ja to widzę Esterko, ale ojciec nie da pieniędzy.

— Trzeba spróbować!...

I tak ugłaskała ojca, że zezwolił na nowe pokrycie mebli.

Zwolna starała się wyrugować żargon z domu, zastępując go językiem niemieckim, a entuzyazmując się na zimno do literatury, kupiła małe gipsowe biusty Goethego i Schillera, ustawiwszy je na komodzie w saloniku. Był to pokój frontowy, z dwoma oknami, dość obszerny, umeblowany szablonowo, z krzesłami pod sznur ustawionemi, z kanapą i dwoma fotelami w rogu, obok okrągłego stolika z lampą nakrytą abażurem, z nieodzownném lustrem między oknami i komodą w miejsce konsoli. Sam jego widok wywoływał uczucia znudzenia i smutku. Jednak ten tak zwany salon był chlubą i dumą całego domu, i tylko wyjątkowi goście byli tam dopuszczani.

— Mamo, ja się tutaj nudzę w Drohobyczu.

— Ty przecież u rodziców...

— U nas we Lwowie ja chodziłam na Wały, do Ogrodu Jezuickiego, tam są ludzie, a tu kogo ja widzę?

— Ty patrz przez okno na rynek, to zabawi ciebie.

— Ja chcę ludzi, spacerów, zabawy; a mama marynuje mnie tu w domu.

— Co ja zrobię z tobą? Esterko, mnie już ciężko chodzić, ale ja pójdę z tobą na spacer.

Wieczorem, gdy małżonkowie układali się do snu—rzekła pani Sura z westchnieniém:

— Lejzor, naszéj Esterze nudzi się tutaj w Drohobyczu.

— Ja nie mam czasu jéj bawić!

— A co ja z nią zrobię? — skarżyła się żona.

— Ty ucz ją gotować, robić konfitury, makagigi, pierniki...

— Ona na to za delikatna, myśmy jéj nie edukowali do kuchni.

— To czego ty chcsz?

— Jéj czas iść za mąż.

— Zaczekajmy, niech się ucieszą nią nasze oczy.

— Lejzor, — zawołała po chwili, — ją potrzeba zabawić, ona jeszcze rozchoruje się, co nie daj Boże.

— Ty Sura, nie gadaj takich rzeczy pod noc, — upomniał mąż, — ja mogę mieć brzydkie sny. Ty chcesz zabawy, to zaproś.

— Ja poproszę Lindemanową z córką i Stillbachową, niech one przyjdą.

— Ty możesz to zrobić.

XVII.

Przy ulicy Żupnéj, wiodącéj z rynku drohobyckiego, ku zabudowaniom żupy solnéj, stał przy ulicy mały, ubogi domek parterowy, zbudowany z drzewa, przytulony jednym bokiem do ściany murowanéj kamienicy.

Dworek ten, odrapany, z łatanym dachem, znany był wszystkim żydom w Drohobyczu, był bowiem własnością i mieszkaniem Jankla jałmużnika, który po stracie żony, cały swój czas poświęcał zbieraniu jałmużny dla swych chorych i biednych współwyznawców.

Z uciążliwéj wędrówki wrócił właśnie do domu, zasiadł w nizkiej, dość obszernéj, belkowatej izbie, umeblowanéj nieodzownemi sprzętami: stołem, krzesłami, ubogim tapczanem, lichą szafą i pięknym, świecącym siedmioramiennym świecznikiem. Czekał na spóźniony obiad, przeliczając starannie otrzymaną jałmużnę. Westchnął z żałością, gdyż cała suma nie wyniosła jednego guldena, a przed oczyma jego przesunęły się szeregi biednych i chorych, ograniczonych w swych środkach niemal tylko do jego jałmużny. W zaułkach pełnych śmieci, błota i cuchnących wyziewów; w izbach wilgotnych, ciemnawych, brudnych gnieździły się całe rodziny nędzarzy z liczném potomstwem, skarlałem, schorowanem od urodzenia, chowaném w zaduchu i w braku światła. Każda cięższa choroba była tam wyrokiem śmierci, każdy grosz majątkiem, każdy kęs chleba ucztą. Dorywczość ich tak zwanej pracy: pośrednictwa w sprawach bez wyboru etycznego; wyzysku w handlu bez oglądania się na środki; ofiarowania usług bez względu na cel i sposoby;

taka praca, wkorzeniana przez całe pokolenia, nie zapewniała im bytu, a w zmienionych warunkach życia społecznego stawała się przeszkodą i wzmagała ucisk nędzy.

Jałmużnik Jankiel, przełożony towarzystwa wspomagania biednych i chorych, nie chciał znać i nie znał przyczyn, dla niego byli to tylko biedni, zgłodniali, opuszczeni i chorzy bracia, cierpiący na wygnaniu, wśród obcego, wrogiego narodu. Inne skargi, prócz swych współwyznawców, nie dochodziły uszu jego; tylko ich łzy rozczulały go, tylko ich głód, upokorzenie, choroby bolały go, tylko ich nędzę miał przed oczyma.

A tu do tego kraju nagłych bogactw i bankructw, gorączki hazardu i ślepego szczęścia, łatwéj pracy i szybkiego wzbogacenia, zbiegły się setki i tysiące żądne zarobku i pieniędzy, a uzdolnione prawie jedynie do pośrednictwa i wyzysku chwili. Na kartę losu rzucali ostatni grosz, a gdy karta zawiodła, czekała ich niewysłowiona nędza, głód i śmierć.

Jankiel jalmużnik miał téż w ostatnich latach bardzo dużo zajęcia i tylko przy wielkich wysiłkach i zaparciu się spełniał swe obowiązki. Jałmużny wprawdzie wpływały, ale nie w tych rozmiarach, jak wzrastała liczba biednych i chorych; bogatsí pozbywali się go drobnemi datkami, ofiarując chętnie większe sumy kahałom i rabinom, co zapewniało rozgłos i uznanie wśród współwyznawców.

Siedział więc smutny i zamyślony, to patrząc na drobną sumę pieniędzy, to w zabrudzone okno frontowe, przez które wpadało mdłe światło chmurnego dnia jesiennego.

Przez drzwi kuchenne weszła jego córka, bezdzietna wdowa, Ruchla, niosąc małą salaterkę dymiącéj zupy fasolowéj; postawiła ją przed ojcem, podsunęła kromkę chleba czarnego i usiadła przy stole. Spojrzała na ułożone w kupki centy, na ojca łamiącego chléb drżącemi rękami, na jego wynędzniałą twarz, okoloną mocno szpakowatym zarostem, i ogarnął ją żal na widok tego starca, który od bardzo wczesnego ranka zdołał zaledwie trochę tego grosza wyprosić u zamożnych dla ich nieszczęśliwych współwyznawców.

— Tyle pracy mój ojcze, tyle twego poświęcenia, a tak małe owoce — westchnęła — ci bogacze nie mają serca, odmawiając tobie.

Spojrzał na nią wielkiemi, ciemnemi oczyma, głęboko osadzonemi, i maczając chléb w zupie, rzekł zwolna:

— Bóg wie co robi, nie nam sądzić ludzi.

— Ja téż nie sądzę, ale widzę te okruszyny, który zebrałeś dzisiaj.

— Jak Bóg zechce, to rozmnoży je stokrotnie.

Po dłuższém milczeniu odezwała się córka:

— Ojcze, ja mam dla ciebie jeszcze kawałek kury:

— Dziękuję ci, mam już dosyć.

— Posil się ojcze, bo tracisz siły i zdrowie, a biedni potrzebują ciebie.

— Zdrowie i życie jest w ręku Pana, On wié co robi. Mięso schowaj dla chorych, czy był tu kto?

— Zwykli twoi goście, mój ojcze, powiedziałam by przyszli przed wieczorem.

— Nie było między nimi Małki?

— Nie.

— Pójdę do niéj, ona ma męża i syna chorego, może nie mogła wyjść.

— A kiedy wrócisz, ojcze?

— Będę przed wieczorem w domu.

Ubrał się przy pomocy córki w swój stary, znoszony, połatany chałat, przepasał się czarnym, wypłowiałym pasem, zabrał w kieszeń jałmużnę i zwolna wyszedł, powłócząc nogami.

Ruchla patrzała na ojca przez okno i na jéj twarzy pożółkłéj, na pomarszczoném czole widać było troskę:

— Oj, czemu on choć mięsa nie zjadł — szepnęła widząc ociężały chód jego. Nizka, gruba, przysadkowata zaczęła się krzątać po izbie robiąc porządki.

Po chwili weszła niemłoda kobieta z dzieckiem na ręku. Twarz miała zmęczoną, chudą, ze śladami łez, otarła wielki nos kułakiem i spytała:

— Reb Jankiel w domu?

— On będzie wieczorem, co mi powiész Hane?

— Co ja mam mówić, u mnie tylko jeden smutek.

— Masz chorobę w domu?

— Nie, Bóg mnie zachował od tego.

— Mąż twój Abrum zarabia, to chléb jest chwała Bogu.

— Ruchlo, ja mam wielkie strapienie...

— Siądź Hane, boś zmęczona, a jak ci ulży, to ty mów.

Usiadła na krześle, uspakajając krzyczące dziecko kołysaniem na ręku.

— Ruchlo, niech tego Krausberga Bóg pokarze na dzieciach i wnukach.

— Dlaczego Hane?

— Mój mąż Abrum był dobry człowiek, on dbał o żonę, o dzieci, a teraz on wraca w nocy pijany, ma straszne sny, że aż serce zamiera jemu...

— Jakie sny? — spytała zaciekawiona, poprawiając jedwabną perukę skrzywioną przy sprzątaniu.

— Tego nie można mówić, ale to powiem, że on zawsze krzyczy wielkim głosem: Lejzor kazał, Lejzor płacił, Lejzor winien... On nie przynosi nic do domu, on mi straszy dzieci, on gada takie rzeczy po nocach, że ja już wypłakałam wszystkie moje łzy, a teraz tylko jęczę.

— Abrum musiał zrobić złą rzecz, kiedy on ma takie sny, — mówiła Ruchla z namysłem.

— On nie zrobił ze siebie, to Lejzor zrobił przez niego nietylko złą rzecz, ale wielki kryminał. Niech on będzie przeklęty.

Po chwili rzekła Ruchla:

— Nu, a czego chcesz ty Hane od mego ojca? Co on ma tobie zrobić?

— Reb Jankiel ma wielkie poważanie u wszystkich, niech on powie mądre słowo Abrumowi, niech on będzie sumieniem jego i zagasi boleść jego.

— Ja to powiem Hane ojcu memu.

— Ruchlo, ty zrób to u ojca dla moich dzieci, co one winne?

— One są niewinne, niech krew pada na dzieci Lejzora, jeśli Abrum mówi tobie prawdę.

— Ruchlo, ty mi wierz, pijany nie kłamie, a on przychodzi pijany, jak prosty goj, i gada głośno... aj, co on gada... ja już idę, dzieci mnie czekają.

— Ty Hane idź w pokoju, ja powiem ojcu memu.

Przed wieczorem wrócił Jankiel do domu i zmęczony usiadł na krześle; powiedziała mu córka prośbę żony Abruma, na co odrzekł:

— Ten Lejzor ma zatwardziałe sumienie, ale na głos Pana on zmięknie.

— Czy pójdzie ojciec do Abruma?

— Ja zajdę do niego, ale co ja pomogę, Bóg karze i rękę i miecz, taka wola Jego.

Drzwi od sionki otworzyły się zwolna, i do izby weszła bojaźliwie kobieta ubogo ubrana i stanęła przy drzwiach. Gospodarz przysłoniwszy ręką oczy, rzekł uprzejmie:

— Ester, przyjdź bliżej, czyś zrobiła co złego, że tak się boisz?

— Reb Jankiel, — mówiła zrobiwszy dwa kroki naprzód, — co ja złego zrobiłam, niech mi tak ludzie odpłacą; ale oni mi nic nie dają, bo ja nic złego nie zrobiłam. Reb Jankiel, moje dzieci nie mają chleba.

— Dlaczego, Ester?

— Piekarka nie daje mi już obarzanków, ani pierników. Co dwunasta sztuka sprzedana była moja, i to był chléb moich dwojga dzieci i mój; a teraz ona nie chce mi dać.

— Dlaczego?

— Teraz mały handel na ten towar, i ona nie chce dać. Reb Jankiel moje dzieci bez chleba.

Jałmużnik wyjął kilka centów i wręczył kobiecie, która podziękowawszy gorąco stała w izbie:

— Czego chcesz, Ester?

— Ja chcę, ja proszę, aby reb Jankiel poszedł do piekarki, niech ona mi da na sprzedaż swój towar, bo co ja zrobię?

— Jutro będę u niéj, idź w pokoju.

Stary po jéj wyjściu zaczął się przygotowywać do modlitwy wieczornéj, wyjął tojrę—worek czarny, mieszczący książkę i strój obrzędowy, położył na stole przed sobą, gdy drzwi otworzyły się szybko i weszła niemłoda kobieta ze śladami łez na twarzy.

Reb Jankiel, — zaczęła z progu, — ja jestem wdowa po Joselu Reich, mnie Krausberg wyrzucił z dziećmi na bruk — i załkała głośniéj.

— Kobieto, ty mów wyraźniéj czego chcesz?

— Mój mąż, Josel Reich, był faktorem, i nam dobrze było póki on trzymał z Bratkowskim, aż przyszedł ten wąż, ten zwodziciel, ten szachraj Lejzor.

— Nu, i co daléj? — spytał spokojnie.

— On mu obiecał czwartą część szybu, jeśli Josel namówi Bratkowskiego do sprzedaży. Josel dobry człowiek, on to zrobił, a potém zamiast faktorstwa on pilnował szybu i zbiedniał, zmarniał i umarł, bo szyb dawał tylko dochód Lejzorowi.

— Ty mów daléj, ja słucham.

— Sura, żona Lejzora, ulitowała się nademną wdową i dała mi stancyjkę w kamienicy na cały rok, ale Lejzor po dwóch miesiącach mnie wyrzucił z dziećmi, — i daléj mówiła z płaczem i jękiem, — on cały majątek zawdzięcza Joselowi, on kupił tanio, miał „matkę” i na wosk... jemu nic nie dał, a wdowę z dziećmi wyrzucił, co ja zrobię, gdzie zasną moje dzieci?

— Ty się uspokój, schowaj łzy na większą boleść..... Ale co ja tobie poradzę? Ja nie mam stancyi dla ciebie.

— Reb Jankiel, — mówiła ocierając łzy — was każdy szanuje, i on musi szanować, wasze słowo zaważy u niego, niech on mi odda stancyę, mój brat daje mi tygodniowo trzy guldeny na życie moje i trojga dzieci, z czego ja zapłacę mieszkanie?

— Ja nie wiem, czy on mnie usłucha, ale ja pójdę i powiém mu za tobą.

Po skończonéj modlitwie, wyjął stary, pomięty notatnik i zaczął przeglądać przy świetle małéj świeczki spis miesięcznych ofiarodawców. Pomiędzy zalegającymi był i Lejzor Krausberg, zwlekający z zasady wypłaty dobrowolne.

Przeczytawszy to nazwisko, zachmurzył się stary, poprawił jarmułkę i gładząc siwawą brodę, rozmyślał nad życiem tego człowieka, którego znał od dziecka. On widział jego bezwzględność, zatwardziałe serce, kamienne sumienie względem współwyznawców i obcych. Żal, gorycz i wstyd poczuł dumny i chełpliwy ze swego narodu jałmużnik, rozpamiętując życie obecnego bogacza, który zawdzięczając Jehowie majątek, zapomina o swych braciach cierpiących.

Z tych rozmyślań obudził go szelest sztukania klamki u drzwi z ciemnéj sieni.

— Ruchlo, idź, otwórz.

Do izby weszło trzech biednych żydów, w podartéj i zniszczonéj odzieży, w butach obwiązanych sznurkami, brudni, niemyci, wynędzniali. Stanęli przy drzwiach, a starszy z nich przemówił:

— Reb Jankiel, bądź pozdrowiony od nas przybyszów. Dobrzy ludzie wskazali nam twój dom i polecili twemu sercu.

— Skąd wy?

— My idziemy z Turcyi, z nad Dunaju. Tam znieważano nasze obrzędy, naśmiewano się z nas, i marliśmy głodem. Dowiedzieiśmy się, że tu złoto płynie samo z ziemi i przyszliśmy po zarobek o proszonym chlebie.

— Wam źle powiedziano, wam tu będzie bardzo ciężko.

— Zawsze lepiéj między swoimi, aniżeli tam. Ale my nie sami, tam przed domem stoją nasze żony, dzieci, a na wózku przywieźliśmy położnicę.

— Na wózku? Macie konia?

— Myśmy ją ciągnęli, ona przed zachodem porodziła.

— Co ja z wami zrobię — kłopotał się stary. — Zawołajcie kobiéty i dzieci, a położnicę... Ruchlo, przygotuj tapczan.

Wstał i zbliżył się do wchodzących, patrząc z współczuciem na położnicę z trudnością wlokącą nogi.

— Siadajcie moi bracia, wy z drogi zgłodniali... Ruchlo czy masz chléb?

— Jest pół bochenka.

— Podaj, a wy spożywajcie w zdrowiu.

Mężczyźni usiedli za stołem, kobiety skupiły się koło tapczana.

— Reb Jankiel — mówił po chwili przybyły — tu są nasze papiery i świadectwo naszego rabi.

— Po co mi wasze papiery, — rzekł odsuwając pakiet — wasza bieda dla mnie wystarczy. Wy tu zaczekajcie, może ja znajdę nocleg dla was.

I powlókł się ciemnemi ulicami.

Wracał rynkiem do domu, wyszukawszy nocleg dla przybyłych i akuszerkę dla położnicy.

Wśród szeregu kamienic z podsieniami, okna mieszkania p. Krausberga były bardzo jasno oświetlone, a po szybach przesuwały się chwilami sylwetki osób.

Fala gniewu i goryczy podniosła się w sercu starca, gdy wspomniał na dzisiéjsze skargi, na biednych wygnańców i na zaległość miesięcznéj składki. Oparł obiedwie ręce na lasce, wpatrując się w jasne okna salonu p. Krausberga.

Dziś odbywała się zabawa, aby zadowolnić nudzącą się córkę. W salonie na wielkiéj kanapie rozsiadły się w jedwabnych sukniach, z wielkiemi zausznicami, z licznemi pierścionkami na palcach tłustych, panie Lindeman i Stillbach, obok na krzesłach panny. Towarzystwo zabawiał młody p. Lindeman, opowiadając o swym sprycie w wydobyciu planu fabryki cerezyny. Wprawdzie wszyscy znali już tę historyę, ale w braku lepszego przedmiotu dobry był i ten.

— Ja zgodziłem tego inżyniera za 300 marek i czekałem dwa dni w hotelu „*zum Kaiser Wilhelm*", bardzo piękny i tani hotel. Niemiec robi po całych nocach, bo w dzień zajęty, a ja sobie chodzę po fabryce i tak dla siebie przemierzam te i owe budynki, ja technik, ja znam się na tém — i śmiał się zadowolony.

— No, powiédz Moryc daléj, — zachęcała pani Lindeman syna, a zwracając się do sąsiadek mówiła, — teraz dopiero najzabawniejsza historya, mój Moryc mądry.

— Na trzeci dzień, Niemiec przynosi plan fabryki, ja sobie patrzę, pytam i liczę budynki, akurat brakuje dwóch magazynów obliczonych przezemnie. Ja mu daję pięćdziesiąt marek i żądam uzu-

pełnienia, a sam dla sprawdzenia zatrzymuję plany. I tyle mnie widział — śmiał się głośno i szczerze.

Towarzystwo wtórowało mu chętnie, a on prawił dalej:

— Jaką minę miał Niemiec, kiedy spytał portyera: *Ist Herr Lindeman in seinem Zimmer?*, a on mu odpowiedział: *Heute zwölf Uhr abgefahren...* Cha, cha, cha, to było doskonałe...

I w towarzystwie zapanowała wesołość z tego dowcipu młodego pana Lindemana.

W pokoju jadalnym trzéj spólnicy roztrząsali poważnie sprawę oszczędności na materyale i robotnikach budującéj się już fabryki cerezyny.

— Ja biorę na dozorców tylko naszych, — wywnętrzał się p. Krausberg, — do prostéj roboty najlepszy goj, nasz słabszy i chce drożéj.

— Ja już widzę — mówił uśmiechnięty p. Lindeman, — my z Lejzorem postawimy dobrą i tanią fabrykę. Lejzor, ja wypiłbym na powodzenie naszéj cerezyny.

Gospodarz dość niechętnie wziął karafkę i z wielką ostrożnością nalewał wino w małe kieliszki. Podniósł się z krzesła otyły p. Lindeman i wziął kieliszek w rękę, równocześnie otworzyły się drzwi od kuchni, i w nich stanął jałmużnik Jankiel. Wszyscy trzéj spojrzeli na niego zdziwieni, a przybyły zamknąwszy drzwi, zbliżył się spokojnie do stołu, mówiąc:

— Lejzor, ja przyszedłem po twoją zaległą składkę miesięczną.. a i wy dajcie na ubogich i chorych, wam będzie to wino lepiéj smakowało.

P. Krausberg przybladł z gniewu i wstydu i głosem zduszonym zawołał:

— Jankiel, ty pamiętaj, że wszystko ma swój czas i koniec, a moja cierpliwość także. Ty wybieraj dzień na jałmużnę i nie wałęsaj się po nocach, nie zakradaj się do cudzych domów.

— Lejzor ma racyę — mruknęli spólnicy.

Starzec wyprostował się, zabłysły mu oczy, i podniosłszy głos mówił:

— Czy wy, siedzący tu w pokoju przy winie i jedzeniu, wiecie skąd ja wracam, dlaczego wyszedłem w ciemną noc, szukając laską drogi?... Ja byłem u waszych braci... otwórzcie oczy wasze, rozewrzyjcie uszy wasze, pokażcie serca wasze, oto tam płaczą, jęczą, wiją się z głodu i choroby dzieci Izraela; obdarci, nędzni, odpychani, idą drogą życia. Głód pożéra ich wnętrzności, ciało pada z choro-

by, język przysycha im do ust, a niemasz nikogo, ktoby pocieszył, nakarmił, napoił, przyodział....

Głos jego zwabił ze salonu przyległego całe towarzystwo, które zwarło się w drzwiach, nasłuchując. Pan Krausberg stłumił gniew w sobie i rzekł dość łagodnie:

— Jankiel, idź do domu, my jutro pogadamy o tych sprawach.

— Jutro!? — zaśmiał się jałmużnik drwiąco — a czy wy wiecie, że teraz u mnie są biedni wygnańcy, wasi bracia, z żonami i dziećmi, oni głodni, nadzy, biedni, oni nie mogą czekać. Ty Lejzor dzisiaj oddaj dług.

— Dziś nie dam, — syknął z zawziętością — i ty idź sobie Jankiel.

Pan Lindeman, chcąc pomódz spólnikowi, dodał z uśmiechem:

— Im dobrze u ciebie, ale ty Jankiel źle ich przyjmujesz, ty uciekasz od twoich gości.

Zaśmiano się głośno.

Wzburzony jałmużnik zawołał:

— O wy serca zatwardziałe, ja do was mówię jak do braci, a wy mnie zbywacie plugawemi żartami. Teraz ja wam powiem, że dzień kary, dzień sądu Pana jest już bliski, i drżyjcie, bo ręce wasze są krwią zmazane, palce nieprawością, a wargi kłamstwem. Jehowa pomści na was i na waszych dzieciach cierpienia i płacz ludu swego. Trwajcie dalej w rozpuście i grzechach waszych, ale drżyjcie, bo dzień sądu jest blizki.

Po jego wyjściu nastało chwilowe milczenie, pierwszy przemówił p. Krausberg, blady ale spokojny.

— Ten Jankiel na starość zwaryował i gada same głupstwa.

— Jego trzeba zaskarżyć do starszych, niech mu odbiorą jego urząd, — mówił zgorszony pan Lindeman,—on burzy spokój i szkodzi nam.

— Ja zaskarżę go jutro — zaczął p. Krausberg — jego trzeba usunąć, bo on... A p. Stillbach dokończył:

— Waryat!

XVIII.

Pan Stillbach pierwszy przyniósł na giełdę pod apteką wiadomość, że oddział banku anglo-austryackiego, który zakupił grunta w Schodnicy, odstąpił swe prawa spółce kapitalistów krajowych, na czele których stoi p. Floryański.

Kupcy i faktorzy zainteresowani nietylko w sprawaah nafty, ale i w projektowanych pośrednich zyskach przyszłego przedsiębiorstwa, wszczęli żywą rozprawę nad tą nowiną.

Pan Lindeman, który na sprzedaży kuponów bankowi zrobił dobry interes, mówił z niezadowoleniem:

— Ta spółka krajowa nie ma sensu. Niemcy przyjeżdżali ze swemi pieniędzmi, nie znali stosunków tutejszych, ani kraju, oni musieliby iść z nami. Byłyby kapitały obce w ruchu, a nasz towar miałby popyt pomiędzy Niemcami.

— Całkiem słusznie, — podchwycił inny kupiec, taki tutejszy on się nie zna na interesie, on będzie balował, a interes puści na obce ręce, sfuszeruje i obniży cenę.

— Niech będzie sobie krajowy, — rzekł pan Bernstein, ściskając ramionami, — co nam to szkodzi, aby tylko on miał pieniądze i płacił dobrze.

— Nu, a ty Lejzor co mówisz?

— Ja sobie myślę, zkąd się wzięły te krajowe kapitały? To jest nieczysty interes, za tą spółką muszą siedziéć bankierzy... może oni zrobią zmowę i obniżą cenę towaru, wezmą cały handel w swoje ręce... Wszczął się gwar, bo podobny projekt wprowadzony w życie, groził klęską prawie wszystkim członkom giełdy. Wśród krzyżujących się pytań i odpowiedzi zawołał pan Lindeman:

— Słuchaj Stillbach, kto jest Floryański?

— Floryański? Ja się pytałem, on jest administrator spółki, on ma swoich dyrektorów, buchalterów, on w interesie jest wszystkiém.

— Nu, ale co on za jeden? Czy można z nim pogadać?

— Ja nie wiem. On jest inżynier i pracował zagranicą.

— Co tu dużo gadać? — przerwał p. Krausberg, — on przyjedzie, to my go poznamy.

Przez kilka dni Drohobycz, Borysław i Schodnica pełne były wieści o nowéj spółce naftowéj i z pewnym niepokojem czekano przyjazdu reprezentanta towarzystwa krajowego.

W początkach lutego rozeszła się wiadomość, że oczekiwani przyjechali. Faktorzy trzymali hotel w oblężeniu, wyczekując sposobności zarobienia, usłużenia i poznania przyjezdnych. Z rozczarowaniem spostrzegli, że czteréj panowie, administrator, dyrektor, buchalter i sekretarz wsiedli do sanek pocztowych i pojechali do Schodnicy, nie wezwawszy faktora do pomocy.

Na ulicach, po sklepach, na giełdzie opowiadano sobie, że administrator, p. Floryański, wynajął od p. Hamersteina, właściciela

Schodnicy, dwór, że wspaniałe meble przyszły koleją, ma kucharza, lokajów, pyszne konie, że za wszystko płaci gotówką, bez wielkich targów.

Zdziwienie i żal były ogólne wśród żydów, że przy takich wydatkach, zapotrzebowaniach, wypłatach oni stali na uboczu, skazani na niemych świadków.

— To jakiś antysemita! To nasz wróg! — odzywały się liczne głosy, i sypały się złorzeczenia na głowę administratora.

Niechęć rosła tem większa, że ci, którzy podstępem uzyskali przystęp, odchodzili z niczém. Na wszelkie propozycye pomocy, ułatwienia, wyjaśnienia pan Floryański pozostał głuchy i odmawiał szorstko.

Skargi pośredników doszły do poważnych kupców i wywołały oburzenie, a ponieważ dotychczas tylko p. Hamerstein z nim zrobił interes udano się do niego o wyjaśnienie:

— Ja nie wiem, — odparł zapytany — on wszystko kupuje u szlachciców, u chłopów, może on antysemita, a może próbuje czy mu to nie wypadnie taniéj? Ja nie mogę skarżyć się na niego, wszystko z góry zapłacił i swoim kosztem naprawia, on mi wyporządzi cały folwark — uśmiechnął się zadowolony.

Wiadomość, że w Drohobyczu odbędzie się zjazd obywateli okolicznych, sproszonych przez p. Floryańskiego, zaciekawiła wszystkich, i z niecierpliwością oczekiwano tego dnia.

Rynek w Drohobyczu, na którym zwykle było słychać tylko szwargot żydowski, w połowie lutego zabrzmiał licznemi dzwonkami i janczarami sanek, a hotele pełne były przybyłych gości.

W południe miało się odbyć zgromadzenie w sali kasyna, które na ten dzień ustąpiło swego lokalu.

Tłumy ciekawych, prawie wyłącznie żydów, zaległy tę część rynku, wyrażając głośno swe zapatrywania na poszczególne osobistości.

Dzień był jasny, suchy, mroźny; żydki w watowanych chałatach, w lisiurkach, z szyjami owiniętami kolorowemi, jaskrawemi szalami, to przechadzali się zwolna, znów stawali grupami, omawiając zresztą przy téj sposobności swoje interesa.

Pierwsze zajechały sanki wprost ze Schodnicy, zaprzężone w czwórkę pięknych i dobranych szpaków, wiozące administratora i dyrektora. W drugich jechali buchalter i sekretarz.

Wśród zebranych rozległ się głuchy szmer niezadowolenia, niektórzy spluwali, jak na widok nieczystego stworzenia, inni mruczeli przekleństwa, rozgoryczeni zawodem i próżnym wysiłkiem.

W jakiś czas z różnych stron rynku zabrzmiały dzwonki, to zjeżdżała się zaproszona szlachta, która powodowana próżnością i chęcią pochwalenia się zaprzęgami, z hotelów niezbyt odległych jechała szumnie do kasyna.

Żydzi patrząc na ten zjazd znanych im doskonale pod względem majątkowym obywateli, uśmiechali się, rzucając sobie głośne uwagi krytyczne i dowcipy, wszystkie na tle stosunków pieniężnych.

Gdy sanki wróciły do hoteli i zajazdów, opróżnił się trochę rynek, i tylko wytrwalsi faktorzy zostali na czatach.

W sali kasyna był wielki tłok i gwar; zebrało się około dwudziestu obywateli, którzy głośno się witali, dopytywali o nowiny, ściskali i całowali. Patrząc na nich, czuć było, że to ludzie, którym nikt nie następywał na nagniotki, nie trącał łokciami. Ze wszystkich stron dolatywały zmieszane pytania i odpowiedzi:

— A i sąsiad dobrodziéj tutaj?

— Cóż robić? Dostałem list, że idzie o ważną sprawę i przyjechałem.

— U Kalikstów była pyszna zabawa.

— Ubito trzy lisy, dwa sarniaki i osiem zajęcy.

— Nie młócę, bo cena za nizka.

— Ciekawa rzecz, co nam powie ten handlarz?

— Musimy być ostrożni, bo teraz każdy drze z nas, chłop, żyd, rząd, sejm...

— To prawda, święta prawda.

Wszedł pan Floryański, wysoki, szczupły, szatyn, lekko szpakowaty, z krótką przystrzyżoną brodą, z wyrazem szczerości na ładnéj twarzy. Spojrzał na zebranych pięknemi, piwnemi oczyma, lekko zadzwonił i zaczął:

— Dziękuje panom, że raczyliście przyjechać na moje prośby listowne. W roku zeszłym grono kapitalistów krajowych postanowiło przemysł kopalniany, t.j. dobywanie nafty i wosku, wziąć w swe ręce. Dotychczas korzystali z tych nieprzebranych bogactw naszego kraju tylko Żydzi i Niemcy; produkta w stanie surowym wywożono zagranicę, a przerobiony nasz produkt kupowaliśmy tutaj za drogie pieniądze. Spółka kopalniana, na któréj czele mnie postawiono, ma zadanie tę gałąź przemysłu uczynić krajową i do eksploatacyi użyć jedynie sił naszych, narodowych. Tak wielkie i obliczone na wielką skalę przedsiębiorstwo posiada różne gałęzie poboczne, które w myśl przewodnią Spółki kopalnianéj powinny służyć do podniesienia dobrobytu krajowego. Spółka zamierza jeszcze w tym

roku zbudować fabrykę oczyszczania nafty, by wyprzéć rafinadę amerykańską i rosyjską, następnie pobudować domy mieszkalne dla urzędników i robotników Spółki w Schodnicy. Nie chciałbym używać pośredników w dostarczaniu materyałów nam potrzebnych, sądzę że i dla panów i dla nas będzie korzystniéj, gdy pominiemy wydatki trzeciéj ręki, t. j. pośrednika. Jak panom z listów wiadomo, potrzebujemy: drzewa budulcowego, cegły, kamieni, pewnéj ilości furmanek do przewozu przyrządów fabrycznych, rur, kotłów, świdrów i t. d. z kolei. Następnie potrzebujemy pewnéj ilości żywności dla robotników. Robotnik źle żywiony i źle płatny robi zawsze licho. Dotychczas w kopalniach nafty i wosku ziemnego był on w sposób ohydny wyzyskiwany, i nasze krajowe kopalnie pozyskały w całéj Europie smutną sławę mordowni robotników. Spółka, przynajmniéj w swym zakresie, pragnie to zmienić. Za nizką cenę damy pożywny pokarm robotnikowi i w tym celu, na początek tylko dla 100 ludzi, potrzebujemy dostawy mąki, krup, nabiału, słoniny i mięsa wędzonego. Nie wymagam od panów ustępstw, bo w interesie najgorszą rzeczą są poświęcenia, ale podajcie panowie ceny możliwe, nie przewyższające cen żydowskich składów. Spółka musi miéć jednak pewność dostawy i w tym celu proponuję panom założenie oddzielnych kółek dostawy poszczególnych przedmiotów z wzajemném poręczeniem dotrzymania umowy. Panowie, tu w naszym kraju drzémią w głębi ziemi miliony i miliony, które zdołają wzbogacić cały nasz kraj, a Spółka pragnie je wydobyć, lecz do takiéj pracy potrzebna jest energia zbiorowa, stańmy się, panowie, zawiązkiem nowéj, pomyślniejszéj epoki rozwoju ekonomicznego przez wspólną pomoc i pracę. Spółka nie ma zamiaru ograniczyć się jedynie na Schodnicy, całe Podkarpacie jest prawdopodobnie złożem nafty i wosku, i wraz z wiosną rozpoczniemy poszukiwania ściśle techniczne i naukowe.

Umilkł na chwilę, wtém z głębi sali odezwał się głos:

— Słusznie pan mówi, u mnie po każdéj powodzi pływają oczka naftowe, pewno jest nafta.

— I u mnie odezwał się inny.

Ten i ów uśmiechnął się, rozjaśnił twarz, na myśl że w jego wsi, na jego polach znajduje się cenny produkt i wzbogaci go bez pracy na krocie, miliony....

— Moi panowie, — mówił daléj administrator, — kazałem sporządzić odbitki litograficzne spisu potrzebnych nam materyałów furmanek, żywności. Panowie zechcecie przejrzéć, złączyć się

w kółka, porozumieć i w tym celu zawieszam nasze zgromadzenie na pół godziny.

Skłonił się i już miał się ku wyjściu do dalszych pokoi, gdy posłyszał:

— Za pozwoleniem, proszę o głos.

Z kąta sali, rozpychając sąsiadów, szedł do stołu środkowego nizki, dość otyły szlachcic. Stanął, odsapnął głośno, pokręcił zawiesistego wąsa i odchrząknąwszy rzekł:

— Pan, dobrodzieju, mówił pięknie i rozumnie, ani słowa, co prawda to prawda, ale zauważyłem dobrodzieju, że ani słowa o cenach, o wypłacie, a to grunt. Kraj, bogactwo krajowe, wspólne siły— to ładne, bardzo ładne rzeczy, ale bierzesz pan, dobrodzieju, odemnie, płaćże pan i powiedz cenę. Żyd przyjedzie, to on mi, dobrodzieju, daje nie to zadatek, ale połowę, a czasami i całą należność za towar, który mam mu dostarczyć. Pan żąda gwarancyi, bardzo dobrze, ale co pan powie na nasze żądanie gwarancyi? Kto mnie zapewni, że dowiózłszy drzewo, wydawszy na zrąbanie, oczyszczenie, zwózkę, ja otrzymam należność, no i kiedy? My dobrodzieju nie siedzimy na kapitałach, jak wy, przemysłowcy, i handlarze, człowiek musi się dobrze napracować i napocić, zanim grosz dostanie. Tak tedy, panie dobrodzieju, powiedz nam, jaka zaliczka, kiedy wypłata i jaka gwarancya, a wówczas pogadamy.

Widząc zaś uśmiech administratora, zaczerwienił się i dodał:

— Zagranicznego mędrkowania ja tam nie próbowałem, co na myśli, to i na języku. Mówię szczerze, otwarcie i tego wymagam, nic więcéj.

Szmer pochwały i zadowolenia przeszedł po zgromadzeniu, i z ciekawością patrzano na pana Floryańskiego, czekając jego odpowiedzi.

— Miło mi, że poprzedni mówca tak otwarcie postawił sprawę. Moja wina, że nie poruszyłem téj kwestyi ustnie, zapomniałem dodać, że warunki dostaw są wymienione w litografowanym spisie naszych zapotrzebowań. Dowiedziawszy się jednak, że panom może zależyć na zaliczce, a raczéj gwarancyi naszéj, podwyższam procent dziesiąty od sumy zobowiązanéj dostawy do dwudziestu pięciu, a nawet wyżéj postąpię na żądanie danego kółka dostawców.

Po jego wyjściu zawrzało w sali jak w ulu. Ci i owi zbliżali się do pana Boreckiego, który przemówił w sprawie cen i warunków, ściskali rękę, prawiąc słowa uznania.

— Bo to, dobrodzieju, prawdę rznąć najlepiéj — odpowiadał podkręcając wąsa.

Na chwilę nastała cisza, odczytywano bowiem spis i warunki dostaw, następnie ci i owi zaczęli oglądać się za towarzyszami kółek żądanych. Zwolenników zawiązania spółki odpowiedzialnéj było jednak bardzo mało. Życie samodzielne, swobodne, niemal nieokiełznane na wsi po szlacheckich dworach, było zbyt silnie odziedziczone i zakorzenione, aby tak łatwo mogło przejść na tory wspólnego i odpowiedzialnością obciążonego działania. Pierwsza zawiązała się spółka dostawy drzewa budulcowego. Każdy bowiem z nich miał kawał lasu, mógł zatém dotrzymać zobowiązania, a znów ścięcie i zwózka przez chłopski sprzężaj nie przedstawiały trudności. Natomiast inne dostawy wymagały wzajemnego zaufania, prawa kontroli, pewności spełnienia warunków, i minęło pół godziny a zebrani nie doszli do rezultatu.

Wszedł pan Floryański, pytając zgromadzonych o wyniki narady.

Pierwsi zgłosili się panowie ze spółki dostawy materyałów budulcowych. Zaofiarowano więcéj drzewa, aniżeli było potrzeba, i dopiéro po ustępstwach wzajemnych przyszło do zgody.

— A kółka innych dostaw? — spytał administrator.

Odpowiedziano mu głuchym pomrukiem i dopiéro po chwili milczenia poprosił o głos pan Turski, szlachcic wysoki, siwy, trzymający się sztywno, i zwolna mówił:

— My tu, panie, siedzimy z dziada pradziada po dziedzicznych wioskach, majątek przechodzi z ojca na syna, bo dorobkiewicze nie są łakomi na górską ziemię, więc my wszyscy swojacy. Każdy z nas wié, że u sąsiada jest cegła, młyn, furmanki, nabiał, słonina... jak zwykle w gospodarstwie szlacheckiém, ale każdy z nas szanuje granice i nie dochodzi ani ilości, ani gatunku, ani sposobu, dość jest kłopotu i pracy ze swojém. Żyjemy téż zgodnie, po sąsiedzku, jak Bóg przykazał, no i tak chcemy żyć i nadal. Któż kładzie zdrową głowę pod ewangelię? A pan, panie dobrodzieju, wymaga tego od nas... Ktoby z nas dla kilku czy kilkunastu złotych reńskich zarobku chciał zrobić przykrość sąsiadowi, zrywać z nim, narażać się na jakieś pretensye, kontrole, kwasy... A uchowaj nas Panie Boże od tego...

Ciche głosy zadowolenia, uznania, zgody odzywały się ze wszystkich stron, czém zachęcony mówca ciągnął daléj:

— Chcesz pan dostaw dla waszéj Spółki, a i owszem, dobrodzieju, toż my szanujemy każdy grosz, bo nam ciężko przychodzi, ale zróbże to po ludzku, po naszemu, nie narażaj nas pan na gniewy i procesy. Każdy z nas podejmie się dostawić tego lub owego po

takiéj a takiéj cenie... i dostawi napewno. Czy to my Żydy albo Niemcy, abyśmy kupą chodzili ze strachu? Każdy wié do czego się zobowiązał, dał cyrograf na piśmie i koniec. Pan może na nim poszukiwać pretensyi, ale nie obywatel, nie sąsiad.

Skończył. Rozległy się huczne brawa i półgłośne okrzyki:

— Jak Boga mego kocham, prawdę powiedział!

— Daj mu Boże zdrowie!

— Dzielny stary!

Wiwat Turski!

A on gładząc siwą, nastroszoną czuprynę, kłaniał się z uśmiechem na wszystkie strony, rad z pochwał, rad z wrażenia swéj mowy.

— Widzę, że inne kółka dostaw, — rzekł pan Floryański z wymuszonym uśmiechem, — dochodzą z trudnością do zgody. Chcąc jednak umożliwić panom dostawę żywności, założę sklep spożywczy. Do takiego sklepu możecie panowie w dowolnym czasie i ilościach przywozić produkta, ale uprzedzam, że termin wymieniony w umowie musi być dotrzymany. Co do innych zapotrzebowań porozumiemy się późniéj, a teraz proszę panów na przekąskę.

Przeszli tłumnie do pokojów sąsiednich, gdzie były suto zastawione stoły. Wśród brzęku talerzy, nożów i widelców, dźwięku kieliszków rozwiązały się usta. Rozmawiano dużo, głośno i dobitnie. Pan Floryański wraz z podwładnymi urzędnikami zapraszał, podawał, nalewał, co ujęło gości, i jaki taki dopytywał się szeptem o jego pochodzenie.

Pan Borecki, który pierwszy przemówił krytykująco na zgromadzeniu, uważał za właściwe uprzejmością zatrzéć swoje wystąpienie, i gdy do niego zbliżył się gospodarz, spytał:

— Mój dobrodzieju, Floryańscy są herbu Ślepowron, czy pan z tych?

— Pieczętuję się tym herbem. chociaż dzisiaj dawne herby nie mają znaczenia.

— O siadajże pan obok mnie, dobrodzieju, toż my powinowaci, jak Boga kocham, moja prababka z Floryańskich Ślepowronów, a to dobrodzieju niespodzianka! Siadajże pan, proszę.

— Posłuszny, usiadł obok, nalewając sobie kieliszek wina.

— Trąćmy się, dobrodzieju... hm, jeśliby wolno było się zapytać, gdzie téż pan się rodził?

— W Tarnowskiém.

— No proszę, tam i moja prababka, o bardzo mi miło panie dobrodzieju poznać powinowatego. Powiedzże, proszę, co cię zagnało do handlu, toż rodzina zamożna, *bene nati et possesionati.*

— Dobra wola służenia krajowi. Dawniéj wystarczał miécz, a dziś łokieć i miarka górą. Wszędzie żydzi, wypierają nas zewsząd, oni decydują w handlu, przemyśle, kredycie; trzeba przeciwdziałać.

— Hm... hm,.. niby racya. Ale uważasz pan, co zrobi szlachcic bez żyda, dobrodzieju? Ani kupić, ani sprzedać, i panu radzę, jako powinowaty, idź z nimi zgodnie, nie zarzekaj się, nikt tak dobrze nie usłuży jak żyd.

— W ostateczności przyjmę pośrednictwo żydowskie, ale nie pojmuję, jak możecie żyć panowie w takiéj zależności.

Zaśmiał się głośno pan Borecki i stukając kieliszkiem o kieliszek mówił rozweselony:

A bodajże cię, dobrodzieju, o panie! Daj mi Boże taką zależność na całe życie, toż ja go skrzyczę, potrącę, zwymyślam, a on mi służy za parę groszy faktornego. Ii, żyd to głupstwo, zawsze dojdę z nim do ładu, ot banki, te psiawiary nie odstąpią terminu, dawaj, płać, bierz skąd chcesz, a musisz zapłacić. Ano wypijmy za nasze zdrowie, bardzom rad ze spotkania.

Wypili, i p. Floryański poszedł do innych gości. Wkrótce półszeptem rozeszła się wiadomość, że administrator to szlachcic herbowy, pokrewny pana Boreckiego. Zaczęto na niego spoglądać przyjaźniéj, a ten i ów szepnął do sąsiada:

— Widać było po nim, i zaraz poznałem, że on z naszych, urodzony szlachcic.

Zachęcony tém, pan Bilski wstał od stołu, poprowadził administratora do kąta i zaczął się zwierzać:

— Bo to, mój dobrodzieju, mam trzech synów. Najstarszy pomaga mi w gospodarstwie, ale tamtych dwóch trudno mi dopilnować. Dobre chłopaki, jak mi Bóg miły, średni ma bardzo układną rękę do pióra, pisze mi wszystkie listy i podania, ten mógłby być aplikantem u was, a najmłodszy—jedyny do dozoru. Chłopi boją się go jak ognia, bo szelma sprytny i przewidujący. Bywało jak pójdzie w las, albo na łąki, zawsze coś zajmie.

— Ma pan tedy pociechę z synów, —- rzekł z lekką ironią.

— Pociecha pociechą, ale i kłopot panie dobrodzieju. Tak prosiłbym pana, jako brata szlachcica, pomóż mi, weź tych dwóch chłopaków do waszéj Spółki. Toż potrzebujecie ludzi, pomocników, nastawników, oni przydadzą się także, a lżéj mi będzie żyć. Cóż, zgoda?

— Rozpatrzę, chciałbym wpierw ich zobaczyć, zapytać...

— Jutro przyszlę ich obu... Powiadam panu, uczciwe i dobre chłopaki. Jeden ma lat 23, a drugi 21, no zobaczysz pan sam, ja się nie przechwalam, ale mało tak dobrych dzieci.

— Nic pewnego nie mogę powiedzieć, muszę wpierw poznać ich kwalifikacye.

— Kwalifikacye? Ano, średni skończył czwartą gimnazyalną, a młodszy trzecią realną, zresztą domowa edukacya, a to grunt.

W czasie przyjęcia gości miał pan Floryański sposobność pomówić na osobności z dyrektorem i buchalterem Spółki.

— Co panowie sądzicie o tych dostawach?

— Drzewo będzie, to pewna, trochę trzeba będzie przebrakować może, ale dostawią — odpowiedział dyrektor.

— A reszta dostaw? Czyż musimy koniecznie brać żydów?

— Sprobójmy z nimi panie administratorze, — odezwał się buchalter, — na przyjęcie dostaw żydowskich mamy czas.

— I ja sądzę, że na razie należy uledz ich niezaradności i przyjąć poszczególne zobowiązania. Zawsze to swoi i lepiéj z nimi, aniżeli z żydami.

Po skończoném śniadaniu i przejściu do sali głównéj rozpoczęto spis dostaw poszczególnych obywateli i wraz nastąpiła wypłata zaliczek odpowiednich deklaracyom poczynionym.

Na zakończenie przemówił jeszcze raz pan Floryański.

— Usilnie prosiłbym panów o ścisłe wykonanie umów, które zaciśnie nasz wzajemny stosunek i pozwoli się obliczyć z naszemi siłami. Społeczeństwa europejskie dzięki rozrostowi spółek i solidarności wypróbowanéj wzrastają w siły i potęgę ekonomiczną. My jesteśmy w trudniejszych warunkach, gdyż pozwoliliśmy żydom opanować handel i przemysł. Oni idą zwartą masą na wzór osławionéj „*Alliance israelite*”, my możemy tylko i jedynie wspólnemi siłami, zjednoczeniem przeciwdziałać temu naporowi wrogiemu. Panowie jesteście czołem narodu, jego inteligencyą, na was zwrócone są oczy wszystkich, wy dajecie przykład innym warstwom społecznym, a gdy raz poczujemy potęgę działania solidarnego, niema takiéj siły, którąby nas złamać mogła. Miliony są tutaj w ziemi, a bodaj czy nie większe miliony leżą przytłumione naszą bezczynnością i biernością.

Szlachta wychodziła tłumnie i spiesznie z kasyna, gdyż przed wyjazdem wielu miało pozałatwiać różne sprawunki. Wśród odchodzących dały się słyszéć głośne pochwały:

— Dzielny człowiek!

— Taki się nie da, bo ma kapitały.

— Dobrze mówił!

Wszystkich jednak przygłuszył głos pana Boreckiego:

— Zaraz poznać człowieka, co szlachcic, to szlachcic!

Tegoż wieczora dowiedzieli się żydzi o przebiegu i wyniku zgromadzenia.

Pan Krausberg, słuchając na zwykłéj wieczornéj giełdzie relacyi o panu Floryańskim, uśmiechnął się ironicznie, a gładząc brodę, rzekł do swego towarzysza:

— My możemy spać spokojnie, z nimi nie zajedzie on daleko, już my go dogonimy.

Słuchacze kiwnęli głowami potakująco i powtórzyli uśmiechnięci.

— Już my go dogonimy!

XIX

Schodnica, a zwłaszcza dwór od czasu zamieszkania pana Floryańskiego ożywiły się znacznie. Przez wieś przeciągały nieustannie chłopskie furmanki dostawiające drzewo budulcowe, cegłę, kamienie, rozlegały się krzyki dozorców, przebiegali kontrolerzy z miejsca na miejsce, doglądali porządku starsi urzędnicy. Dwór w Schodnicy, długi, parterowy budynek, z gankiem na dwóch słupach, mieszczący również tymczasowe biuro Spółki kopalnianéj obok prywatnego mieszkania administratora, roił się od wozów i ludzi. Zgłaszali się przedsiębiorcy, cieśle, mularze; przesuwali się liczni urzędnicy po rozporządzenia, a pan Floryański patrzał na ten ruch zadowolony, ciesząc się, że to on powołał do życia i czynu drzemiące bezczynnie siły.

Dostawione drzewo wprawdzie nie zawsze trzymało miarę przepisaną, bywało téż czasem za krótkie, ale bądź co bądź kółko dopełniało swych zobowiązań. Natomiast napływały nieustanne skargi na brak przyrzeczonych podwód do kolei i utyskiwania na liche konie, łamiące się sanie i wozy.

Pan Floryański, korzystając z bytności pana Turskiego, przybyłego po odbiór należnych mu pieniędzy, kazał go prosić do swego gabinetu, pokoju obszernego, którego umeblowanie składało się z fotelików i kozetki obitych skórą bronzową, z wielkiego dywana i biurka dębowego.

— Prosiłem pana, aby zasięgnąć jego rady w sprawie dla mnie drażliwéj.

— O co idzie?

— Pan zna przecież warunki umowy o podwody do kolei.

— Czy nie przysłałem? I mam nawet pewne pretensye, nie tyle do pana, ile do nadzorców pańskich. — mówił ożywiając się, — bo to proszę pana ładują na sanie Bóg wié jaki ładunek, marnują mi konie, łamią się sanie, a inne podwody próżne idą prawie.

— Właśnie o tych furmankach chciałem mówić. Panowie przysyłacie sprzężaj bardzo lichy, lada ciężar, konie ustają, sanie się łamią, a jednak wyraźnie stoi w umowie, że para koni ma dowieźć trzydzieści centnarów sanną drogą.

— Ależ nie po takich wertepach jak do Schodnicy. Zważ pan, że tu są strome góry, a nasi ludzie i konie są nieprzyzwyczajeni do takich ciężarów.

— Obowiązek jest obowiązkiem, a konie są bardzo marne, same wywłoki.

— Trudnoż posyłać panu cugowe — uśmiechnął się z ironią, — i tak zdaję na łaskę i niełaskę parobka cały sprzężaj, nie mogę wybierać co najlepsze konie.

— Jednak podpisaliście zobowiązanie.

— No zapewne, w gorączce ukończenia interesu, ale policz pan, gdybyśmy wysyłali dobry sprzężaj, musielibyśmy dać dozorcę osobnego, no a koszt utrzymania koni, człowieka i dozorcy zjadłby cały dochód. Nie starczyłaby skórka za wyprawę.

— Ale ja takich furmanek nie mogę użyć do przewozu ciężarów.

— To rzecz pana i tych którzy się zobowiązali, cóż ja na to poradzę? Odpowiednią ilość podwód wysłałem i jestem zwolniony z mego zobowiązania.

— Sądziłem, że pan zechcesz wpłynąć na swych sąsiadów.

— Nie panie, a po cóż mi się mieszać w cudze sprawy? Ja człowiek spokojny i chcę żyć w zgodzie z moimi sąsiadami.

Na tém skończyła się konferencya, a gdy nadchodząca wiosna groziła roztopami i uniemożliwieniem dostawy, pan Floryański zwrócił się do chłopów. Ci jednak, chcąc korzystać z chwili, stawiali mimo słabego sprzężaju tak wygórowane warunki, że widział się zmuszony udać do furmanów żydów i przy pomocy pośrednika znalazł chętnych i odpowiedzialnych dostawców.

Giełda pod apteką dowiedziała się o fakcie spełnionym z wielkiém zadowoleniem, a pan Krausberg wydął dumnie usta, mówiąc:

— Ja mówiłem, że my go dogonimy, no i on sam przyszedł do nas.

Z wiosną rozpoczęła się gorączkowa praca na terytoryum Spółki kopalnianéj. Na miejscach wyznaczonych przez inżyniera górniczego ustawiono cztery wieże kanadyjskie, które wierciły ziemię poszukując oleju skalnego. Opodal stały olbrzymie, biało malowane rezerwoary nafty surowéj, które na tle czarnéj, wiosennéj ziemi wyglądały jak wielkie pęcherze na nogach potwora, którego ręce poruszały z chrzęstem i zgrzytem świdry wież kanadyjskich. W saméj Schodnicy, na gruntach świeżo zakupionych, wrzała praca około budowy domów mieszkalnych dla urzędników i biur Spółki kopalnianéj. A w dolinie Tyśmienicy, tuż koło plantu kolei, wprost budującéj się fabryki cerezyny, pod górą wiodącą do Drohobycza budowano fabrykę rafineryi nafty.

Z powodu robót w polu dostawa cegły i kamienia została wstrzymaną, i w takiéj chwili w biurze Spółki zjawił się pan Mroziecki, proponując podjęcia się dostawy potrzebnych materyałów.

Wyświeżony, uśmiechnięty, pełen ukłonów i słów uprzejmych, otrzymał dostawę cegły i kamienia do fabryki rafineryi, złożywszy żądaną kaucyę.

Pan Krausberg, który był dostawcą fabryki cerezyny, dowiedziawszy się o nowém przedsiębiorstwie pana Mrozieckiego, starał się usilnie o widzenie się z nim w miejscu odosobnioném.

— Proszę pana — przemówił tajemniczo — po co my tutejsi mamy robić sobie konkurencyę. Pan dostawia Floryańskiemu, a ja fabryce cerezyny, my możemy razem zrobić ten interes.

— W jaki sposób?

— Nu, sposób się znajdzie. Pan może kazać skręcić do mojéj fabryki furom, a oni kwit z rafineryi mogą także dostać. Ja płacę gotówką połowę należności. Co, dobrze? Po co my swoi mamy żałować obcego?

— Nie, to jest niemożliwe, tam jest zawsze dozorca i on wydaje kwity.

— Ja go znam, to jest młody Bilski, z takim można dać sobie radę. Chcę pan, ja go wyprawię do Drohobycza, młody jest zawsze głodny, on już pojedzie.

— Nie mów pan, ja sam to zrobię... Pan zapłaci gotówką?

— Nu, czy pan mnie nie zna? Krausberg zawsze płaci gotówką. Dziś dowieźli, dziś zapłaci. My przecież swoi.

Młody pan Bilski, chłopak wysoki, niezgrabny, z przydługiemi rękami, w obcisłéj marynarce, w butach palonych, stał w bramie

ogrodzenia budującéj się fabryki, jak bocian na czatach, wypatrując wązkiemi niebieskiemi oczyma nadjeżdżające wozy z cegłą.

Manipulacya przyjęcia materyału odbywała się w ten sposób, że przy każdym transporcie z cegielni oddalonéj o dobre pół mili od fabryki był dozorca ze strony p. Mrozieckiego, który stawał obok p. Bilskiego, wspólnie liczyli wjeżdżające fury, i następnie p. Bilski wręczał kwity Spółki kopalnianéj w ręce dozorcy. Swój urząd kontrolera spełniał p. Bilski sumiennie, a w poczuciu nowéj godności wyzwalał swą energię, hałasując i krzycząc na chłopów, wskazując donośnym głosem miejsca, gdzie należało składać cegłę. Pan Mroziecki w ostatnich dniach zajeżdżał często do budującéj się fabryki, pod pozorem kontroli cegły, któréj tysiąc sztuk płacono wówczas dwadzieścia guldenów. Wkrótce zaprzyjaźnił się z prostodusznym chłopakiem i zaprosił na śniadanie do handelku w Drohobyczu.

— Nie mogę jechać, a nuż nadjadą fury z cegłą, kto policzy? kto skontroluje?

— Teraz południe, chłopi popasają konie, wpadniemy do miasta na chwilkę i wrócimy zaraz.

— Nie, nie mogę.

— Jeśli spotkamy w drodze, każę dozorcy wstrzymać transport do naszego powrotu. Od pierwszego spotkania uczułem dziwną przyjaźń dla pana, i szczerze mi żal, że pan taki wykształcony, z porządnego domu, po całych dniach ma do czynienia z chłopstwem.

Zarumienił się młodzieniec z usłyszanych pochwał i rzekł miękko:

— Trudno panie, takie czasy nastały, że ja, Bilski herbu Topór, muszę służyć. No, ale to chwilowo panie, osiądę późniéj na wsi, a taka praktyka przyda się w gospodarstwie, panie.

— Phi, co za praktyka!? Dla szlachcica koń, strzelba i wino, to praktyka, reszta przyjdzie sama z siebie. No, jedźmy.

— Hm... a jeśli przyjedzie Floryański, albo dyrektor, i nie zastaną mnie na stanowisku.

— Chyba zjeść panu wolno, trudno stać o głodzie cały dzień.

— Hm... to prawda, głodny jestem jak pies.

— Więc jedźmy.

Trzy razy tygodniowo zajeżdżał p. Mroziecki do fabryki, zabierając p. Bilskiego na śniadanie, a w czasie jego nieobecności poinformowany dozorca cały transport cegieł skierowywał do naprzeciw leżącéj fabryki „Krausberg, Lindeman und Stillbach”. Pan Bilski

powróciwszy obliczał puste wozy i kwity wręczał dozorcy meldującemu mu pokornie ilość furmanek.

Panowie Lejzor i Mojżesz Krausberg uśmiechali się, wielce zadowoleni z tego pobocznego zarobku, gdyż swoim spólnikom liczyli normalną cenę cegły, bo czyż nie było to osobistą zasługą p. Lejzora, że za tysiąc cegieł potrafił zapłacić tylko dziesięć guldenów?

Przez jakiś czas udawały się te podwójne rachunki, i właśnie p. Bilski otrzymał bilecik od p. Mrozieckiego, zapraszający go na śniadanie i zobaczenie przedziwnéj odtylcówki bijącéj celnie na sto kroków, już czatował na pierwszą lepszą furmankę, by pojechać do Drohobycza, gdy zbliżył się robotnik fabryczny.

— Proszę panicza, — zaczął pokornie.

— Czego chcesz?

— Bo to chciałem powiedzieć, że jak panicza niema w bramie, to cegła idzie tam — i wskazał na fabrykę cerezyny po drugiéj stronie gościńca.

— Kłamiesz, nie może być — zawołał, zaczerwieniwszy się w poczuciu swéj winy.

— Aby mnie tak Bóg skarał, jeśli kłamię, mówię po sprawiedliwości. Panicz tylko do miasta, a fury zaraz na prawo.

— No, przekonam się dzisiaj, zasiądę i złapię, lecz jeśli skłamałeś, popamiętasz mnie ruski miesiąc.

— Niech i tak będzie.

Ukryty za parkanem, oczekiwał pan Bilski niecierpliwie transportu. Nareszcie na górze, na gościńcu z Drohobycza z pomiędzy zielonych, rozłożystych jarzębin przydrożnych wysunęła się furmanka pierwsza z cegłą. Kontroler drżał z niecierpliwości i oczu nie odwracał od wozów wolno zjeżdżających. Transport skręcił istotnie na prawo do fabryki cerezyny. Jak rozjuszony dzik, wypadł młody, silny p. Bilski, sadził przez drogę długiemi nogami, dopadł dozorcę i uderzył silnie w twarz, kopiąc leżącego nogami i wrzeszcząc z całych sił:

— A ty złodzieju, psubracie, chamie.... Odciągnęli go chłopi na stronę, a on zapieniony, wołał do podnoszącego się dozorcy:

— To psi synu tam wozisz cegłę, a bierzesz moje kwity! Zginiesz w kryminale, zaraz powiem panu Mrozieckiemu o twém złodziejstwie.

Dozorca porządkując ubranie, odpowiedział flegmatycznie:

— Pan Mroziecki sam kazał mi dostawiać cegłę do Krausberga, jego pan pytaj, nie mnie.

— Kłamiesz!

— Jak mi Boga przy skonaniu, tak mówię prawdę, — odpowiedział w obawie osobistéj odpowiedzialności.

— Ile razy woziliście do Krausberga? — spytał woźniców spokojniéj.

— Jak czasem, bywało dwa, trzy razy na tydzień.

— I kiedy? O któréj porze?

— Różnie, alboż ja pamiętam?

— Dziś transportów nie przyjmuję — zawołał do dozorcy i poszedł ku swéj bramie.

Co teraz zrobić, plątało mu się w głowie; z jego niedbalstwa zaszła tu kradzież cegły, to fakt, jeździł do miasta, a w tym czasie okradano fabrykę Spółki. A ten Mroziecki? Taki porządny, gościnny, taki serdeczny i wylany, a złodziéj, jeśli dozorca mówił prawdę? Chyba tak, bo śmiało przy świadkach powoływał się na rozkaz otrzymany. A, jakiż to lizus, szachraj, złodziéj z tego Mrozieckiego! Jego prawa natura oburzyła się na widok téj podłéj przebiegłości, dreszcz wstrętu przeszedł po nim na myśl, że znów spotka tego słodkiego, uśmiechniętego człowieka. Po krótkiéj rozwadze postanowił całą rzecz odkryć panu Floryańskiemu i podziękować za miejsce kontrolera, które spełniał tak niedbale, a przez wrodzoną drażliwość nie chciał narazić się na wymówki i naganę. Przysiadł się do spotkanéj furmanki i pojechał wprost do Schodnicy.

— Proszę pana administratora, — mówił zmieszany niepewnym głosem wszedłszy do gabinetu, — ja nie mogę już być kontrolerem...

— Nie? A dlaczego?

— Powiem całą prawdę....

— Słucham.

— Przyjmowałem sumiennie transporty cegieł i po obliczeniu dawałem kwitki, aż tu przyjeżdża pan Mroziecki raz i drugi raz i prosi na śniadanie do Drohobycza.

— Pan poszedłeś?

— Byłem głodny i przyjąłem zaprosiny. Aż dziś widzę, że transport cegieł jedzie wprost do fabryki cerezyny, a bywało że przyjeżdżam z miasta, liczę puste wozy i daję kwitki, bo nie myślałem żeby pan Mroziecki był złodziejem.

— A skądże wiadomość, że to on robił? — spytał zaciekawiony.

— Dozorca mówił, że dostawia cegłę do tamtéj fabryki z polecenia Mrozieckiego, a chłopi mówili, że nie pierwszy raz. W dodatku miałem dziś znów zaproszenie Mrozieckiego na ten czas.

— Hm... zbadam sam całą sprawę.

— Proszę pana administratora powiedziałem całą prawdę, jestem Bilski, a żaden Bilski nie był jeszcze umieszczany w sprawki złodziejskie.

— Dobrze, już dobrze, dam znać po zbadaniu.

— Może jutro panie administratorze, chciałbym już być w domu, tam niema przynajmniéj takich chytrych Mrozieckich.

— Może i jutro.

Po jego wyjściu pan Floryański uśmiechnął się nad dobrodusznością i poczciwością chłopca, Że Mroziecki zrobił jakieś szelmostwo było widoczne, że młody Bilski jest uczciwy, nie ulega żadnéj wątpliwości. I z jaką dumą mówił on o swém nazwisku rodowem! Dziwna mieszanina zalet i błędów u téj szlachty podkarpackiéj... uczciwi, uczuciowi, z wielkiém poczuciem honoru, a równocześnie niesłowni i niedbali w interesach, lekceważący zobowiązania i wykręcający się z umowy sposobami godnemi pokątnych kauzyperdów. Żaden z nich nie dotrzymał ściśle umowy co do furmanek, ilości i gatunku cegły i kamienia, a już co do nabiału i produktów, to ani jednego transportu nie było, aby zarządzający sklepem spożywczym nie zaniósł skargi na stęchłe krupy, zjełczałą słoninę, przegniłe kartofle, zgorzkniałe masło, nieczystą mąkę, i znów p. Floryański był zmuszony patrzéć przez palce, że sklep zaopatruje się w produkta przy pomocy dostaw żydowskich. Żydzi dostawiali ten sam produkt kupiony taniéj u téjże szlachty, ale umieli go dopilnować osobiście, niemal wyniańczyć, i ustrzedz od niedbalstwa i niechlujstwa służby folwarcznéj.

Zanim słońce zaszło, zaturkotała bryczka p. Mrozieckiego przed dworem w Schodnicy. Przybyłego przyjął zimno pan Floryański nie prosząc siedziéć:

— Ach, panie administratorze, tu zaszło proste nieporozumienie ze strony pana Bilskiego. Jestem również dostawcą cegły fabryki Krausberga i od czasu do czasu wysyłam transport cegły, gdy dowieziono dosyć dla pana....

— Cóż daléj?

— Dziś pan Bilski napadł na dozorcę fur, obił go, rzucił na ziemię, skopał nogami, chłop chce skarżyć, a wszystko najniesłuszniéj, bo ten transport był przeznaczony dla fabryki Krausberga.

Po chwili milczenia, rzekł pan Floryański:

— Panie Mroziecki, stosunki pomiędzy mną a panem skończone. Nie chcę dochodzić popełnionego nadużycia, ale od dziś nie znam pana.

— A moja kaucya!? — jęknął pan Mroziecki.

— Kaucyę może pan jutro odebrać, a że w umowie płaci pan sto guldenów za zerwanie kontraktu, zapłaci pan tę sumę na rzecz kasy bratniéj pomocy naszych robotników.

— Czyż ja zrywam, panie administratorze? — jęknął pan Mroziecki.

— Ani słowa więcéj, skończyłem.

Pan Bilski zamiast oczekiwanego uwolnienia ze służby, otrzymał miejsce w kontroli składów węgla kamiennego i materyałów budulcowych.

Tacy panowie Mrozieccy byli dość licznie reprezentowani w Spółce kopalnianéj, wydatki same przez się olbrzymie przy przedsiębiorstwie na taką skalę rozpoczętém, już w maju przerosły sumę zakładową Spółki kopalnianéj, pozostawał jednak niezachwiany kredyt w bankach, i pan Floryański na brak pieniędzy nie mógł się nigdy uskarżać, włoży milion, zyska miliony!

XX.

Nareszcie w początkach czerwca fabryka cerezyny, pod firmą: Krausberg, Lindeman und Stillbach, była o tyle gotową, że można było rozpocząć produkcyę, jakkolwiek z pewnemi niedogodnościami.

Ale panowie spółkowi naglili bardzo do pośpiechu, by kapitał włożony w budynek zaczął procentować. Wszystkie trzy rodziny spólników znalazły się w oznaczonéj godzinie puszczenia w ruch fabryki, na obszerném podwórzu zarzuconém jeszcze cegłami, gliną, wapnem, z otwartemi dołami. Z obawy powalania, panie ugięły dość wysoko jedwabne suknie, z pod których wyglądały brudne halki, brudniejsze spódnice, kolorowe pończochy i rozchlapane trzewiki.

Dyrektor fabryki, pan Winter, Niemiec z długą twarzą, ryżawym zarostem, tłómaczył właścicielom i ich rodzinom rozkład fabrycznego budynku. Była to długa, jednopiętrowa, murowana szopa, przedzielona na kilka części, z dachem blaszanym, z licznemi otworami dla ulatniania gazów.

W głębi podwórza, niedaleko niedokończonych jeszcze składów, robotnicy Żydzi zajęci byli ważeniem surowego wosku ziemnego.

— Co oni tam sami robią panie dyrektorze? — spytał pan Lindeman starszy.

— Przy nich jest magazynier, ale oczy własne najlepsze, chodźmy bliżéj.

Podeszli wszyscy, dyrektor wziął w rękę wosk i rzekł:

— O, dużo wody, oczyszczenie potrwa dość długo, bo najpierw musi być wosk oczyszczony z brudu i o ile można bez wody... Ile zważyliście? — zwrócił się do robotników.

— Dziesięć centnarów panie dyrektorze.

— To dosyć... Może panowie zechcecie przejść do działu przetapiania i oczyszczania wosku.

Była to przestrzeń około dziesięciu metrów, zamknięta murami fabryki. W środku stały dwa wielkie, kwadratowe, spajane z blachy żelaznéj kotły, do których, mniéj więcéj na wysokość pierwszego piętra, prowadziły schodki drewniane, umożliwiające dostanie się na platformę okalającą kotły, oddzieloną od tychże nizką baryerą. Kotły były ogrzewane parą przeprowadzoną rurami wężowatemi.

— Tu oczyszcza się wosk surowy, — mówił dyrektor stając przed nizką baryerą — i ogrzany do 120° ciepła, przepływa rurami do odziału odkwaszającego, tam za ścianą.

Panna Ester, nachyliwszy się nad kotłem, patrzała na złożone tam dziesięć centnarów wosku. Pani Krausberg, słysząc cyfrę stopni ciepła, zawołała:

— Esterko, nie nachylaj się, jeszcze spadniesz!

— Nic mi nie będzie — odpowiedziała obojętnie.

— Teraz nic, — zaśmiał się dyrektor, — lekkie stłuczenie i koniec, ale przy stu dwudziestu stopniach śmierć byłaby natychmiastową.

— Chodźmy z tego miejsca, tu niebezpiecznie,—mówiła z obawą pani Lindeman.

Pan Krausberg trąc krótką brodę, rzekł:

— Panie dyrektorze, kiedy zaczynamy robić cerezynę?

— Zaraz, — i zawołał do robotnika żyda w dole, — idź do maszynisty niech puszcza parę.

Właśnie wychodzili goście, gdy rozległ się ostry gwizd parowéj maszyny, wzdrygnęły się kobiety i z pewną obawą spoglądały na budynek. Na dane hasło ruszyli się robotnicy, niosąc długie pręty żelazne, spłaszczone w jednym końcu wiosłowato, i ciężko szli po schodkach na górę wraz z dozorcą Żydem.

Dyrektor z Niemcem pomocnikiem tłómaczyli dozorcy po niemiecku, że robotnicy mają nieustannie mieszać roztopiony wosk; ustawiali chłopów, którym polecenia dyrektora tłómaczył dozorca.

— Ja tu zajdę, albo mój pomocnik, i powiemy kiedy czas przestać mieszać, bo wosk gotujący musi być bezpiany i pęcherzyków,— mówił dyrektor schodząc po schodkach, — ale mieszać trzeba nieu-

stannie, a pilnuj, aby nie uciekli od kotła gdy zaczną się ulatniać gazy.

Na te słowa, żyd dozorca przybladł i szybko zapytał:

— Panie dyrektorze, czy te gazy duszą? czy one są nieprzyjemne?

— No, nie pachną, — zaśmiał się dyrektor — a udusić, nie uduszą, bo mają ujście przez kominy.

— Panie dyrektorze, — zawołał dozorca, — czy z nich jest choroba?

— To zależy od wytrzymałości.

— Ja bardzo niewytrzymały panie dyrektorze, ja się boję tu zostać...

— Przecież sam chciałeś...

— To dawniéj, ale teraz nie mogę.

— No zostań, nic złego się nie stanie, chociaż rozboli cię głowa.

— Ja zostanę tylko ten jeden raz, a wolno mi wychodzić na powietrze?

— Tak, na krótką chwilę...

Dozorca zastraszony stanął blisko okna niedaleko schodków i pełen obawy patrzał na kocioł.

— Już topnieje! — zawołał jeden z robotników.

— To wy mieszajcie — krzyknął nastawnik.

— Przyjdź i zobacz, toż ledwie zaczyna.

— Ja muszę tu zostać, tak mi kazał dyrektor, ja nie mogę tam pójść.

— To nie gadaj, kiedy nie widzisz — odpowiedział robotnik.

Zwolna zaczęły się podnosić leciutkie opary zgłębi kotła, i silna przenikająca woń nafty rozeszła się w powietrzu.

Robotnicy próbowali poruszyć wiosłowatemi prętami, ale główna masa środkowa nieroztopiona stawiała silny opór.

— Wy ruszajcie, — wołał dozorca.

— Rusz że, kiedy wosk stoi.

W ciągu kwadransa rozgrzany kocioł szybko roztopił wosk, i coraz większe kłęby pary zaczęły się wzbijać w górę. Robotnicy kaszlali często, spluwali i klęli głośno:

— Do dyabła z taką robotą!

— Tylko Niemiec mógł wymyśléć takie utrapienie.

— Ależ dusi szelma!

Dozorca, o ile mógł, cisnął głowę do szyby okna, zamkniętego ze względu by przewiewem dolnym nie uchodziły gazy, lecz wzno-

siły się w górę. Dozorca silnie zakaszlał, a pod parciem głowy szyba wyleciała z brzękiem. Żyd wystawił głowę oddychając czystém powietrzem, odwrócił się po chwili, gdy gazy cisnęły się do otworu okna. Owionęły go całego. Kaszląc, jęcząc, stękając, zbiegł po schodach rozbudzając głośny śmiech robotników. Otwierając drzwi, natknął się na dyrektora, który zdziwiony zawołał:

— A ty gdzie idziesz?

— Puść mnie pan, panie dyrektorze, ja tu zdrowie stracę, ja nie mogę teraz, ja przyjdę późniéj...

— Ależ to dopiéro początek! Patrz, robotnicy przy kotle pracują i nic im nie jest.

— Taki chłop ma prostą, grubą naturę, a ja człowiek delikatny, ja nie mogę.

— Powiedzże przynajmnéj robotnikom, aby mieszali, ja znajdę innego dozorcę.

Wezwany spełnił to polecenie, krzycząc donośnie.

— Dobrze, już dobrze wiemy o tém — odpowiedziano mu.

— Ty uciekaj, — zaśmiał się drugi wśród kaszlu. Dyrektor wyszedł wraz z dozorcą i tuż spotkali trzech spólników właścicieli, do których rzekł pan Winter:

— Daliście mi panowie tego tu dozorcę, i przy pierwszych głupich gazach ucieka.

— Co to takiego? — zawołali niemal równocześnie.

— Tam dusi, ja od urodzenia boję się duszności, ja mam delikatne zdrowie — bronił się dozorca.

— Nu, panie dyrektorze, jak tam dusi, to on nie może wytrzymać, — odezwał się p. Stillbach, — ja uciekłbym także.

— Ależ robotnicy przy kotle wytrzymują — mówił gniewnie.

— Co taki gruby chłop, on napije się wódki i jest zdrów, — objaśnił p. Lindeman.

— Panie dyrektorze, — dodał p. Krausberg — tam gdzie dusi daj pan chłopa na nastawnika.

— Co ja tu zrobię, — zawołał dyrektor, — z chłopem nie mogę się porozumiéć, i głupstwo przy topieniu, ale tak przy wlewaniu kwasu siarkowego — wskazał na dalszą część budynku — tam robotnik najlepszy zaledwie czterdzieści minut wytrzyma, skąd wezmę dozorców?

— Co? Czterdzieści minut!? — rzekł zdziwiony p. Stillbach, — tam żaden z naszych nie pójdzie.

— Ja panu poradzę, — odezwał się p. Krausberg — ja mam w Borysławiu jednego chłopa, on służył w wojsku i umie trochę po niemiecku, ja go panu przyszlę, on będzie dobry na dozorcę.

— Przyszlij pan.

— Panie dyrektorze, — mówił zbliżając się młody p. Lindeman, — panie się pytają kiedy będzie cerezyna?

— Jutro wieczorem.

— Tak długo? — zdziwił się p. Stillbach, — ja myślałem że dziś zobaczymy.

— Źle pan myślał, — oburknął gniewnie dyrektor, — sam proces z kwasem potrwa osiem godzin, a potem „upiększenie" cerezyny, filtrowanie i ochłodzenie. Jakim więc sposobem dzisiaj?

— Niech pan dyrektor się nie gniewa, ja tylko sobie tak myślałem.

— To my nie mamy tu co robić, — rzekł p. Krausberg — ja jadę do Borysławia i przyszlę tego chłopa panu dyrektorowi.

— I my pojedziemy — dodali spólnicy.

Pożegnali dyrektora i szli w stronę pań, którym towarzyszyli młody p. Lindeman i Mojżesz Krausberg.

— My jedziemy do Borysławia, — mówił p. Lindeman,—a wy co robicie.

— Ja jadę do domu — odpowiedziała żona.

— I my, — odezwały się inne.

Pan Lindeman spojrzał porozumiewawczo na żonę, potém na syna i pannę Krausberg, odchrząknął i rzekł:

— Początek fabryki obchodził Lejzor, na otwarcie naszéj fabryki będzie kolacya u nas, u Lindemanów, nu, a kiedy u ciebie Stillbach?

— U mnie? Niech będzie przy pierwszym transporcie naszéj cerezyny.

— To dobrze powiedziane — pochwalił p. Krausberg.

— Tak ja proszę moich spólników z ich familią dzisiaj na moją kolacyę — uśmiechnął się wdzięcznie p. Lindeman.

— My możemy przyjść, — rzekła pani Krausberg z godnością damy.

— I my przyjdziemy — pospieszyła pani Stillbach.

Z głębi podwórza fabrycznego doleciał ich głos dyrektora. Młody p. Lindeman zwrócił się do ojca:

— A możeby zaprosić dyrektora?

— On nam niepotrzebny, — zawyrokował ojciec, — on bierze swoje 3,000 rocznie, niech sam kupi sobie piwa.

Już wychodzili z obrębu fabryki i mieli siąść na oczekujące ich wozy, gdy młody p. Lindeman zaproponował paniom:

— Co my mamy pod górę jechać, my przejdźmy się trochę przy pięknéj pogodzie i pod zielonemi drzewami.

— Ja nie pójdę — odpowiedziała panna Ester, — co innego w ogrodach publicznych, tam bardzo przyjemnie.

Starsze panie zgodziły się w zupełności na to zdanie i całe towarzystwo pojechało do Drohobycza, a spólnicy do Borysławia.

XX.

W domu własnym pana Lindemana, parterowym, zebrali się zaproszeni goście, których zaraz na wstępie zaproszono na kolacyę, a po skończeniu téjże rozdzieliło się całe towarzystwo, jak zwykle, na dwie części.

Panie i młodzi przeszli do t. zw. salonu, pokoju obszernego, umeblowanego banalnie, z pozornym szychem hotelów. Państwo Lindeman cieszyli się liczném potomstwem, z których każde odznaczało się w oczach rodziców nadzwyczajnym talentem.

Syn młodszy grał znakomicie na skrzypcach, jedna z córek na fortepianie, druga deklamowała. Rozpoczęły się produkcye talentów pojedyńcze i zbiorowe, a panie Krausberg i Stillbach nie zaniedbały pochwalić się talentami swoich dzieci. Wzajemnie sobie świadczone pochwały, oklaski, wybuchy radości i dumy napełniły salon po brzegi. Matki i koncertanci zabawiali się bardzo wesoło. W drugim pokoju zasiedli spólnicy przy kawie, rozmawiając o interesach bieżących.

— Co ty Lejzor myślisz o naszym dyrektorze? — spytał pan Stillbach.

— Jemu dobrze, on bez żadnego ryzyka bierze 3,000 guldenów rocznie, — westchnął.

— Ja chcę wyszukać kogoś z naszych i dać mu do nauki, — mówił p. Lindeman, — mój syn Moryc powiada, że to nie jest wielka sztuka z tą cerezyną. Nasz będzie nam robił taniéj.

— Twoja myśl niczego, — pochwalił p. Stillbach, — ale taki praktyk może nam popsuć wosk i złą robić cerezynę.

— Zawsze Niemcy ją kupią, — uśmiechnął się p. Krausberg, — bo nie mamy konkurentów. Kto w Drohobyczu włoży w jedną fabrykę 58,900 fl., nu kto?

Po chwili rzekł p. Lindeman prawie szeptem:

— Floryański!

Wszyscy westchnęli z żałością. Spółka kopalniana i jéj reprezentant p. Floryański od chwili wystąpienia swego stawali się coraz dokuczliwszą bolączką kupców i przemysłowców Drohobyckich. Dotychczas cały handel naftą i woskiem był jedynie w ręku Żydów, noi stanowili o cenie i jakości obu produktów, z nimi tylko liczyli się fabrykanci niemieccy. Ich pohopność i łatwość w przeprowadzeniu zmowy uczyniła ich panami nietylko rynku zbytu, ale i tu na miejscu wszyscy właściciele gruntów naftodajnych byli zawiśli od nich, również robotnicy i drobni przedsiębiorcy pobocznych gałęzi, związanych z poszukiwaniem produktów kopalnianych. Póki do interesu brali się ludzie niezamożni, w rodzaju Bratkowskiego, usunięcie ich nie przedstawiało wielkich trudności. Inaczéj przedstawiała się walka konkurencyjna z człowiekiem rozporządzającym wielkiemi kapitałami.

— Aby on przepadł — mruknął chmurny p. Krausberg.

— Jak on ma przepaść, — mówił smutnym głosem p. Lindeman, — kiedy nafta mu płynie jak woda. Dwa rezerwoary ma już pełne, a wierci nowe szyby. On nas zabije, jego słowo zaważy u Niemców.

— A jak puści fabrykę rafineryi, będzie jeszcze gorzéj, — westchnął p. Stillbach, — bo Niemcy zamkną swoje rafinerye, i gdzie pójdzie nasz towar? On nie jest głupi, on da nam nizką cenę.

Zamyślili się wszyscy trzéj nad smutną przyszłością. Pan Krausberg opierając głowę na łokciu rzekł:

— Ja jego liczyłem. On wydał dotychczas 700,000 guldenów, a może więcéj. Nu, każda studnia się wyczerpie, i na niego przyjdzie koniec. My czekajmy.

— On może nas przetrzymać, — jęknął pan Stillbach, — on ma kapitały.

— Wiecie, co on teraz robi?.... On nie chce wozić nafty w beczkach ze Schodnicy do swojéj fabryki, on ją puści rurami wprost z rezerwoarów, czy wy słyszeli o takim interesie? — kończył tonem zgorszonym p. Lindeman.

Dwaj słuchacze z pewném podziwieniem kręcili głowami.

— To musi go dużo kosztować — rzekł p. Stillbach, — aj aj rury dać na milę, może więcéj, nu przy takiéj gospodarce on może zbankrutować.

— A ty Lindeman, słyszałeś?... On do swéj rafineryi sprowadza chemika z zagranicy, on chce mieć taką czystą naftę, aby ludzie

nie kupowali ani niemieckiéj, ani amerykańskiéj, ani kaukaskiéj, on chce być sam!

— Ten Floryański ma dobrą głowę, — westchnął gospodarz.

— Mówili mi dziś w Borysławiu, że on posłał inżyniera i świder do Mroźnicy na próbę, a szlachcice się przechwalają, że on u każdego sprobuje, czy w jego wsi niema nafty. Oni chcą już pożyczać na tę naftę, — zaśmiał się z ironią pan Stillbach.

— Nu niech on probuje wszędzie, to dobrze, jak on będzie taki zachłanny; on się udławi — dodał gospodarz.

— To jest taki interes, — mówił poważnie p. Krausberg, — nam trzeba się dowiedziéć, zkąd on bierze te pieniądze, jak u ludzi, ich można zastraszyć, jak w banku można kredyt zachwiać. Nam trzeba pogadać z naszymi we Lwowie, w Wiedniu, tu idzie o nas wszystkich, o cały Borysław, on powinien przepaść.

— To jest dobry plan, mój syn Moryc napisze do Lwowa i do Wiednia, on ma tam znajomych.

— Ja myślę, — rzekł po chwili pan Stillbach, — że rabin i kahał powinni napisać do „*Alliance israelite*", niech nas ratują od niego.

— Nam trzeba pogadać ze starszymi. Ty Stillbach dobrze radzisz, jak „*Alliance*" zechce, to jego tu już niema; jemu każe sam minister, sam cesarz pójść precz i nam nie przeszkadzać, nas nie gnębić, nie niszczyć.

— A jak on nie posłucha?—powątpiewał pan Lindeman.

— To przyjdą żandarmi i jego poprowadzą ciupasem na miejsce urodzenia — zawołał p. Stillbach.

— Aj, to byłby ładny widok! — zaśmiał się gospodarz.

Wszyscy trzéj poweseleli, i nadzieja w nich wstąpiła, że zdołają się uwolnić od tego wroga.

Wszczęli rozmowę o cenie wosku, cerezyny, nafty, zakopów, kto jakie interesa robi.

— Lejzor, — rzekł gospodarz, — ten Boruch, twój krewny, to słaba głowa, znowu stracił pieniądze.

— Nu, on nie ma szczęścia do interesów, co ja temu winien?

— Ty weź jego do siebie.

— Ja już myślałem. W naszéj fabryce potrzeba kogoś do pilnowania wosku, ja chciałbym dać jemu to miejsce.

— Nu, my pogadamy o tém, a wy pogadajcie mówił p. Lindeman — jaką pensyę dacie Morycowi za dozór biura fabryki.

— My pogadamy o tém — rzekł p. Stillbach, — Lejzor, a ty posłałeś tego chłopa naszemu dyrektorowi.

Ja mu posłałem.

Umilkli. Pan Lindeman, jakkolwiek starał się być ożywionym, od czasu do czasu wpadał w zamyślenie, spostrzegł to pan Krausberg i spytał:

— Czego ty wzdychasz?

— Ja wzdycham, bo ściska mi się serce.

— Dlaczego tobie się ściska?

— Jak ja sobie pomyślę, że ten Floryański z mego gruntu ma już do 30,000 guldenów nafty, to mnie serce bardzo boli.

— Ja to rozumiem, to rzecz bardzo przykra — dodał pan Stillbach.

— I dlaczego ja sprzedałem te grunta? dlaczego nie mogę wyprocesować? Żebym ja miał jeden mały haczyk, już ja pociągnąłbym wszystko — skarżył się gospodarz, — ale te Niemcy umieją pisać kontrakty, oni się pilnują, nie tak jak szlachcice.

— A teraz nie wiesz, gdzie on wierci? — spytał z żywością pan Krausberg.

— Ja nie chcę nic wiedzieć, mnie może serce pęknąć, po co mi wiedzieć?

Po powrocie do domu, pani Krausberg co prędzéj zrzuciła wizytową suknię i stanik ze siebie, schowała starannie do szafy i stanąwszy w brudnéj halce, w wygorsowanéj koszuli przed rozbierającym się mężem, rozszerzając usta w uśmiechu mówiła:

— Lejzor, ja tobie coś powiem.

— Co ty mi powiesz Sura? — spytał spokojnie.

— Lejzor, Moryc Lindeman patrzy się na naszą Esterkę...

— Nu, i co z tego?

— Z tego może coś być...

— Ty Sura gadasz niepotrzebne rzeczy, — odezwał się przestając się rozbierać, — na mnie także patrzy się wół, i co ma być z tego?

— Oni mogą się pobrać...

— Sura, ja nie dam Esterki Lindemanowi, a przyjdzie swatka od niego, to powiedz, ża ja żadnego posagu za mego życia nie wypłacę Esterce.

— Dlaczego Lejzor? Przecież on nasz, był w szkołach, ma majątek, co jemu brakuje?

— Sura, ja jego nie chcę, on ubiera się jak pan, on w podróży wydawał guldena 50 centów na życie, on straci cały majątek, ja mu nie dam Esterki.

— Lejzor, a jeśli ona zechce? Ja widziałam dzisiaj, że ona z nim rozmawia i śmieje się do niego.

— Suro, ona jest głupia, ja ojciec wiém najlepiéj, co dla niéj dobre, a co złe. Już ja jéj wyszukam męża.

— Nu, a nie ożeniłbyś Mojżesza z młodszą córką Lindemana?

— Jaki ona ma posag?

— Ja nie wiem.

— To szkoda czasu na gadanie, ja muszę się wyspać, u mnie jutro robota.

— Ty Lejzor śpij zdrów.

— Ja Sura tego i tobie życzę.

XXI.

Pan Krausberg załatwiwszy interesa na swéj kopalni, skorzystał z pierwszéj nadarzonéj okazyi i pojechał do Schodnicy. Ze złośliwém zadowoleniem patrzał na wielkie zmiany, które zaszły tutaj od czasu jego ostatniéj bytności, rozmyślając nad wielkiemi wydatkami Spółki kopalnianéj. Przez wieś prowadził szeroki, bity gościniec, w téj chwili ubijany przez robotników. Z jednéj i drugiéj strony drogi wznosiły się domy mieszkalne będące na ukończeniu, a w głębi, na końcu wsi, wysoki, czerwony komin wyrzucał kłęby siwego dymu z fabryki narzędzi żelaznych i drewnianych, potrzebnych do kopalń.

Pomiędzy ładnemi domami, z wielkiemi oknami, tuliły się chaty i budynki dawnéj Schodnicy, które wobec nowych wydawały się jeszcze bardziéj nizkie, brudne, zapadnięte w ziemię.

Pan Krausberg wszedł do karczmy Arona i po zwykłém pozdrowieniu zasiedli obaj w alkierzu za szynkwasem.

— Aron, co u ciebie słychać?

— U mnie źle słychać — odpowiedział ze skrzywieniem.

— Ty Aron sobie żartujesz, masz teraz tylu robotników, przyjezdnych, musisz miéć dobre dochody.

— Aby moje wrogi mieli takie dochody, — westchnął ze smutkiem.

— Nu, co się stało? To nie może być? Taka karczma ładna przy tylu ludziach...

— Ano pusta Lejzor, idź zobacz, kto jest w izbie, kto pije?

— A gdzie robotnicy?

— Oni mają swoją karczmę i nam na złość nazwali to paskudztwo: gospodą chrześciańską, czy ty Lejzor słyszał kiedy takie słowo? Nu, ono jest w Schodnicy. Robotnik u nas to teraz wielki

pan, tén Floryański, aby on przepadł, on ich karmi jak woły na rzeź: oni mają swoją policyę i pijanego zaraz wyprowadzają z karczmy.

— I biją?

-- Żeby oni bili, — westchnął — to goj piłby daléj, ale oni sztrafują, a tobie Lejzor nie trzeba mówić, że goj boi się tylko sztrafu pieniężnego.

— Nu, to jest przeciw przepisom policyi, ona nie ma prawa nakładać sztrafu na pijaków, ty Aron podaj skargę.

— Co mi to pomoże Lejzor? Floryański ma wielkie pieniądze, ja jemu nie poradzę.

— My jemu już poradzimy -— syknął z zawziętością.

— Lejzor, — zaszeptał szynkarz, — czy jest już co? On nas zniszczy, my zbiedniejemy i nasze dzieci i nasze wnuki.

— Przyjdzie czas, to powiedzą tobie... Nu, Aron i co on robi tutaj?

— Wszystko złe, co ty sobie Lejzor tylko pomyślisz. Założył robotnikom kasę taką, że jak który biedny, on nie potrzebuje naszego kredytu, on idzie do kasy i bierze ile chce, i wiész, on nie trzyma téj kasy u siebie, on im oddał pieniądze.

— Aron, on jest socyalist.

— Socyalist?... Lejzor, co to jest?

— Socyalist?... Socyalist?... To jest taki, co chce brać moje pieniądze, mój interes, on mi nic nie daje za to, tylko chce mnie zarznąć... To jest socyalist!

— Nu Lejzor, to ten Floryański jest prawdziwy socyalist, on sam generał socyalistów, — mówił szybko gospodarz — on zabiera nasze interesa, nasze pieniądze, nam nie daje targować i nas zarzyna.

— To dobrze, Aron, że ty mi to powiedział, ja o tém pogadam z naszymi, co socyalist idzie do kryminału, może i on pójdzie.

— Nie Lejzor, on nie pójdzie — westchnął żałośnie, — on ma pieniądze, on nie boi się komisarza, starosty, samego namiestnika, co jemu zrobią?

— Ty Aron siedzisz na wsi, to ty nie wiész co się robi na świecie... Ty mi powiédz, co to za fabryka i na co tyle domów?

— Fabryka jest żelazna, on tam robi wszystko co mu potrzeba, a domy dla urzędników buduje, oj co on pieniędzy włożył w ten interes, żebym miał połowę, ja byłbym bardzo bogaty. U niego pieniędzy jak lodu. Przyszli do niego goje i mówią, że oni chcą miéć szpital, on im buduje zaraz, a ich dzieci muszą chodzić do szkoły, bo zaraz nakłada sztraf na nich.

— Nu, a jak mu idzie interes?

— Jemu płynie nafta jak woda. Z czterech szybów trzy były z naftą, a teraz on robi od miesiąca sześć szybów.

— A jak on stoi z gruntami?

— On kupił od chłopów pół Schodnicy, a teraz wziął się do gruntów Mroźnicy. Z naszymi on nie robi interesu, tylko z chłopami, to wielka strata, bo on popsuł chłopów.

— Już i my go popsujemy... Aron, ja chciałbym zobaczyć jego kopalnię, czy ty masz czas?

— Ja teraz mam zawsze czas, — westchnął głęboko, — ja pójdę z tobą Lejzor.

Zrzucił lejbik, ubrał się w chałat, wziął laskę i wyszli.

Bocznemi ścieżkami poprowadził Aron swego towarzysza na wyżynę wzgórka, ogrodzoną na znacznéj przestrzeni. W bramie spytał ich stróż:

— A wy dokąd?

— Czy nam nie wolno? — zakrzyczał z gniewem Aron, — to jest przejazd, droga gromadzka, ja tutejszy, ja wiem gdzie idę.

— A, jak wy tutejsi, to idźcie daléj — i zeszedł ze środka drogi na stronę.

— Ten goj jest bardzo zuchwały, — mruknął pan Krausberg, — on potrzebuje chłopów pilnować, nie nas.

— To zrobił Floryański, teraz każdy chłop ma zaraz wielki pysk.

Nieopodal drogi, w murowanym budynku, warczała maszyna parowa poruszająca, przez skombinowane dźwignie świdry umieszczone w wieżach kanadyjskich. Pan Krausberg przystanął i patrzał. W promieniach południowego słońca iskrzyły się oparte na słupach żelaznych pręty stalowe, poruszające się rytmicznie w takt obrotu maszyny, przesyłającéj swą siłę do wieży kanadyjskiéj, odległéj o jakie sto metrów. Miała ona formę ściętéj piramidy, spajanéj w odstępach łokciowych grubemi dylami, a u dołu oszalowanéj deskami. Z drogi mógł widzieć pan Krausberg robotników zajętych wierceniem, z których jeden trzymał ręką górną część pręta świdrowego wyczuwając normalność funkcyonowania, drugi uważał na ruch koła rozpędowego i przyrządów przytrzymujących świder, inni przygotowywali narządy do zmiany świdra.

W drugiéj wieży kanadyjskiéj, czarnéj od nagłego wybuchu nafty surowéj, do podstawionéj na zewnątrz kadzi spływała z rury nafta, migocąc metalicznie w promieniach słońca. Z tego rezerwoaru chwilowego odprowadzały naftę rury do olbrzymich zbiorników.

Pan Krausberg liczył wieże, było ich dziesięć, patrzał, wzdychał z zazdrości i spytał:

— Aron, a gdzie są te grunta, które kupił Baruch w Schonicy?

— Jakie grunta?

— Ty Aron zapomniałeś? Ty sam robiłeś ten interes z Łukaszem, z Maciejem i Bazylim.

— Te grunta? Ja tobie zaraz powiem Lejzor, — rozglądał się, nareszcie rzekł. — My teraz stoimy na gruncie Łukasza i ten szyb jest na jego ziemi.

— Ty Aron jesteś tego pewny?

— Jakto Lejzor?—Ja przecież tutejszy, to wiem. Ta grusza to grunt Hrycia, a tu na lewo to było Łukasza. Ten dobrze zarobił, wziął już stówkę z kontraktu, a jak będzie nafta, on dostanie prezent od Floryańskiego.

— I ja dałbym mu wódkę, żeby to był mój szyb z naftą.

Uszli kawałek daléj, p. Krausberg wyjął wielki srebrny zegarek na łańcuszku stalowym, spojrzał i rzekł:

— Aron, ja już mam dosyć tego cudzego bogactwa, ja pojadę do domu.

— Tu Lejzor szczęśliwy, a ja zawsze widzę przeklętego Floryańskiego. Nu, chodźmy do domu. Ty Lejzor zobaczyłeś to, co chciałeś?

— Ja już zobaczyłem.

Przyjechawszy do Borysławia, spostrzegł p. Eisensteina, zeskoczył szybko z wozu i zawołał na zamyślonego:

— Boruch, Boruch, słyszysz ty?!

— Lejzor ja słyszę, — a widząc jego zapylone plecy, dodał, — skąd ty przyjechałeś? gdzie byłeś?

— Ja przyjechałem raniutko z Drohobycza, jak zwykle, a teraz ja szukałem ciebie, ja mam ci coś powiedzieć.

— Jaki ty Lejzor masz interes?

— Chodź ze mną na Wolankę, ja ci opowiem po drodze.

Szli zwolna, wśród tumanów pyłu podnoszącego się za każdym wozem przejeżdżającym, zgrzani, spotniali, podnieceni gorączką interesów.

— Słuchaj Boruch, ty powiédz mi prawdę, jak tobie idzie?

— Co tu gadać? Ty Lejzor wiész sam, że źle.

— Ile ty straciłeś?

— Mam jeszcze kilka zakopów w Truskawcu.

— Nu, a pieniądze?

— Dałem do trzech spółek i nie było ani nafty, ani wosku. Myśmy wszyscy stracili.

— Nu, to ja teraz tobie coś powiem, a ty uważaj... Ja mam do spółki fabrykę cerezyny, nam trzeba kogoś zagranicą, w Turyngii, aby on się zajął naszą cerezyną i sprzedawał ją fabrykantom świéc. Ja chcę ciebie tam posłać, bo ty mój krewny.

— Ja tobie Lejzor dziękuję, ale ja nie pojadę zagranicę, to bardzo daleko.

— Ty Boruch tu zginiesz, ty nie masz szczęścia do interesów. My tobie zapłacimy drogę, będziesz brał procent od sprzedaży i na życie z rodziną dostaniesz miesięcznie dwadzieścia guldenów. Ty jedź, ja twój krewny to mówię: jedź.

— Ja Lejzor pomyślę.

— Tu niema czasu, nie zechcesz ty, znajdę stu innych. Tam są także interesa różne, a w nowym kraju będziesz miał szczęście. Tam posiedzisz rok, może więcéj.

— Lejzor, ty mi dobrze radzisz, ja pojadę. Podali sobie ręce na znak zgody.

— Boruch, my nie chcemy, aby ktoś wiedział w Drohobyczu, gdzie i w jakim interesie ty jedziesz, ty powiedz, że ty jedziesz do Wiednia albo do Lincu.

— Ja Lejzor rozumiem sekret handlowy, ty niepotrzebnie gadasz. A kiedy trzeba jechać?

— A kiedy ty możesz?

— Ja muszę sprzedać meble, przygotować się, odstąpić zakopy...

— Ty Boruch za trzy dni musisz być w drodze, ty zrób tylko porządek z twojemi zakopami, a resztę załatwi twoja żona i przyjedzie do ciebie.

— Nie Lejzor, tak nie można, ja za tydzień wyjadę z żoną i z dzieckiem.

— Niech będzie za tydzień, tylko nie zrób mi zawodu Boruch.

— Ja pojadę.

Pan Krausberg potrafił przekonać swoich spólników o zyskach, jeśli będą mieli na miejscu zbytu swego przedstawiciela, zgodzili się na procent od sprzedanéj cerezyny, ale o pensyi nie chcieli słyszéć, i p. Krausberg sam się zgodził posyłać dwadzieścia guldenów swemu krewnemu.

Gdy się o tém dowiedziała jego żona, rzekła wieczorem:

— Lejzor, dziś była u mnie Boruchowa, ona błogosławi ciebie i twoje dzieci, bo ona będzie spokojnie żyła. Potém ja poszłam

z naszą córką na spacer i spotkałam Lindemanową, i ona mówiła mi także o Boruchu, ale dodała, że ani jéj mąż, ani Stillbach nie zgodzili się na płacenie pensyi, tylko dodali na podróż.

— Ona powiedziała tobie prawdę.

— To jak będzie Lejzor? Przecież ty sam nie możesz płacić miesięcznie dwadzieścia guldenów? My mamy chwała Bogu na kogo się starać.

— Sura, ja jemu będę płacił.

— Lejzor, ty sobie pozwalasz na żarty ze swoją żoną — mówiła zgorszona — ja wiem, że Boruch krewny, ale za to nie trzeba płacić miesięcznie, ty jemu i tak pomogłeś nie jeden raz.

— Sura, ja dałem kupieckie słowo, ja dotrzymam moje słowo, co tu gadać.

Umilkła i dopiéro po chwili odezwała się weselszym tonem:

— Lejzor, ty masz wielki honor, to dobrze dla naszych dzieci, ale szkoda że on tyle kosztuje ciebie.

— Pan Bóg mi to wynagrodzi, — skończył wzdychając.

W tydzień po wyjeździe Eisensteina, p. Krausberg dowiedziawszy się, że szyb na gruncie Łukasza wydaje już naftę, zażądał ku wielkiemu zdziwieniu swéj żony lepszego ubrania.

— Lejzor, co to jest? gdzie ty idziesz?

Spojrzał na nią, śledząc wrażenie swéj odpowiedzi:

— Suro, ja jadę do Floryańskiego.

Przez krótką chwilę milczała zdziwiona, potém odetchnąwszy spytała krzykliwie:

— Lejzor, ty, ty do samego Floryańskiego?

Skinął głową uśmiechnięty.

— Ty będziesz gadał z tym naszym wrogiem?

— Ja będę gadał.

— Ty masz jakiś interes, — mówiła spokojnie, — ale ty uważaj, żeby on nie oszukał ciebie, bo to zły człowiek.

— Ja się jego nie boję.

W Schodnicy nie zaszedł do karczmy Arona, ale wprost skierował się do biur Spółki kopalnianéj i kazał się zameldować u dyrektora, uprzedzając że ma bardzo ważną sprawę.

— O co idzie? — spytał dyrektor wchodzącego.

— Te jest taki interes, — odpowiedział stojąc niedaleko drzwi, ja jestem Krausberg z Drohobycza, a na Wolance mam kopalnię wosku, ale ja robię także inne interesa.

— Nic nie rozumiem, o co rzecz idzie, — mówił zniecierpliwiony dyrektor.

— Zaraz pan dyrektor zrozumie. Boruch Eisenstein kupił tu w Schodnicy grunta, potém odstąpił mi trzy czwarte zakopów notaryalnie. Te grunta on sprzedał całe, potajemnie, bankowi anglo-austryackiemu we Lwowie, a te grunta są teraz własnością Spółki kopalnianéj, i pan dyrektor ma tam szyb jeden z naftą. Ten grunt jest mój w trzech czwartych, to i szyb jest mój.

— To jakiś szantaż, — zawołał dyrektor — ale my nie damy się wyzyskać. Ostatecznie czego chcesz?

— Panie dyrektorze ja spokojny człowiek, ja nie lubię procesów... Ja mam przy sobie plany, wszystkie dokumenta, niech pan dyrektor przejrzy, po co nam proces?

Wyjął z kieszeni papiery i z ukłonem podawał w stronę siedzącego na fotelu przed biurkiem dyrektora. Ten wstał, zbliżył się do żyda, rozłożył plan, porównał z planem kopalni wiszącym na ścianie, przejrzał kopię umowy notaryalnéj pomiędzy dwoma kupcami, na mocy któréj p. Krausberg stawał się współwłaścicielem kupionych gruntów, i rzekł do stojącego w progu.

— Proszę zaczekać w przedpokoju, dam znać administratorowi.

— Ja zaczekam, — mówił p. Krausberg zamykając drzwi za sobą.

Usiadł na ławce i pilnie nasłuchiwał. Wkrótce rozróżnił dwa głosy rozmawiających żywo ze sobą, drzwi się uchyliły i dyrektor wezwał go do biura. Wszedł, składając głęboki ukłon w stronę stojącego przy oknie p. Floryańskiego, który skinąwszy głową, przemówił szybko:

— Jak widzę z tych papierów, Krausberg miał spółkę z Eisensteinem; my kupiliśmy grunta od banku anglo-austryackiego, z Eisensteinem nie mieliśmy nic do czynienia. Krausberg ze swemi pretensyami może się udać do Eisensteina, do banku, ale nie do nas.

— Panie administratorze, — odpowiedział z chytrym uśmiechem, — ja byłem już u adwokata, on mi powiedział, że moje prawo trzyma się gruntu, a swoją drogą ja już podałem skargę i na Eisensteina i na bank anglo-austryacki. Ja nie mogę stracić, ten grunt to mój majątek.

— Jeśli Krausberg podał skargę do sądu, więc czego chce od nas?

— Panie administratorze, adwokat mówi mi tak, abym ja podał do sądu na pana administratora, i sąd położy areszt na szyb i na naftę z niego aż do ukończenia procesu. Ten szachraj, Eisenstein,

on narobił tyle kłopotu panu administratorowi, i ja mam tyle wydatków.

— Niech Krausberg zgłosi się do mnie za trzy dni o téj porze.

— Ja będę panie administratorze i proszę o moje dokumenta.

— Daj mu pan, — rzekł p. Floryański, a gdy zostali sami, mówił do dyrektora, — to sprawa nieczysta, on wiedział doskonale o sprzedaży gruntu bankowi i czekał chwili póki szyb nie da nafty, ale jak mu to dowieść? Najgorsza rzecz, iż te parcele włościańskie nie mają hypoteki, a bank zapewne zaniedbał ogłosić urzędownie swe kupno.

— Zaczekajmy, co powie adwokat, a w każdym razie my nie zapłacimy, tylko bank.

— Ten żyd wygląda mi na bardzo chytrego, — mówił p. Floryański patrząc na idącego p. Krausberga — on zbadał sprawę doskonale i pewno z gotowym planem przyszedł do nas.

— Omyli się w rachubie — zaśmiał się dyrektor.

— Kto wie. — rzekł zaniepokojony administrator, — ten żyd nie ryzykuje, on gra na pewniaka. Jutro mamy otwarcie fabryki oczyszczenia nafty, pojutrze jadę do Lwowa po pieniądze, dziś trzeba się rozmówić z adwokatem, pojadę do Drohobycza i pogadam o téj sprawie.

Pan Krausberg, wracając wózkiem jednokonnym do Borysławia, posłyszał zdala już turkot powozu. Obejrzał się, a poznawszy zaprzęg administratora, naglił furmana, aby ustąpił z drogi, zdjął pokornie przed przejeżdżającym powozem kapelusz, a gdy p. Floryański minął nędzny wózek, szepnął p. Krausberg z zawziętością:

— Ty pójdziesz od nas piechotą, nasza w tém głowa!

XXII.

Wiadomość, że p. Krausberg posiada tytuł prawny do gnębienia administratora Spółki kopalnianéj, rozeszła się szybko po mieście i wywołała na giełdzie wielką radość.

Pana Krausberga witano owacyjnie, winszując mu jego szczęścia, dopytując się o drobne szczegóły téj interesującéj sprawy.

— To było tak, — mówił p. Krausberg do licznych słuchaczy: Boruch kupił zakopy w Schodnicy, a że nie miał pieniędzy na zapłacenie chłopom, odstąpił mi notaryalnie połowę gruntów. Wiecie wszyscy, że on tu nie sprzedał bankowi, chociaż faktorzy go namawiali i ciągnęli do banku, on mi mówił, że chce się doczekać le-

pszéj ceny. Ja budowałem fabrykę i nie miałem czasu zaglądać do Schodnicy, nareszcie pojechałem i widzę na moim gruncie szyb Floryańskiego, co to jest? — pytam Arona, on mi mówi, że Boruch dawno już sprzedał bankowi te grunta.

— Oj ktoby się tego spodziewał po Boruchu, on był taki głupi!—odezwały się głosy.

— Wyglądał jak dziecko, a taki mądry!

— Co ty Lejzor teraz zrobisz?

— Ja chcę dostać mój grunt, bo on w trzech czwartych jest mój

— Lejzor, — odezwał się poważnie p. Lindeman, — ty nie wypuszczaj z ręki naszego wroga, niech on zginie, my tobie pomożemy wszyscy.

— Jak ty nie masz gotówki, ty Lejzor dostaniesz — rzekł p. Stillbach.

— Ty zapłać jemu za robotę szybu i zabierz na swój rachunek — doradzał pan Bernstein.

Szczegóły opowiedziane przez p. Krausberga przyjęto z dobrą wiarą, jakkolwiek ci, którzy znali go bliżéj, byli przekonani, że pan Krausberg kierował sam całą sprawą, ale w każdym razie bardzo przebiegle i szczęśliwie.

Wydano hasło milczenia o Boruchu, o tém czy wyjechał i gdzie wyjechał, chcąc go zasłonić przed wszelką odpowiedzialnością. Napróżno też adwokat, sąd i policya śledziła za obwinionym o oszustwo, Boruch Eisenstein przepadł bez wieści.

Gdy wszelkie żądania i pretensye pana Krausberga administrator odrzucił, odsyłając je do banku anglo-austryackiego, wówczas zjednoczona giełda swemi wpływami przyspieszyła kroki sądowe, i na szyb zakwestyonowany położono areszt. Równocześnie p. Krausberg wytoczył Spółce kopalnianéj proces o straty i szkody spowodowane wierceniem i zażądał zniesienia postawionych na gruncie budynków.

Pan Floryański, obliczywszy straty w razie przegrania procesu, zawezwał p. Krausberga do siebie. Przyjechał wózkiem jednokonnym i pokorny, składny, wszedł do biura dyrektora, w którym zastał również administratora i adwokata.

— Chcę proces zakończyć polubownie panie Krausberg, czego żądasz od nas?

Zapytany przesłonił oczy powiekami, spuścił głowę, by nie dopatrzono jego radości, i odpowiedział cicho:

— Ja także nie chcę procesu, ale ja nie wiém, co mi pan administrator da?

— Połowa gruntów jest nasza...

— Tylko jedna czwarta — przerwał mu p. Krausberg.

— Ten kwitek prywatny Eisensteina nie ma żadnego znaczenia wobec sądu — objaśnił adwokat.

Usta p. Krausberga skrzywiły się do uśmiechu ironicznego i mówił spokojnie:

— Panie mecenasie, tu nie sąd, my kończymy polubownie, i ja na ten kwit dałem tysiąc guldenów.

— O tem, potém, — rzekł p. Floryański — ile pan chcesz za swe pretensye?

— Co ja mogę wiedzieć? Cały ten grunt to sama nafta, ona tylko czeka aby ją zabrać, tam są miliony, ja wiem o tém i pan administrator także wie.

— Ileż pan żąda za te miliony?—uśmiechnął się p. Floryański.

— Ja nie wiem, ja czekam co mi pan administrator powie.

— Zwrócę panu wyłożone koszta.

— Pan administrator żartuje... ja dam moje trzy czwarte za szyb i moja nafta w trzech czwartych, to mi się opłaci.

— Ależ nas kosztuje ten szyb 16,000 guldenów, więc daj pan 12,000 — zaśmiał się dyrektor.

— Dlaczego nie? Ja dam, tylko wpierw muszę zobaczyć książki, bo ja wiem, że u panów jest akuratny porządek.

Ostatecznie zażądał p. Krausberg sumę 60,000 florenów, i po długich targach i namowach opuścił na 35,000. Dyrektor i adwokat odrzucili to żądanie, ofiarując za ustępstwo całego gruntu 20,000 guldenów. Pan Krausberg, będąc już na wychodném, zwrócił się do p. Floryańskiego:

— Panie administratorze, chce pan wiedzieć moje ostatnie słowo, ja sprzedam mój grunt za 30,000.

— Zaczekajno pan, namyślę się.

Pan Krausberg znów stanął pokornie u drzwi i obliczał się. Proces to niepewny interes, dziś on jest na wierzchu, ale może zajść nieprzewidziany wypadek, może Borucha znajdą, może ktoś był świadkiem odebranych z banku za grunt pieniędzy, może być to i owo, zawsze lepsza jest gotówka. Giełda może sobie narzekać na niego, ale niech każdy poderwie Floryańskiego na 30,000, to on musi zbankrutować. Z usposobienia zimny i rachunkowy, był w téj chwili przygotowany do ustępstw dalszych, zawsze bowiem przenosił dochód pewny, chociaż mniejszy, od kreciowych nadziei.

Pan Floryański znudzony i zniecierpliwiony procesem i pretensyami żyda, które wydawały mu się drobnostką w stosunku do oczekiwanych milionów przy tak ołbrzymiém przedsiębiorstwie, był

zdecydowany pozbyć się procesu chociażby kosztem 30,000 florenów i raczéj dla formy aniżeli z przekonania rzekł po chwili namysłu:

— Kończmy panie Krausberg za 25,000.

Żyd poznał z dźwięku głosu, że cyfra ofiarowana nie jest ostatnią i kłaniając się korpusem całym mówił tonem żałosnym:

— Ja myślałem, że my już skończymy, bo ja spokojny człowiek i nie chcę procesu, ale nie mogę odstąpić od mojéj ceny, ja jestem i tak bardzo stratny.

Na niemy znak administratora wmieszał się adwokat:

— Idzie tu o 5,000 guldenów, przedzielcie ją panowie krakowskim targiem po połowie.

— Ja nie mogę — mówił p. Krausberg rozkładając ręce.

— A nie, to nie, — zawołał p. Floryański podrażniony uporem kupca.

Pan Krausberg wyszedł, za krótką chwilę otworzył drzwi, wychylił głowę i rzekł:

— Panie administratorze, ostatnie słowo powiem 28,000.

— Niech będzie — powiedział p. Floryański zdecydowanym głosem.

Adwokat spisał tymczasową ugodę pomiędzy stronami, p. Krausberg podpisał, wziął zaliczkę i uradowany, uśmiechnięty, wsiadł w oczekującą go jednokonkę. Przejeżdżając obok fabryki cerezyny nad Tyśmienicą pod górą drohobycką, wysiadł, chcąc skontrolować czynność dyrektora i biura fabrycznego.

W głębi podwórza ujrzał dyrektora rozmawiającego z wielkiém zajęciem z jakimś nieznanym mu człowiekiem. Podejrzliwy z natury, obawiając się, że dyrektor Niemiec może wyzyskać swą pozycyę na niekorzyść wspólników, ostrożnie i nieznacznie podchodził do rozmawiających, nie spuszczając oczu z podejrzanéj osobistości.

Był to młody człowiek, średniego wzrostu, dość szczupły, ubrany w elegancki garnitur szary, który gestykulując mówił szybko z wielkiém ożywieniem. Pan Krausberg zbliżywszy się na kilka kroków, dosłyszał poszczególne wyrazy o kotłach, rurach, klapach, czém uspokojony, przywitał uprzejmie dyrektora, spoglądając pytająco na obcego.

— Pozwoli pan inżynier — zaczął dyrektor, — że przedstawię panu współwłaściciela fabryki, p. Krausberga.

Z ciekawością malującą się wyraźnie na ładnéj twarzy okolonéj ciemnym zarostem, starannie utrzymanym, zwrócił swe piękne piwne oczy na przedstawionego żyda, podając mu do uścisku rękę białą.

— Pan inżynier chemik, Emil van Haecht—kończył dyrektor.

Widok przebiegłéj, fałszywie uśmiechniętéj twarzy, bystrych szpiegujących oczu i dotknięcie brudnéj, spotniałéj ręki były dla inżyniera tak niemiłe, że poczuł dreszcz wstrętu i niewytłomaczonéj obawy przed tym człowiekiem, który go witał z uniżonością.

— Pan inżynier, podobnie jak i ja, gani brak doskonałych wentylatorów i niedostateczność urządzenia przykryw w drugim oddziale.

— Który to panie dyrektorze?—spytał p. Krausberg.

— Gdzie wosk przerabia się z kwasem siarkowym — odpowiedział wskazując na środkową część budynku fabrycznego.

— Robota jest tam bardzo uciążliwą, a nadzór tak ważnéj części bardzo utrudniony, — dodał Haecht.

— Przedstawiałem panu, — rzekł dyrektor z wymówką, — potrzebę rur wentylacyjnych i przykryw.

— Ale ludzie robią, a jeśli im dobrze, to na co ten wydatek, — uśmiechnął się właściciel.

— Dobrze? — zawołał inżynier. — Pan chyba nigdy tam nie byłeś! Kwas siarkowy zmieszany z woskiem wytwarza bardzo znaczną ilość bezwodnika siarkowego, uniemożliwiającego oddychanie.

— Oni jednak oddychają. Panie dyrektorze, jak długo trwa ta robota?

— Pięć godzin na dobę, a robotników muszę zmieniać co pół godziny.

— Nu, ja powiem panom, że nas tą fabryka dużo kosztuje, i my musimy się oszczędzać. Ja myślałem, że cerezyna to złoty interes, a ona idzie słabo. My nawet tracimy, bo taki wielki pieniądz włożony w inny interes przynosiłby lepsze procenta.

Inżynier spojrzał trochę zdziwiony na jednego, drugiego i przemówił:

— To dziwne, zagranicą cerezyna daje wielkie dochody, a przecież panów transport mało kosztuje.

— Dostaję lichy wosk, zanieczyszczony — skarżył się dyrektor, cerezyna nie ma koloru dobrego, bywa miękkawą, i tam muszą ją przerabiać, bo panowie właściciele nie godzą się na „upiększenie jéj na miejscu.

— My to zrobimy może późniéj, bronił się właściciel, — niech tylko fabryka da nam odpowiednie zyski. My nawet zgodzimy się na wentylatory i inne przykrywy.

— To ulepszenie powinniście panowie zaraz zrobić, tu idzie przecież o życie ludzkie — przemówił gorąco inżynier.

— Pan nie zna tutejszego robotnika, — zaśmiał się właściciel, on bardzo wytrzymały, leniwy i jemu wszystko jedno, aby tylko miał wódkę.

— To prawda, — dorzucił dyrektor, — tak apatycznego robotnika nie widziałem; no niechby u nas, w Niemczech, pozwolił sobie dozorca tak jak tutaj, albo gdyby nasz musiał pracować wśród takich gazów, rewolucya gotowa.

— Nie znam dobrze tutejszych robotników, wiém, że w naszéj fabryce mają dobrze...

— A w jakiéj fabryce jest pan inżynier? — spytał z ciekawością p. Krausberg.

— W téj obok, rafineryi nafty.

— Floryańskiego!? To pan inżynier przyjechał na dyrektora?

— Nie. Zostałem wezwany na kilka miesięcy, aby ulepszyć sposób rafinowania nafty.

Pan Krausberg spojrzał z szacunkiem na pana Haechta i chciał daléj pytać, gdy dyrektor dodał:

— Pan inżynier van Haecht poświęca się specyalnie nafcie i słynie z tego nietylko w Belgii, swéj ojczyźnie, ale i w Niemczech całych.

Właścicielowi błysnęła myśl, że dobrzeby było zużytkować takiego specyalistę w sprawie cerezyny, ale z obawy urażenia dyrektora powstrzymał się na razie od zrobienia propozycyi i tylko spytał z wielką ciekawością:

— I pan inżynier będzie miał czystą naftę? Może i lepszą od amerykańskiéj?

— Prawdopodobnie,—odparł swobodnie, bez cienia przechwałki, — w amerykańskiéj zawiele lotnych gazów i pali się nierówno.

— Pan już ma taką naftę?

— Czekam na aparaty i mając dosyć czasu wolnego pozwoliłem sobie zwiedzić fabrykę cerezyny.

— To wielki honor dla nas, — zawołał właściciel prostując się.

— Dużo ma pan „asfaltu"? — spytał dyrektora.

— Zależy od wosku i siły kwasu siarkowego, ale jeśli pan chce, możemy zobaczyć, czy i pan, panie Krausberg, z nami?

— Ja mogę pójść na chwilę.

Szli w kierunku drugiego oddziału. Już na wstępie owionął ich duszący gaz bezwodnika siarkowego, jakkolwiek właściwa przeróbka wosku z kwasem siarkowym została dość dawno skończoną, i obecnie cztery kotły ustawione w budynku na wysokości pierw-

szego piętra ostygały, i z płynnéj cerezyny opadały na spód kotłów części stałe, wytwarzając t. zw. asfalt w języku fabrycznym.

Wązkie schodki drewniane prowadziły na platformę.

— Nie obawia się pan ognia? — spytał van Haecht patrząc na drewniane schody.

— Proponowałem żelazo w całym budynku, a specyalnie w tym oddziale, jednak właściciele zdecydowali się na drzewo.

— I tak drogo kosztuje nas ta fabryka, — mruknął p. Krausberg, pokaszlując pod wpływem gazów.

— W razie ognia, a o ten bardzo łatwo, robotnicy giną bez ratunku — przemówił chemik.

— Zamyślam obić schody i platformę blachą żelazną — rzekł dyrektor.

Inżynier nachylił się nad kotłem, oparty o nizką baryerę, wpatrując się w żółtawą ciecz.

— To ładna cerezyna, — powiedział po chwili.

— Czy będzie biała? — zawołał właściciel zainteresowany, gdyż biała cerezyna płaci się dobrze.

— To zależy od „upiększenia".

— I ja myślę, że ta będzie biała dodał dyrektor, — otrzymałem bowiem dobry gatunek żelazosinku potasowego, powinien doskonale odbarwić.

Wkrótce wyszli, pokaszlując i łowiąc szybko świeże powietrze.

— To jednak męka pracować w tym oddziale — powiedział inżynier do dyrektora.

— A tak, ten gaz i gorąco działają zabójczo na organizm.

— Jaki ten chłop wytrzymały, — mówił właściciel — on się nawet uduszenia nie boi. Ja zmęczony, ja pożegnam panów.

— Co pan robi wieczorami? — spytał inżynier po wyjeździe p. Krausberga.

— Idę na piwo do kasyna, — odpowiedział dyrektor, — a pan?

— Póki miałem zajęcie w laboratoryum z rafineryą nafty nie nudziłem się, ale teraz nie wiem co robić.

— Jedź pan ze mną, w kasynie zbiera się możliwe towarzystwo.

— Czy bywa i ten właściciel?

— Tacy żydzi w chałatach, — zaśmiał się dyrektor, — nie są dopuszczeni, tam bywają urzędnicy, nafciarze, przemysłowcy.... przyjdź pan, piwo wcale dobre.

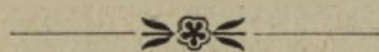
— Może i będę.

(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Własność rolna w Galicyi.

(STUDYUM STATYSTYCZNO-SPOŁECZNE).



Kwestya agrarna, tak paląca we wszystkich krajach Europy, przejawia się w Galicyi przedewszystkiém jako sprawa podziału własności rolnéj. O ziemię walczą ze sobą stany społeczne: szlachta i chłopi, jéj bronią Polacy i Rusini przed lichwiarzami Żydami, ona jest najważniejszém dążeniem jednostek w każdéj z tych grup społecznych, a często stanowi kość niezgody dla członków rodziny włościańskiéj, gdzie szmat ziemi dziedzicznéj, jest jedynym warsztatem do pracy. Dla właścicieli większéj posiadłości, pozostaje w każdym razie karyera urzędnicza, ale ona to właśnie odrywa od roli, jakkolwiek stanowi dogodną przystań dla tych członków rodziny ziemiańskiéj, którzy tylko kosztem rozdrobnienia majątku na roli utrzymaćby się mogli. Własność wielka się tedy nie drobi, a średnia nie powstaje, ale stan, do którego jedna i druga należy, znajduje inne dla siebie drogi. Włościanin przecież, uciekać się musi do dzielenia swéj posiadłości, co jest niezbędném wobec braku przemysłu, miast wielkich, wobec przynależności do obcoplemiennego państwa i sąsiedztwa krajów o liczniejszéj i wykształceńszéj ludności. Wśród ewolucyi gospodarczéj, która dokonywa się dokoła, stoi Galicya, wyosobniona przez brak czynnego udziału w życiu przemysłowém i pozostawanie przy formach wyłącznie rolnéj gospodarki, gdy układ jéj stosunków już

do takiéj się nie nadaje. Jakkolwiek wykształceni Niemcy zowią niekiedy Austryę pół-Azyą, ze względu na jéj formy polityczne, nie dorównywające państwom na zachodzie, to przecież przedstawia ona nowoczesny ustrój państwowy, który mieszkańcom narzuca ciężary, do jakich rolnicza ludność galicyjska, żyjąca prawie że w stadyum tak zw. naturalnéj gospodarki, nie dorasta jeszcze. Jest zbyt ubogą, aby opłacać je bez szkody dla rozwoju własnego gospodarstwa, a nie dość oświeconą, żeby w tém gospodarstwie wprowadzić nowe formy i sposoby uprawy.

Sprawa własności rolnéj staje się anormalną u góry i u dołu społecznej drabiny, oddziaływa na politykę sejmu, na ukształtowanie się stronnictw w kraju, na popularność haseł i programów, a przy systemie wyborów, ustanowionym przez konstytucyę krajową, zabarwia politykę, nie będzie nawet zbyt śmiałém twierdzenie, że w wielu wypadkach nią kieruje.

Rozpatrzenie faktycznego podziału własności rolnéj oraz wpływu, jaki wywiera on na ekonomiczne i społeczne warunki kraju, pozwoli nam uzasadnić twierdzenie niniejsze. Tymczasem zaś zwrócić musimy uwagę na stosunek, jaki zachodzi między rolnictwem w Galicyi, a w innych krajach Austryi. Podzielając bowiem losy monarchii pod względem politycznym, ponosząc wspólne ciężary, powinnaby Galicya stać na tym samym poziomie zamożności i rozwoju, przynajmniej wśród ludności rolnéj, która stanowi najważniejszą część całéj ludności kraju i w sprawach agrarnych, które wysuwają się na plan pierwszy, jako główne źródło utrzymania dla Galicyi.

Tymczasem na 7,586,597 hektarach, które stanowią przestrzeń rolną Galicyi, uprawa stoi wogóle niżéj, a stosunki rozwinęły się w sobie tylko właściwy sposób, tak że nasz specyalnie rolniczy kraj nie może się pochwalić, aby przodował pod względem produkcyi rolnéj innym. Gorzéj nawet, nie dorównywa on przeciętnym rezultatom osiąganym w państwie, a daleko pozostaje w tyle wobec Czech np. i Moraw, które obok wysokiego rozwoju rolnictwa posiadają olbrzymi przemysł.

Z całej powierzchni, zajętéj pod uprawę w Austryi, przypada na Galicyę 26.82%, rozpatrując przecież pojedyncze rodzaje uprawy, stosunek się nieco zmienia i to na korzyść właściwéj kultury rolniczéj, a mianowicie Galicya zawiera:

	Hektarów:	Przyjmując za 100 przestrzeń w całém państwie, wypadało na Galicyę:
Pól	3,803,543	35,76
Łąk	876,458	28.74
Ogrodów	109,259	29.36
Pastwisk	721,087	27.07
Lasów	2,021,828	20.68
Jezior, błot i stawów .	20,976	18.38[1]).

Po nad średnią cyfrę sięga tedy przestrzeń pól, łąk i ogrodów. Cyfra ostatnich byłaby bardzo pocieszającą, témbardziej że Galicyi brak winnic, które znaczny dają dochód innym krajom austryackim, nie odpowiada przecież istotnemu stanowi rzeczy, bo w Galicyi każdą przestrzeń ogrodzoną zowią ogrodem.

Przewaga kultury rolnéj nad przestrzeniami zużytkowanemi więcéj ekstensywnie jest bezpośrednio zależną od wysokiéj liczby ludności rolniczéj, która w żadnym z krajów austryackich nie dochodzi téj cyfry, co w Galicyi. Przypatrzmy się rezultatom spisu z r. 1890:

Na 1000 mieszkańców wypadało ludności osiadłéj na roli:

w Galicyi	838
na Bukowinie	830
Tymczasem na sąsiednim Szlązku . . .	478
na Morawach . .	562
w Czechach . .	468
w Austryi Niższéj tylko. .	294
licząc zaś w całém państwie . .	624 [2]).

Wysoka cyfra ludności rolnéj zrównoważoną jest poniekąd (większą niż w każdym kraju austryackim) przestrzenią roli zdatnéj pod uprawę. W całém państwie wypada średnio na 100 mieszkańców 48 hektarów, w Galicyi 63.8, cyfra do jakiéj nie dochodzi żaden z krajów austryackich, nawet Bukowina (50.4 hekt. na 100 m.). W bogatéj Austryi Niższéj na 100 mieszkańców wypada tylko 36.9 hektarów powierzchni rolnéj. Nie brak gruntów jest zatém przyczyną osławionéj nędzy galicyjskiéj, ale może właśnie ich obfitość uważaną być musi za jeden z powodów, dlaczego tak znaczna część ludności trzyma się wyłącznie pracy na roli. Z dru-

---

[1]) Według cyfr zebranych przy ustanowieniu podatku gruntowego w 1882 r.

[2]) Oester Statist. Handbuch z r. 1893.

giéj strony jest to warsztat pracy, który przy odpowiedniéj uprawie dawać może dochody znacznie wyższe od dzisiejszych, a wprowadzone w tym kierunku reformy gospodarcze daćby mogły wyższe i szybsze rezultaty, niż niefortunne usiłowania stworzenia przemysłu, na które stracono już tyle sił i pieniędzy. Jak dotąd, pomimo że uprawa intensywna, a więc przeważnie role i ogrody, znaczniejszy, niż w którymkolwiek z krajów austryackich stanowi procent, wartość ziemi jest w Galicyi niższą niż w całém państwie ogółem, co zostało oszacowaném przy regulacyi podatku gruntowego. Za zasadę przyjęto, że czysty dochód z morgi stanowi 5% od kapitału, któremu równa się jéj wartość.

Biorąc pod uwagę wszystkie rodzaje kultury, zarówno role jak i nieużytki, wynosi cena jednéj morgi w całém państwie 27.44 złr., w Galicyi 15.61 złr., na Bukowinie 10.8 złr., w sąsiednim Szlązku 35.04 złr. Najwyższą wartość mają grunta na Morawach, gdzie morga liczy się średnio 54 złr. Upośledzenie Galicyi wystąpi jeszcze wyraźniéj skoro porównamy wartość poszczególnych kultur:

Wartość 1 morgi gruntu w złr. waluty austr.

	W całem państwie średnio:	W Galicyi	Na Bukowinie:	Na Morawach
Role	110.8	51.0	53.6	174.0
Łąki	97.2	42.2	23.4	156.0
Ogrody	201.6	107.6	116.8	291.0
Pastwiska	16.6	18.6	13.6	36.4
Lasy	24.6	12.6	6.8	46.8
Jeziora i moczary	44.6	19.2	45.2	96.0 [1]

W porównaniu ze średniemi cyframi dla całego państwa najważniejsze kultury, jak role, łąki, ogrody i lasy, przedstawiają zaledwie połowę wartości. Kwitnące Morawy wykazują 3—4-krotną wartość tych rodzajów uprawy, nawet pastwiska doprowadzono tu do podwójnéj wartości, a jeziora i moczary wykazują 5 razy wyższą wartość po prostu dla tego, że moczary zostały osuszone, a na jeziorach prowadzoném jest wzorowe gospodarstwo rybne.

Ponieważ jednak obliczenia statystyczne opierają się na cyfrach przeciętnych, a tu porównywamy cały kraj z państwem lub drugim krajem, nasuwa się słuszne pytanie, jakie są warunki natu-

---

[1]) Dr. J. Roschman-Hörburg. Der Bodenwerth Oesterreichs. Stat. Monatschrift t. XI s. 542 i 489.

ralne galicyjskiéj gleby i klimatu, czy nie stoi ona, a przynajmniéj niektóre jéj części w wyjątkowo niekorzystnych warunkach? Jesteśmy w stanie odpowiedzieć na to pytanie na podstawie najnowszych badań [1]), a przytoczone tu dane posłużą nam jednocześnie do oceny warunków przyrodzonych wśród jakich rozwija się posiadłość ziemska w różnych okolicach Galicyi.

Pod względem składu gleby wyróżniamy w Galicyi 6 stref: 1) Na wschodzie czarnoziem podolski, który wrzyna się głęboko, sięgając do środkowych powiatów, i na znacznéj przestrzeni (792 tysiące hektarów) zaliczonym być może do najlepszych gleb w Europie. 2) Pagórki glinkowate i podgórze *(loess)* krakowskie, należące pod względem przyrodzonych właściwości i starannéj uprawy do najwydajniejszych okolic Galicyi, ciągnie się długim pasem z zachodu ku wschodowi. 3) Gleba glinkowata nieprzepuszczalna, od głównego przedziału wód aż do wschodniéj granicy, obejmuje porzecze Sanu oraz okolice Lwowa. 4) Ciężkie piasczyste grunta, wzdłuż granicy Królestwa Polskiego, które pod względem wartości ekonomicznéj stoją na czwartém miejscu wśród gruntów Galicyi. 5) Grunta piasczyste na północy i na zachodzie kraju, do których zaliczyć również należy urodzajną glinę próchnicowatą w okręgu sokalskim. 6) Górskie grunta kamieniste zajmują całe południe Galicyi.

Po za temi odrębnościami gleby zwrócić należy uwagę na różnice klimatów, które wywierają ważny wpływ, zwłaszcza przy kulturze ogrodniczéj. Szulc wyodrębnia pięć stref klimatycznych. Najsurowszym jest klimat górski, gdzie średnia temperatura roczna wynosi 5.6°—6.5° C. (przeciętna temperatura Krynicy równa się niemal temperaturze Mitawy, położonéj o 7° szer. daléj na północ). Górska strefa klimatyczna odpowiada piątéj strefie rolnéj i przedstawia wogóle najniedogodniejsze dla rolnictwa warunki.

Najłagodniejszy klimat posiada zachód kraju, gdzie średnia temperatura roku waha się między 7 i 8° C. Na północo-wschodzie i w strefie wschodnio-środkowéj klimat jest nieco ostrzejszy, gdyż jakkolwiek przeciętna temperatura roczna nie wiele różni się od zachodu, charakter jego jest bardziéj kontynentalny, a różnice między *maximum* zimy i lata dochodzą od 54—56° C. Strefa południowo-wschodnia posiada wysokie temperatury lata, w zimie zaś ter-

---

[1]) Objaśnienia co do gleby zawdzięczamy p. d-rowi Grzybowskiemu, dane co do klimatu podaje Kaz. Szulc: Ogólny zarys stref klimatycznych w Galicyi. Lwów—1898 r.

mometr opada średnio do—5.3° C. Tu jest kraina moreli, któremi cały powiat zaleszczycki ożywiony prowadzi handel. Wino hodowane w niewielkich ilościach dojrzewa wybornie.

Pomimo odrębności gleby i różnic klimatycznych wszystkie okolice Galicyi nadają się tedy do uprawy roślin rolniczych, jeżeli zaś rezultaty kultury nie dorównywają innym krajom austryackim, to przyczyny upatrywać raczéj należy w niższym stanie rolnictwa.

Pszenicę uprawiać można w całym kraju, oprócz okolic górskich wszędzie plon jest powyżéj 10 hl. z hektara. Zajmuje ona przestrzeń 377 tys. hektarów, a najwyższe zbiory daje na Podolu i w powiecie sokalskim. Wschód jest również ojczyzną kukurydzy, która stanowi główny pokarm ludności wiejskiéj. Żyto udaje się na zachodzie i na wschodzie Galicyi, ale zależnie od gleby urodzaj jego waha się między 8 a 18 hl. na hektar. Największą z pośród głównych zbóż przestrzeń zajmuje owies (698 tysięcy hektarów) i daje przeciętnie najwyższy plon z hektara (16—17 hl.). Z pośród innych roślin największa przestrzeń zajętą jest pod kartofle (427 tys. hektarów) i buraki cukrowe (924 tys. hektarów). Na wschodzie kraju spotykamy obszerne sady owocowe, dla których doskonałe są tu warunki.

Przyrodzone odrębności wytworzyć musiały różnice w kulturze rolniczéj, a mianowicie na 100 morgów wypadało w całym kraju na:

Role	48.46
Łąki	11.17
Ogrody	1.39
Pastwiska	9.18
Lasy	26.18
Stawy i bagna	0.27
Grunta nieprodukcyjne i nieopodatkowane	3.55

Tymczasem stosunek procentowy najważniejszych kultur rolnych przedstawia się w każdéj strefie inaczéj:

	Role:	Łąki:	Lasy:
1) Podole	74.30	3.40	11.18
2) Pagórki glinkowate	58.80	6.80	20.83
3) Okolice Krakowa	53.65	8.46	23.65
4) Powiaty środkowe	51.80	13.25	22.43
5) Na północo-wschodzie	49.10	15.84	24.55
6) Porzecze Sanu i Dniestru	47.59	12.95	23.64
7) Powiśle	46.18	10.86	28.41
8) Okolice górskie zachodnie	44.83	7.21	28.32
9) Okolice górskie wschodnie	22.75	16.46	45.24 [1]

[1] Podług Rocznika statystyki Galicyi 1889—91. Rok III s. 149.

Zbytecznem byłoby chyba wyjaśniać, że ta sama przestrzeń gruntu w każdéj strefie odmienne mieć będzie znaczenie. Dziesięć morgów na Podolu to 7.4 morgi doskonałéj roli pszenicznéj, tymczasem też same dziesięć morgów w okolicach górskich na wschodzie daje zaledwie 2.2 morgi roli zdatnéj pod uprawę.

Zwróćmy się z kolei do warunków ekonomiczno-społecznych własności rolnéj. Na pierwszém miejscu postawić przyjdzie podatki. Podatkiem gruntowym objęte są w Austryi, a zatém i w Galicyi, wszystkie poddane uprawie rolnéj grunta; wolne od podatku będą place budowlane i dziedzińce. Przy tych zasadach, podatek odpowiada wysokości czystego dochodu kadastralnego, który w każdym razie stoi niżéj od rzeczywistego przychodu z gruntów.

Grunta galicyjskie zaliczone są do najniższéj kategoryi, tak że wypada na nią 14.89% z ogólnéj sumy podatków w państwie. W roku 1890 kwota powyższa wynosiła 22.7% czystego dochodu kadastralnego kraju, czyli 4,937,479 złr. Słynne dodatki do podatków, w Galicyi wyższe niż w innych krajach austryackich, podwajają sumę podatkową. W roku 1892 dodatki do podatku gruntowego wynosiły średnio w całém państwie 90.4%, w Galicyi 105.1%. Podobny stosunek zachodzi między dodatkami do wszystkich podatków konsumcyjnych. Przyczyny szukać należy w tém, że cała własność publiczna należy do państwa, nie zaś do kraju, który wydatki swoje wyłącznie z sum podatkowych pokrywać musi. Pomimo to podatki gruntowe wraz z dodatkami nie są w Galicyi wyższe, ale nawet niższe niż w innych krajach austryackich, dla posiadłości włościańskich są przecież zbyt wysokie, tak iż wiadomém jest, że włościanin nie z ziemi, lecz z przychówku je opłaca. W wypadkach srogiéj zimy, gdy bydło wyzdycha, położenie włościan względem zobowiązań skarbowych staje sią nad wyraz trudném.

Przyjrzyjmy się teraz, jaka będzie wysokość podatku na 1-go mieszkańca, porównywając przytém Galicyę z innemi krajami monarchii austryackiéj:

W latach 1888/92 wypadało na 1 mieszkańca w złr. w. a.

	Podatków państwowych	Dodatków autonomicznych	Podatki bezpośrednie z dodatkami
Przeciętnie w całém państwie .	4.67	3.52	8.19
W Galicyi	*1.85*	*1.76*	*3.61*
Na Bukowinie	1.82	1.60	3.42
Na Szląsku	4.13	4.16	8.29
Na Morawach	5.17	4.29	9.46
W Austryi Niższéj . . .	14.32	6.62	20.94 [1]

[1]) „Oesterreichische Statistik“ t. XL (z r. 1896), z. 3 s. CX.

Podatki w Galicyi względnie niższe niż w innych krajach nie są bynajmniéj dowodem faworyzowania, które w ogóle nie jest naszym udziałem, lecz nizkiego ekonomicznego rozwoju Galicyi, która nie jest jeszcze w stanie ponosić nowoczesnych ciężarów państwowych. Winien temu w znacznéj części rząd, który nie czyni dostatecznych nakładów i wydziela na Galicyę mniéj, niż wstawia w budżety innych krajów, np. Czech. Ze wrostem wydatków autonomicznych wzrastają i dodatki do podatków. W 1890 r., jak widzieliśmy, nie dorównywają one jeszcze sumie podatków, w 1892 zaś przenoszą już tę summę o 911.404 złr.

Podział własności rolnéj i jego następstwa.

I.

Własność większa, dawniej dominikalna, stanowi t. zw. własność tabularną, a od 1866 r. w sprawach administracyi i wyborów tworzy odrębne od gmin wiejskich obszary dworskie. Aż do r. 1867 stanowiła posiadłość tabularna wyłączną własność szlachty, i niewolno jéj było nabywać ani chłopom, ani Żydom. Dziś ograniczenie to jest zniesioném, na obszarach dworskich powstają niejednokrotnie włościańskie osady, majątki przechodzą w ręce izraelitów, ale wyodrębnienie polityczne, ustanowione z powodu wyraźnego życzenia samych obywateli, wytworzyło wśród mieszkańców dwie różne warstwy, dwa światy, które nie mają żadnych wspólnych interesów, a często rozbieżne dążności, szlachcic i włościanin to nie sąsiedzi, ale dwa obce sobie i zwykle niechętne żywioły.

Z całego obszaru rolnego należy do własności tabularnej [1]) 5,362,245 morgów t. zn. 40,65%. Od r. 1866 obszar gruntów dworskich zmniejszył się o 2% blizko przez sprzedaże i parcelacyę, która najczęściej zdarza się w zachodnich powiatach kraju. Porównywając zaś własność większą (w Galicyi tabularną) w różnych ziemiach polskich, przekonywamy się, że zajmuje ona w Galicyi najmniéjszy

---

[1]) Cyfry opracowane podług dzieła T. Pilata. Własność tabularna w Galicyi. Lwów 1891. Zużytkował je po raz pierwszy i dopełnił D-r Ad. Krzyżanowski. Die Grudbesitzvertheilung in Galizien (Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwalt- u. Volksw.) r. 1895.

w stosunku do chłopskiéj własności obszar, a mianowicie na 100 morgów przestrzeni rolnéj wypadło na własność większą:

Na Pomorzu	60,54
W wielkiém Księstwie Poznańskiem.	55,81
Na Szląsku pruskim.	48,60
W Królestwie Polskiém	48,27
„ Prusach zachodnich	45,41
„ „ wschodnich	40,85
„ Galicyi	40,65

Rozdział gruntów pomiędzy własność większą nie jest tedy przyczyną nędzy galicyjskiego wieśniaka. Niezawodnie jednak nie bez wpływu na własność drobną będzie ukształtowanie stosunków posiadania wśród własności tabularnéj.

Z włościaninem styka się częściéj posiadacz średniéj, niż wielkiéj własnosci ziemskiéj, i raczej posiadłość prywatna, niż publiczna. Ostatnia, najczęściéj bardzo rozległa, przedstawia specyalny typ gospodarski: gospodarstwo lasowe i łąki. Do gospodarstw, stanowiących własność państwa, zbliżają się w typie gospodarki wielkie majątki prywatne, jak jedne tak i drugie stoją pod nadzorem zorganizowanéj administracyi urzędniczéj, zatrudniać mogą nawet znaczną liczbę najemnika i opłacać go względnie do zwyczaju przyjętego w kraju dość wysoko, ale nie mogą służyć za wzór do naśladownictwa dla gospodarstw włościańskich.

Gospodarstwo średnie, zwłaszcza mniéjsze majątki, prowadzić muszą i prowadzą intensywną kulturę: gospodarstwo rolne przeważa tu nad lasowém, rośliny intratniejsze, np. zboża wyższego gatunku lub rośliny handlowe, przeważają nad uprawą ziemniaków, lub owsa, czy jęczmienia. Wogóle zaś gospodarz dąży do tego, aby każdy grunt w należyty sposób uprawić i pozostawić jak najmniéj nieużytków. Jakkolwiek rodzaj gospodarstwa odmiennym być musi, gdy majątek zajmuje się głównie gospodarstwem bydlęcém, mleczném lub rolném, zmienia się zależnie od blizkości miasta, czy drogi żelaznéj, to przecież naśladować go mogą mniej czy więcej okoliczni włościanie. W Galicyi przykłady podobne i zetknięcie się włościan z prowadzonemi wzorowo gospodarstwami średniéj wielkości mogłoby wielką przynieść korzyść, bo nie tylko brak chłopu pieniędzy, ale i wiadomości, a pozostawiony sam sobie stoi na najniższym poziomie potrzeb i wykształcenia. Uważać można za pewnik, że dążenia ludzkie rzadko kiedy przechodzą po nad poziom możliwości, tak téż i włościanin, którego marzeniem jest zaokrąglić

swoją posiadłość przez nabycie przyległego gruntu, naśladować będzie gospodarkę stosowaną na mniejszych majątkach, którym podobna jest posiadłość jego, ale nie może i nie zechce brać za przykład gospodarstwa wielkiego majątku. Istnienie mniejszéj własności tabularnéj byłoby tedy samo przez się korzyścią dla włościanina, a brak owej klasy średnich nie włościańskich gospodarzy uważany być musi za szkodę, nietylko dla stanu obywateli wiéjskich, lecz i dla włościan. Tymczasem podział własności tabularnéj w Galicyi wytworzył stosunki całkiem inne.

Największym właścicielem jest państwo, które posiada 528 tysięcy morgów. Zabrawszy Galicyę, rząd austryacki przejął dawniejsze dobra koronne polskie, które oceniają na 1,3 miliona morgów. Znaczną ich część rząd odprzedał po niesłychanie nizkich cenach (od 1860 — 1870 r. sprzedano 843 tysiące morgów za 12½ mil złr.). P. Krzyżanowski, od którego wiadomość tę zapożyczamy (s. 1266), twierdzi, iż najważniéjszą do tego pobudką był wpływ idei liberalnych, które potępiały wszelkie dziedziny spekulacyjnéj gospodarki państwowéj. Nam się przecież zdaje, iż przyczynić się do tego mogły stosunki skarbu austryackiego, który w ciągu naszego wieku kilkakrotnym podlegał bankructwom [1]). Drugim właścicielem z rzędu jest kościół, do którego należy 245 tysięcy morgów [2]), z części ich (26000 mg.) utworzono za czasów Józefa II t. zw. fundusz religijny. Na trzeciém miejscu, co do obszaru, postawić należy majątek fundacyi, wynoszący przeszło 80 tysięcy morgów.

W pierwszym rzędzie wspomnieć tu należy o fundacyi hr. Skarbka z jej 44 majątkami, obejmującemi przeszło 58 tysięcy morgów, i zakładem dla sierot i starców w Drohowyżu. Zaraz na drugiém miéjscu postawić należy fundacyę hr. Ossolińskiego, z któréj utrzymuje się Ossolineum we Lwowie.

Własność publiczna, państwa i instytucyi stanowi siódmą część całéj tabularnéj i nierównomiernie jest rozdzieloną pomiędzy pojedyńcze powiaty, tworząc w niektórych przeszło połowę, a nawet trzy czwarte całéj przestrzeni tabularnéj. W powiecie kosowskim 92% własności tabularnéj stanowi posiadłość publiczną, w pow. Dolina 73%, w Kałuszu 65%, w okolicach Bochni i Wieliczki 30,795 morgów, wśród zachodniego podgórza 16096 morgów, w okolicach Liska i Dobromilu 24079 i t. d.

---

[1]) W latach 1848, 1855, 1859 i 1866.

[2]) Największe są posiadłości metropolity grecko katolickiego we Lwowie: 64.8 tysięcy morgów.

Pod względem społecznym, obok własności publicznéj, postawić można własność spółek akcyjnych, zwłaszcza banków, dziś z powodu sprzedaży skarbowi dóbr Nadworna zredukowaną do dwudziestu paru tysięcy morgów.

Wielka posiadłość prywatna pod względem sposobu gospodarowania zbliża się do publicznéj. W Galicyi obejmuje ona majątki powyżej 1000 morgów, należy do 1218 właścicieli i rozciąga się na 3612305 morgów. Zaliczyć tu trzeba 89 majoratów, które razem wynoszą przestrzeń 68466 morgów, przeważnie obszary leśne, tak że uprawa czysto rolna schodzi na plan drugi.

Następująca tablica uwidoczni nam stosunki wśród własności tabularnéj wielkiéj, poczém dodane zostały cyfry, odnoszące się do średniéj i małéj własności tabularnéj, których stanowisko uwydatnia się dopiero w tem zestawieniu:

(Patrz tablicę na str. 83).

Połowa własności tabularnéj należy zatém do 161 właścicieli, którzy prowadzą przeważnie gospodarstwo leśne. Właściwa własność większa, po za latyfundyami stanowi zaledwie trzecią część (33%) całéj własności tabularnéj, obie razem zaś zajęły tak olbrzymią przestrzeń, że na własność tabularną średnią i małą zostaje zaledwie 17 morgów na 100. Sama własność tabularna ułożyła się tedy w taki sposób, że średnie majątki, na których gospodaruje zwykle sam właściciel, prawie nie mogą być brane w rachubę. Ten średni stan rolniczy nietylko zeszedł dziś do liczby 1915 właścicieli, ale nawet zmniejsza się corocznie, a jak twierdzą znawcy stosunków wiejskich w Galicyi, np. prof. Pilat, zupełném grozi zanikiem[1]). W latach 1890 — 93 ubyło 56 dóbr téj kategoryi, a zatém 3% prawie[2]). Przyczyną jest parcelacya i sprzedaże przymusowe z powodu obdłużenia i braku kapitału obrotowego. Nie dobra wielkie ale średnie zagrożone są w swéj egzystencyi i ratować się muszą sprzedażą parcel, lub nawet rozparcelowaniem wszystkich gruntów. Zdarza się to najczęściéj na zachodzie kraju, zwłaszcza w okręgach bocheńskim i wadowickim, gdzie włościanie są zamożniejsi. W ostatnich 20-tu latach wystąpił nowy rodzaj właścicieli gruntów, izraelici. Charakterystyczném jest, że nie własność chłopska, ale tabularna przecho-

[1]) Czas (№ 65—r. b.—Dodatek) stwierdza na podstawie faktów, że udział udział obywatelstwa, a zatem średniej własności rolnej, w życiu publicznem z każdym rokiem maleje.

[2]) T. Pilat. O reformie agrarnej s. 10 i 11. „Średnia własność jest najmocniej zagrożoną“. Piotr Górski w mowie wypowiedzianej w sejmie 16 lutego 1898 roku.

Własność tabularna w Galicyi.

(Wedł. tablic prof. T. Pilata[1]).

Morgi	Liczba właścicieli	Obszar gruntów w morgach	Na 100 morgów własności tabularnéj	Na 100 mg. całej przestrzeni rolnej	Na 100 morgów wypada lasu	Liczba właścicieli publicznych	Należąca do nich przestrzeń w mg.
Powyżej 10.000	53	1.929.518	35.92	14.15	75.5	8	741.706
5000 — 10.000	108	728.268	13.56	5.33	58.8	6	38.863
Wogóle posiadaczów							
5000 — 10.000	161	2.657.786	49.48	19.48	70.9	14	780.580
1000 — 5000	945	1.795.644	33.43	13.15	43.7	36	60.545
Własność powyżéj							
1000 mg.	*1268*	*4.453.430*	*82.91*	**32.63**	*60.0*[2]	*50*	*841.125*
500 — 1000	754	544.966	10.16	3.9	33.5		
200 — 500	777	249.281	4.6	1.9	23.8		
100 — 200	384	53.352	0.9	0.3	20.8		
Własność średnia							
od 100 — 1000 mg.	*1915*	*847.599*	*15.7*	**6.1**	*29.8*	*78*	*6452*
50 — 100	219	} 26.216	0.4	0.12			
25 — 50	126						
Poniżej 25 mg.	1046	6280	0.12				

[1]) Wiadomości statystyczne t. XII. r. 1892.

[2]) Do własności powyżej 1000 mg. należy 75.5% wszystkich lasów w kraju, których przestrzeń obejmuje 3536682 morgi.

dzi w ich ręce, a dziś należy już do tej nowej warstwy właścicieli gruntowych 620 majątków z przestrzenią 591.693 morgów. Izraelici stanowią tedy 13% wszystkich właścicieli tabularnych z własnością przeważnie średnią, poniżéj 1000 morgów. Dowód to, że w inny sposób, a zatém przy dawnéj warstwie właścicieli nie mogła się ona utrzymać.

Układ własności ziemskiéj, przy którym brak prawie zupełnie majątków średnich, a piąta część całego gruntu znajduje się w ręku 161 posiadaczy, jest charakterystycznym dla Galicyi, anormalność jego występuje tém jaskrawiéj, skoro przypomnimy sobie, że rolnictwo jest najważniejszém i jedyném prawie źródłem dochodu, a ziemia głównym warsztatem pracy, zarówno dla warstwy szlacheckiéj jak włościańskiéj.

Lasy zajmują dotąd w Galicyi przestrzeń $3^1/_2$ milionów morgów, a zatém czwartą część (25.8%) całéj powierzchni kraju. Jest to bogactwo, które tylko dzięki przynależności lasów do największéj kategoryi własności utrzymać się mogło. W dobrach średnich uskarżają się na gospodarkę leśną, prawdziwie rabunkową; wycinanie lasów idzie coraz szybciéj, tak że w zachodniéj części kraju następstwa jego odbiły się na zmianie klimatu.

Jak widać z tablicy, podzieliły się lasy na różne kategorye posiadłości w taki sposób, że największa posiadłość (powyżéj 10.000 mórg) w trzech czwartych zajętą jest przez lasy, najmniéjsza zaś (100—200 mórg) tylko na jednéj piątéj. W ogóle zaś do własności tabularnéj należy $^6/_7$ całéj przestrzeni leśnéj w kraju, a tylko $^1/_7$, to jest 599.284 morgi, stanowią własność chłopów, przeważnie należącą do gmin. Lwia część lasu przypada tedy własności tabularnéj.

Z konieczności musi własność wielka, w któréj na 100 mórg gruntu wypada 70.9 lasu kłaść mniejszy nacisk na właściwie rolną uprawę. Latyfundya galicyjskie są dotąd zagospodarowane ekstensywnie, a przemysły rolnicze oprócz gorzelni niewiele rozpowszechnione. Skoro zaś własność tabularną uważać zechcemy jako całość, przeciwstawiając ją własności nietabularnéj, to na właściwą uprawę rolniczą, a zatém na grunta orne, łąki i ogrody, wypadają w każdéj kategoryi następujące odsetki:

	Własność tabularna			Własność nietabularna		
	w hektarach:					
Role	991.551	czyli	26.07%	2.811 896	czyli	73.93%
Łąki	197.474	„	22.54 „	678.735	„	77.46 „
Ogrody	15.923	„	14.49 „	93.951	„	85.51 „
Cała przestrzeń uprawna w kraju.	1.204.948	„	25.16%	3.584.582	„	74.84%

Udział własności tabularnéj i nietabularnéj w produkcyi właściwie rolniczéj w Galicyi, przedstawia się tedy jak stosunek 1:3, gdy tymczasém stosunek zajmowanego przez każdy z nich obszaru, jak 2:3.

Za bezpośrednie następstwo podziału majątków wśród własności tabularnéj w Galicyi, uważać można rozpowszechnienie systemu dzierżaw. W 1893 r. prawie trzecia część (29,8%) po odliczeniu lasów, zajmowanéj przez nią przestrzeni, wypuszczoną była w dzierżawę [1]). Gdzie grunta są lepsze, a zwłaszcza tam gdzie są lżejsze i podatniejsze do uprawy, dzierżawy zdarzają się częściéj. Decydują tu zatém, jak się zdaje nie oddawcy, lecz nabywcy dzierżaw. Powiaty w których przeważają wielkie majątki, mają najwięcéj dzierżaw, gdyż w dobrach średnich gospodaruje zwykle sam właściciel. Na Podolu zwykły obszar dzierżawy wynosi 1000—2000 morgów. W powiecie trembowelskim, gdzie trzy czwarte całéj powierzchni tabularnéj oddane są w dzierżawę, średni obszar dzierżawy był 1043 morgów, stanowi je zatém przeważnie własność większa. Zdarza się przecież, że wielki majątek rozdziela się na dzierżawy włościańskie, czego dowodem są 4 wielkie obszary tabularne w powiecie stanisławowskim.

Liczbę majątków wydzierżawionych podaje statystyka z r. 1893 na 1620, a średnią wielkość jednego na 447 morgów. Porównywając te liczby z ilością dóbr tabularnych powyżéj 100 morgów, dochodzimy do wniosku, że tylko połowa własności większéj znajduje się we własnym zarządzie.

Zauważyć również trzeba, że wśród dzierżawców licznym jest ów nowy element ziemiański, na który zwracaliśmy uwagę, omawiając podział własności tabularnéj, Żydzi. Do izraelitów należy 783 dzierżaw, to znaczy 54% wszystkich, właścicielami ich tylko w małéj części są również izraelici (65). Pozostali w liczbie 718 powiększają zatém zastęp izraelitów gospodarzy do liczby 1338, jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę że są to po większéj części nie latyfundya, ale dobra większe i średnie, przyznać trzeba, że stan ziemiański w bardzo znacznéj części składa się dziś z elementu żydowskiego, który podobno gospodaruje wzorowo. Wypierani z handlu i przemysłu przez izraelitów i cudzoziemców, ustępujemy również dobra ziemskie nowéj warstwie posiadaczy, którą tylekroć za niezdolną do gospodarstwa rolnego społeczeństwo nasze uznawało!

---

[1]) Dzierżawy tabularne. „Wiadomości statystyczne", t. XV zesz. 2.

Własność tabularna w Galicyi nie wesoły przedstawia obraz i trudno ją już dzisiaj uważać za czynnik rozwoju, za przewodnika w życiu narodowém. Spostrzegają to ludzie różnych obozów, tembardziéj, że chwianie się większéj własności ziemskiéj nie jest wyłącznie galicyjskim objawem, jakkolwiek w tym kraju przejawia się może jaskrawiéj, niż gdzieindziéj. Oto, co powiada prof. Wł. Ochenkowski [1]), uczony badacz stosunków agrarnych. „Tam gdzie ogólny socyalny problemat rozwoju, a więc i problemat ekonomicznego rozwoju, wymaga do rozwiązania go znaczniejszéj ilości wyrobionych pracowników, tam większa własność ziemska, czy to obecnie się tworząca, czy téż przekazana, pierwszorzędnym czynnikiem ustroju agrarnego być nie może. Słabości jéj społecznéj, braku tradycyi pracy dowodzi szybkość, z jaką po zniesieniu przywilejów i wyzwoleniu rolnika i ziemi większa własność ziemska przeszła z rąk dawnych właścicieli do rąk nabywców z innych stanów, posiadających tradycyę pracy. Wybitna dążność do tworzenia z większéj własności latyfundyów i spekulacyjne traktowanie ziemi są również dowodem społecznéj słabości téj kategoryi własności". A na inném miejscu... „klasa ziemskich władzców zdradza brak idei zachowawczéj, którą każdy człowiek i każda klasa powołana do socyalnego działania, posiadać i kształcić powinna".

Przyznać trzeba, że większa własność w Galicyi téj idei samozachowawczéj przeprowadzić nie może, bo obstawanie przy dawnych formach władzy i administracyi, gdy wszystko dokoła się zmienia, nie jest jeszcze istotném utrzymywaniem się przy stanowisku przewodniczącém, ale raczéj nierozumieniem ducha czasu.

II.

Na przestrzeni 7825921 morgów rozsiadła się w Galicyi posiadłość włościańska, która zajmuje prawie 3/5 całego obszaru rolnego (59.35%)[2]). W ostatnich latach trzydziestu przestrzeń ta wzrosła o 410,764 morgi, czyli o 3% Pomimo to przecież średni rozmiar zagrody włościańskiej spadł w 1892 r. do 4.4 morgów, a mimowoli bierze chętka ten drobny szmat ziemi postawić obok innéj cyfry

[1]) O włościach rentowych. Kraków 1897 s. 9.

[2]) Przestrzeń zajętą przez posiadłość włościańską otrzymaliśmy po odciągnięciu od ogólnej przestrzeni rolnej obszaru własności tabularnej, oraz 272 tysięcy morgów, zajętych przez drogi i obszary wodne i 180479 morgów terytoryów miejskich. (Na podstawie cyfr T. Pilata. Własność tabularna w Galicyi. 3. XII).

średniéj, 2990 morgów średniego obszaru jednéj posiadłości [1]), który otrzymujemy dla prywatnéj wielkiéj własności ziemskiéj. Latyfundyum i gospodarstwo karłowate to cechy gospodarstw rolnych wśród społeczeństwa galicyjskiego!

Własność włościańska drobi się nieustannie i z przerażającą niemal szybkością. Przed laty czterdziestu jeszcze wynosiła 9 mor, gów przeciętnie, dziś spadła do połowy tej wielkości. Od. r. 1857 ilość arkuszy gruntowych, które odpowiadają posiadłościom rolnym wzrosła o 168.7%, a obszar każdéj zmniéjszył się 62.7%, przyczem i suma czystego dochodu z jednéj posiadłości zmniéjszyła się o 47 na 100 [2]). Mamy tedy coraz więcéj właścicieli, a każdy z nich jest coraz uboższym.

Rozbicie posiadłości gruntowéj postępujące z roku na rok zagraża dziś zupełném sproszkowaniem własności chłopskiéj. Zagrody na jednéj lub nawet na pół morgu nie należą bynajmniej do rzadkości, a wykazy ministeryum skarbu za ostatnie lat 10, nie sięgając już dalej wstecz, kiedy panowały bez wątpienia pomyślniejsze stosunki, dają następujące cyfry arkuszy gruntowych w latach [3])

1883	1885	1890	1893
1420021	1464368	1635897	1631841
100	103	115	115

Przyjmując za punkt wyjścia rok 1883, na każde 100 właścicieli przybyło 15. Takie proszkowanie własności i przez włościan samych niewątpliwie odczuwaném być musi, jako zjawisko ujemne, a przecież stosunki panujące uczyniły je tak konieczném, że ilekroć sami interesowani mają sposobność zabierać głos, oświadczają się przeciw prawnemu ograniczeniu podzielności [4]).

Nie posiadamy dla Galicyi dokładnéj statystyki podziału gruntów, a wobec ciągłych zmian i wahań byłaby ona nawet nadzwyczaj trudną do przeprowadzenia. Pomimo to przecież sprawa podziału gruntów jest tak doniosłą i zasadniczą przy wszelkiéj polityce agrarnej, że zużytkować musimy źródła istniejące i przybliżone z nich przynajmniéj wyprowadzić wnioski.

---

[1]) Średnia ilość morgów, przypadających na 1 posiadłość wśród własności większej, obliczona na podstawie tablicy własności tabularnéj (patrz str. 83).

[2]) Statistische Monatsschrift. t. X. s. 236.

[3]) Oesterr. Statistisches Handbuch z r. 1893. Wiedeń 1894

[4]) Podczas ankiety agrarnej w 1897 r. włościanie Huryk i Bojko oświadczyli się przeciw tej reformie. To samo powtarza się na sejmikach relacyjnych, ilekroć posłowie włościańscy zapytują wyborców włościan o zdanie.

Przy ankiecie agrarnej w grudniu r. z. w Wadowicach zdania były podzielone.

W r. 1883 krajowe biuro statystyczne we Lwowie przeprowadziło badania nad podziałem własności rolnéj we wszystkich powiatach Galicyi, używając przy tém t. zw. reprezentacyjnéj metody. Dokonało się to w taki sposób, że z każdego powiatu wybrano gminy typowe, razem 249, podając w nich podział osad włościańskich na zasadzie kadastralnego dochodu z ziemi. Pomiędzy posiadłościami wyróżniono kategoryę bez dochodu kadastralnego, z dochodem do 5 złr., 5 — 10 złr., 10 — 20 i t. d. aż do 100, a wreszcie osady z dochodem 100 — 150 złr. i powyżéj 150, w ogóle 14 kategoryi, które uwydatniać miały dochody posiadaczy włościańskich. Rezultat wywiadów wykazał, że posiadłości z dochodem kadastralnym poniżéj 10 złr. stanowią ogromną większość, a mianowicie:

	Na 100 posiadłości miało dochód poniżej 10 złr.
W 22 gminach.	90 — 98.2
„ 26 „	80 — 89.8
„ 49 „	70 — 79.8
„ 38 „	61 — 69.6
„ 50 „	50 — 60[1]).

W 185 gminach zatem posiadłości gruntowe z dochodem powyżéj 10 złr. nie stanowią nawet połowy, a w 48 nawet nie czwartą część wszystkich posiadłości. Tylko w pozostałych 64 gminach liczba ich dochodzi do 50 na 100 lub nawet wyżéj. Niema wszakże ani jednéj takiéj gminy, w któréj przynajmniéj piąta część właścicieli nie podpadłaby pod najniższą kategoryę dochodów. Dochód kadastralny uważać wprawdzie można za 2 — 3 razy niższy od rzeczywistego[2]), i w takim razie przecież jest on nędznym i na wyżywienie rodziny w trzech czwartych wypadków gospodarstwo włościańskie wystarczyć nie może.

Na wspomnianéj już ankiecie reprezentacyjnéj trudno byłoby oprzeć istotny podział gruntów włościańskich, ale korzystamy z materyału, przy którym dla każdéj gminy i kategoryi własności podano obszar zagrody włościańskiéj w każdym powiecie politycznym. Liczba ta, opierając się na materyale zebranym przez znawców,

---

[1]) D-r Krzyżanowski (cyt. wyż.) obliczając posiadłości poniżej 200 mg. znajduje, że obszar zagrody włościańskiej wynosił w 1882 r. 4.46 morgi.

[2]) W r. 1886 obliczono, że w Austryi wartość podatkowa stała do obrotowej, jak 1:2.25 to zn., że realność z wartością podatkową 100 złr. sprzedawano za 225 (Beilagen zu den Gesetzentwürfen... XI. Wiedeń 1893. s. 445).

jeżeli nie jest zupełnie ścisłą, to przynajmniéj odpowiada istotnemu stanowi i nadaje się do porównań z materyałem późniejszym, pochodzącym z 1897 r.

I w tym roku materyał nie daje nam właściwego podziału gruntów włościańskich, ale liczbę płacących podatki za rok 1897 [1]), która w porównaniu z przestrzenią rolną, jaką zajmuje posiadłość nietabularna w każdym powiecie, pozwoliła obliczyć średni obszar posiadłości gruntowéj włościańskiéj. Otrzymaliśmy w taki sposób dwa szeregi cyfr, które przedstawić nam mogą zmiany jakim podlegała własność włościańska w przeciągu ostatnich lat 14 stu. Naturalnie, że to rezultat nieco szematyczny, ale przy danym materyale możliwie najdokładniejszy; z tego powodu zatém podajemy go na dwóch mapkach. Pierwsza wykazuje średni obszar włościańskiéj posiadłości w r. 1883, druga w 1897, rozdzielone według powiatów. Zestawiając mapki, mamy ciekawy obraz zmian, jakie dokonały się w ciągu lat 14-tu, między pierwszém a drugiém obliczeniem.

Karłowa posiadłość włościańska od 2 — 4 mg. stanowi w 1897 roku średni obszar zagrody w znacznéj liczbie 30-u powiatów, a nie mamy tu do czynienia z gruntami budowlanemi, które jako nie opłacające podatku gruntowego do spisu nie zostały włączone. Wyjątkowo tylko będą to ogrody, które np. w powicie krakowskim pomimo małych rozmiarów posiadłości względną mieszkańcom wsi zapewniają zamożność. Powiaty graniczne w lepszém od innych znajdują się położeniu, gdyż znaczna część ludności wędruje na Szlązk lub do Królestwa, szukając zarobków. W Krakowie i Przemyślu część ludności wiejskiéj znajduje odpływ do miast, w Brzozowie i Krośnie téj saméj sposobności dostarczają kopalnie nafty. Największa część powiatów, w których średni obszar posiadłości wynosi 3—4 morgów znajduje się na wschodzie, gdzie grunta są urodzajne, ale brak sposobności do zarobków w przemyśle, a nawet w gospodarstwach większych chętnie się posługują mazurami, gdyż rusin miejscowy niechętnie idzie na robotę, twierdząc, że: „u menia zdorowje ne na odin rik". Jest to ojczyzna gospodarstw karłowatych, towarzyszącéj im nędzy chłopskiéj i gospodarskiego zastoju [2]).

Stosunki ludnościowe nie miały bezpośredniego wpływu na drobienie się posiadłości. Porównywając dane z r. 1883 i z 1897,

[1]) Liczby te użyczone, łaskawie przez pp. Piotra Górskiego i Adama Krzyżanowskiego pochodzą z niedrukowanego spisu podatników, sporządzanego przez ministeryum skarbu w Wiedniu.

[2]) Jako typ podziału posiadłości we Wschodniéj Galicyi uważać możemy powiat skałacki (opracowany przez Marassego), gdzie w 1875 r. był następujący podział gruntów między 20,277 zagród włościańskich. (*verte*):

spostrzegamy, że posiadłość najmniejsza zmniejszyła się w 17-u wypadkach, a wzrosła w 13-u. Byłoby to zbyt śmiałém upatrywać zależność tego zjawiska od zaludnienia, zauważmy przecież, że prawie wszystkie (14) powiaty, w których ludność wzrosła miały zaludnienie wyższe od przeciętnego w kraju (84 na 1 kilometr kw.). W sześciu zaś było zaludnienie przeszło 100 mieszkańców na kilometr kw. Najwyższe zaludnienie spotykamy w powiecie wielickim, który wykazuje także największy przyrost średniege obszaru zagrody. Wprawdzie drugi z rzędu, co do ludności, powiat krakowski wykazuje zmniejszenie obszarów, ale jest to zjawisko zwykłe w okolicach większego miasta, gdzie ceny gruntów są wysokie.

Przejdźmy z kolei do tych powiatów, w których średni obszar własności gruntowéj dochodzi do przeciętnego w kraju, lub go przewyższa. Przedewszystkiém należy tu kategorya zagród od 4 — 5 morgów obszaru, które weszły klinem pomiędzy powiaty z najdrobniejszą posiadłością na zachodzie i ciągną się długim pasem od Krosna aż po granicę Królestwa, potém na wschód aż do granicy rosyjskiéj. Podole, ojczyzna własności karłowatéj, otoczoną jest ze stron wszystkich przez te posiadłości. Powiaty o posiadłości 5 — 6 morgów stanowią znaczne terytoryum na zachodzie między Brzeskiem i Tarnobrzegiem, oraz na wschodzie dokoła Lwowa. Wzdłuż granicy węgierskiéj, w górach zgrupowały się powiaty z wyższą granicą własności, a jakkolwiek spotykamy tu w 1882 r. obszerne

---

	na 100 było
Poniżej 1 morgi	32
od 1 — 3 mórg	28
„ 3 — 5 „	11
„ 5 —10 „	19
„ 10 —15 „	5
„ 15 —20 „	2.7
„ 20 —25 „	0.7 i t. d.

Powyżej 25 morgów było w całym powiecie 290 zagród, a powyżej 50 tylko 89. Pamiętajmy, że przez ostatnie dwadzieścia kilka lat rozdrobnienie znaczne uczyniło postępy. W 22 gminach podolskich zagród poniżej 2 morgów liczą 42—85 na sto. Obok nich zaś istnieje zastęp chałupników i proletaryatu wiejskiego. Z tego powodu zjawia się do roboty tak wielka liczba, że żniwo w przeciągu tygodnia ukończonem zostaje. W dobrach należących do izraelitów robotami zarządza niekiedy szynkarz, który pożyczki zaciągnięte na przednówku, głównie w mące, odrabiać każe na gruntach folwarcznych.

Wspomniana już ankieta w Wadowicach dała następujący rezultat:

niżej 2 mg.	gospodarstw	3052	25.0%.
od 2—5 „	„	5376	43.8%.
„ 5 – 10 „	„	3112	25.3%.
„ 10—20 „	„	617	5.0%.
„ 20—50 „	„	110	0.9%.

gospodarstwa włościańskie, złożone przeważnie z pastwisk, w 1897 r. w żadnym powiecie przeciętny rozmiar nie przewyższał 10 morgów.

Wśród większych przeważają posiadłości o przeciętnych rozmiarach 4—5 morgów po nad każdą inną kategoryą własności. W 1897 r. w porównaniu z r. 1883 dokonały się w nich wielkie zmiany, w żadnym średni obszar nie pozostał takim, jakim był przed laty 14, a w niektórych, jak np. w Turce, Lwowie, Żydaczowie, Kałuszu i Stanisławowie, przyrost lub ubytek jest stosunkowo znacznym. Bliskość wielkiego miasta i wytworzone przez to ożywienie gospodarcze powinnoby dostatecznie objaśniać te wielkie przeobrażenia. Dziwnemi są one przecież w pow. Turka, położonym na granicy węgierskiéj, gdzie brak wszelkiego przemysłu. Stosunki Turki zasługują na uwagę, gdyż własność tabularna obszaru 81,000 morgów podzieloną jest tylko między 31 właścicieli. Ludność włościańska, Rusini (Huculowie), stoją na najniższym poziomie oświaty, tak że tylko 6% umie czytać lub czytać i pisać. Ten brak oświaty objaśnia poniekąd znaczny procent (11) ludności żydowskiéj, która zastępuje cały stan kupców, kramarzy i zajmuje się lichwiarstwem. Miast powiat Turka nie posiada, a szybkie zmiany w stanie posiadania, wobec małego zaludnienia, przypisać chyba należy nie ewolucyi stosunków gospodarskich, ale raczéj zubożeniu ludności, która dzielić i sprzedawać musi jedyną swą własność — ziemię.

Obszar średniéj posiadłości włościańskiéj, przyrost jéj lub ubytek i tu nie stoi, jak się zdaje, w żadnym stosunku do gęstości zaludnienia. Największe postępy czyni podział gruntów w Turce, gdzie ludność jest najniższą, i we Lwowie, gdzie jest dwa razy wyższą, a bliskość miasta podnosi cenę gruntów To samo powtarza się w powiatach, w których wzrosła posiadłość włościańska. Kałusz ma niską ludność, a Stanisławów wysoką, przyrost rozmiarów zagrody włościanskiéj jest zaś w obu prawie identyczny.

Następna zaraz kategorya posiadłości 5—6 morgów obejmuje znaczną liczbę 13 powiatów. I tu zmiany są powszechne, jakkolwiek mniéj znaczne. Prawie połowa powiatów (6 na 13) wykazuje przyrost zagród, co przypisać należy dwojakiéj przyczynie. Przedewszystkiém znajdujemy się tu w okręgach naftowych, gdzie zamożność mieszkańców szybko wzrastać może. Po za tém, wobec nizkiego poziomu potrzeb u włościan galicyjskich, zagroda o 5 lub 6 morgach znaczy możność oszczędzania, które dokonywa się zwykle kosztem dobrego odżywiania i pracy po za własném gospodarstwem. Skupywanie gruntu zaś to największa namiętność wieśniaka w Galicyi, jak i wszędzie, o podwyższenie stopy życiowéj dba bardzo ma-

ło. Dowodem tego są i następne kategorye własności powyżéj 6-u morgów. Z 14-stu należących tu powiatów tylko w trzech zmniejszył się obszar przeciętny. W Kolbuszowie pozostał bez zmiany, a w 8-iu wzrósł. Największe zmiany wykazują stosunki w Kosowie. Ludność jest tu rusińska (82%) ze znaczną przymieszką żydów (12½%), którzy żyją wśród włościan. jako lichwiarze i kramarze. Własność tabularna w całości prawie należy do skarbu. Południowa część powiatu tworzy dziką okolicę przerżniętą lasem i górami, ojczyznę Hucułów. Północ powiatu, gdzie poczyna wkraczać przemysł naftowy, wykazuje stosunki podobne do reszty kraju. W każdym razie obszar zagród włościańskich w pow. kosowskim jest znaczny, a niektóre w 1883 r. dochodziły do 800 morgów. Gospodarstwo daje przecież tak małe dochody, że dochód kadastralny 15 złr. wypada na obszar 15 morgów, gdy na zachodzie już przy trzykroć mniejszym obszarze bywa osiąganym.

W kategoryi właśności, powyżéj 6 morgów, spotykamy więcéj wypadków powiększania się tego obszaru, niż w każdéj innéj. Przyczyny szukać należy w przemyśle naftowym, rozwijającym się w samym powiecie (np. Jasło, Gorlice, Sanok, Nadworna), lub w przyległych (Grybów), w istnieniu zakładów leczniczych i t. p. zarobkach ubocznych.

Rozpatrując stosunki ludnościowe u téj kategoryi posiadłości, dochodzimy do wniosku, że z 10 powiatów, w których obniżył się obszar posiadłości, w 8 liczba mieszkańców niższą była od średniéj. W 16 wypadkach przyrostu zaludnienie nie było mniejszém.

Dotychczasowe badania wykazały daleko idące rozdrobnienie włościańskich gruntów w Galicyi, które powtarza się we wszystkich okolicach kraju, a przecież w każdym powiecie odmienną przybrało postać. Niepodobna téż tu postawić ogólnéj zasady, ale raczéj należy indywidualizować, doszukując się całego szeregu przyczyn, zamiast jednéj. Nie należy również zapominać o różnicach, które wynikać muszą z niejednakowéj urodzajności gruntów. Posiadłość włościańska, któréj średnia wielkość waha się między 3 a 10 morgami, niekiedy pozornie tylko tak bardzo jest różną, a uważana jako warsztat pracy, z którego włościanin pragnie wyżywić rodzinę, wszędzie prawie doszła do ostatecznego kresu rozdrobnienia, przy którém nędzna egzystencya jeszcze jest możebną. Ażeby się o tém przekonać, zestawmy średni obszar zagrody włościańskiéj z odsetkami roli zdolnéj pod uprawę w każdéj strefie. Jako trzeci szereg, stawiamy średnie zaludnienie stref, aby na nowym szeregu faktów

przekonać się, czy oddziaływa ono na rozdrobnienie własności włościańskiéj:

Nazwa stref	Na 100 mg. obszaru wypada ról zdatnych do uprawy morgów.	Średni obszar posiadłości włościańskiej w morgach.	Liczba mieszkańców na 1 km. kw.
Galicya w ogóle	48.46	4.4	84
I Podole.	74.30	3.53	100
II Pagórki glinkowate na zachodzie .	58.80	4.61	112
III Okolice Krakowa	53.65	3.38	124
IV Powiaty środkowe	51.80	4.03	74
V Północo-wschód.	49.10	4.42	72
VI Porzecze Sanu i Dniestru . . .	47.59	4.57	113
VII Powiśle	46.18	5.15	79
VIII Okolice górskie na zachodzie . .	44.83	6.30	83
IX Okolice górskie na wschodzie . .	22.75	6.57	53

Średni obszar zagrody włościańskiéj zależy tedy od ilości roli uprawnéj, która na daną przestrzeń wypada, i śmiało twierdzić można, że zeszedł już wszędzie do najdalszéj prawie możliwéj granicy. Wśród krajów europejskich zdawałoby się, że analogię stosunków rolnych galicyjskich odnajdziemy we Francyi. Tymczasem sięga ona tylko, o ile chodzi o liczbę posiadłości *(côtes foncières)*. De Foville [1]) dowodzi, że prawie $^7/_{10}$ wśród najmniejszych posiadłości poniżéj 2 hektarów są to parcele budowlane, które w naszych obliczeniach żadnéj roli odgrywać nie mogą, gdyż opieramy się na spisach podatkowych. Po za tém we Francyi istnieje średnia posiadłość włościańska (osady od 6—50 hektarów) w znacznéj liczbie 1.351.000 zagród, do których należy 39% całego obszaru gruntów [2]).

Podobnie niekorzystne rezultaty otrzymujemy z porównania podziału gruntów w Galicyi i innych krajach monarchii austryackiéj np. w Czechach. Według obliczeń dokonanych z powodu podatku gruntowego w 1893 r. na 10,000 płacących ten podatek wypada podatników: [3])

Podatek:	W Galicyi:		W Czechach:	
Do 1 złr.	4637	9610	3618	7674
1 — 2 „	2073		1329	
2 — 5 „	2083		1695	
5 —10 „	817		1032	

---

[1]) Le morcellement en France—s. 95 i n.

[2]) Tamże s. 91.

[3]) Obliczone według Oesterr. stat. Handbuch z r. 1894. s. 115.

Podatek:	W Galicyi:		W Czechach:	
10 — 20 złr.	279	364	867	2184
20 — 50 „	69		976	
50— 100 „	16		341	
100— 200 „	8.5	22.3	97	136.0
200— 500 „	8.2		24	
500—1000 „	4.2		5.6	
1000—2000 „	1.7		3.9	
2000—5000 „	0.6		3.1	
powyżej 5000 „	0.1		2.4	

Obliczając płacących podatek gruntowy na 100, wypada tedy w najniższéj klasie do 10 złr., w Galicyi 96.1, w Czechach tylko 76.7, podatki od 10—100 złr., płaci w Galicyi 3.6% wszystkich posiadłości, w Czechach 21.8. Najwyższa kategorya powyżéj 100 złr. wynosi w Czechach 1%, w Galicyi zaś tylko ułamek.

Z tych spisów podatkowych widać że w Galicyi obok gospodarstw karłowatych (opłacających podatek poniżéj 2 złr.), które stanowią 67% wszystkich, posiadamy niewielką liczbę gospodarstw drobnych (29%), a brak zupełnie posiadłości średniéj, którąby stanowić powinna podstawę stanu chłopskiego. Samodzielnych gospodarstw włościańskich niema już prawie.

Aby dopełnić obrazu posiadłości włościańskich, poświęcić musimy wreszcie uwagę gruntom gminnym. Znane pod nazwą gruntów wspólnie używanych, obejmują one 13-ą część własności nietabularnéj, t. zn. koło 650 tysięcy morgów. Prowadzona na nich gospodarka oddawna już wywołała niezadowolenie, tak że wydział krajowy rozpisał 31/XII 1891 r. ankietę, aby z odpowiedzi na kwestyonarze wywnioskować, jaką reformę należy tu przeprowadzić. Otrzymane z 67 powiatów odpowiedzi pozwalają nam wytworzyć sobie pojęcie o 617,028 morgach gruntów gminnych [1].

Grunta wspólnie używane stoją pod zarządem gminy, to zn. wójta i rady złożonéj z 8 — 12 członków. Przy rozdziale gminy od obszaru dworskiego, chłopi posiadają samodzielną władzę przy zarządzie, a wójtowie [2] często niedorośli do swego stanowiska, pozostawiają go wraz z innemi najważniejszemi sprawami pisarzom gminnym, urzędnikom nizko wynagradzanym, często bez stałéj pensyi, którzy na własną korzyść dopuszczają się nadużyć.

---

[1]) Pilat. Grunta wspolnie używane. „Wiad. Statystyczne. Tom XV—1895 r.

[2]) Wśród wójtów liczono w 1878 r. około 80% analfabetów.

Obszar gruntów gminnych jest znacznym, i powinien by włościanom dostarczać lasu i pastwiska, którego zwykle nie posiadają, témbardziéj że 67,7% wypada na pastwiska, a 20,2% na lasy.

Przy niedbałéj gospodarce przecież wiele pastwisk zamieniło się w nieużytki, a nawet tam, gdzie pozostały jeszcze pastwiskami, są tak złą dla bydła paszą, że 5—6 krów wystarcza zaledwie na pokrycie potrzeb gospodarstwa własnego. Trembowelski wydział powiatowy podaje np. następujący obraz gospodarstwa gminnego na pastwiskach. „W jednéj gminie 200 gospodarzy mają prawo pasania na pastwisku, obejmującém około 50 morgów obszaru. Na wiosnę wypędza się około 400 sztuk bydła i koni, nie licząc nierogacizny, owiec i gęsi. W tydzień trawa znika, pastwisko pustoszeje, a bydło chodzi głodne". Do tych szkód dodać jeszcze trzeba fatalne stosunki moralne wśród dzieci, które pasąc bydło, włóczą się za niém obdarte, głodne i rozpróżniaczone, zawiązując przedwczesne stosunki miłosne. Jest to dla młodych pokoleń wiejskich, fizycznie i moralnie zgubne, bo i do kradzieży na polach i sadach obcych posuwa się niejedno. Nie rzadko zdarzają się również nadużycia na pastwisku, np. pozbawienie doń prawa tych użytkowników, którzy mieszkają zbyt daleko, a żadnego nie otrzymują wzamian odszkodowania.

Nie wiele lepszém jest gospodarstwo lasowe. Drobny pożar lub prowadzona we wsi budowa prowadzi do niszczenia całego lasu, poczém puszcza się bydło, aby dopełniło zniszczenia, a las znika z powierzchni ziemi. W taki sposób gospodarstwo włościańskie pozbawionèm jest niezbędnego dopełnienia, jakie grunta wspólnie używane niezawodnie stanowić by dlań mogły. Dr. Jan Hupka [1]), przyjmując może zbyt wysoką cenę 70 złr. za morgę, oblicza wartość gruntów wspólnie używanych, między któremi są niekiedy pierwszorzędne, na 42 miliony. Dochód od tego kapitału wyżywić by mógł tysiące rodzin włościańskich, a myśl wyprzedania tych gruntów nastręcza się wielu reformatorom. Wśród samych włościan okazał by się zapewne silny opór przeciw takiéj reformie, którą uważaliby za wkroczenie w swe prawa, jakkolwiek fundusze na cele gminy użyte by zostały. Posiadłość gminna tworzy niekiedy znaczne obszary, np. w powiatach Dolina i Tarnobrzeg czwartą część całej posiadłości nietabularnéj, w 42 powiatach politycznych przeszło 10,000 morgów w każdym. Wyjątkowo tylko spotykamy gminy pozbawione wspólnych gruntów. Racyonalne i planowe gospodarstwo na grun-

---

[1]) Gospodarka na gruntach wspólnie używanych. Kraków 1897, s. 30.

tach wspólnych odpowiedniejszém byłoby od podziału, gdyż tę pozostałość wspólnéj własności należy raczéj podtrzymać, a nie niszczyć.

Rozpatrzenie stosunków posiadłości włościańskiéj, pozostawia przygnębiające wrażenie ogólnéj biedy, przewagi gospodarstw karłowatych, braku posiadłości średnich i sproletaryzowania niemal całego stanu. Ale stan ten przedstawia przecież połączenie własności i ciężkiéj pracy, pracy, któréj w żadnym innym kierunku zużytkować nie można. Brak przemysłu i wielkich miast, do którychby odpływała przewyżka ludności wiejskiéj, narzucać przeto musi takie reformy, któreby wśród istniejących stosunków stworzyły dla ludności włościańskiéj możność bytu. Wobec minimalnych rozmiarów posiadłości dawny system kultury czysto rolnéj nie wystarcza, musi tu być zaprowadzoném gospodarstwo wysoce intensywne. W jakim kierunku postępuje dziś kultura rolnicza i jakie są następstwa rozdrobnienia własności, postaramy się wykazać niżéj. Tu zaś stwierdziliśmy bardzo liczną warstwę posiadaczy rolnych, którzy o najkorzystniejszém zużytkowaniu swych zagród myśléć powinni.

III.

Porównywając w pierwszéj części téj pracy produkcyę rolniczą w Galicyi z rolnictwém innych krajów anstryackich, doszliśmy do wniosku, że w pierwszéj stoi ona znacznie niżéj, a co zatém idzie i wartość posiadłości rolnych jest w Galicyi wiele niższą. Rozpatrzywszy rozmiary tych posiadłości i podział powierzchni rolniczéj, zadać sobie musimy pytanie, czy produkcya rolna wzrasta, czy wzrost jéj dotrzymuje kroku powiększaniu się ludności i w jakim rozwój ten postępuje kierunku [1]). Zestawiając następujące po sobie dziesięciolecia 1874/83 i 1884/93, dochodzimy do następujących wniosków:

Przestrzeń zajęta pod uprawę rolną powiększa się, a mianowicie:

W całym kraju wzrosła o	366.666	morgów czyli	5.87%
W Galicyi Zachodniéj o .	98.150	„ „	4.93%
W Galicyi Wschodniéj o .	268.516	„ „	6.32%

---

[1]) Materyału do odpowiedzi dostarczają nam prace prof. Wład. Lubomęzkiego: Postępy produkcyi rolnéj w Galicyi. Ekonomista polski. Lwów 1893 rok oraz Produkcya rolnicza. (Powszechna wystawa krajowa) Kraków 1896 r.

Wzrost był tedy znaczniejszym we wschodniéj, niż w zachodniéj części kraju, co łatwo objaśnić tém, że na zachodzie gospodarka zawsze prowadzoną była intensywniéj, tworzenie nowych posiadłości nie mogło tedy doprowadzić do takiego wzmożenia przestrzeni rolnych, jak na wschodzie, gdzie było więcéj ugorów. Porównywając obszar zajęty przez różne gatunki zbóż, widzimy, że szlachetniejsze: pszenica i żyto rozszerzyły się kosztem mniéj cennych, owsa i jęczmienia, a przestrzenie ugoru się obniżyły.

Ze 100 morgów gruntu wypadało:

	W całéj Galicyi		W Gal. Zachodniéj		W Gal. Wschodniéj	
	w 1874/83	w 1884/93	w 1874/83	w 1884/93	w 1874/83	w 1884/93
Na pszenicę . . .	8.79	11.41	6.77	11.07	9.75	11.56
Żyto	15.55	16.12	15.08	17.09	15.77	15.68
Owies	10.63	9.47	8.77	10.36	11.52	9.05
Jęczmień . . .	18.54	17.89	19.72	20.54	17.98	16.66
Ugory i niewiadome .	19.15	13.55	20.51	8.75	18.44	15.86[1]

Uderzyć nas musi nagłe zmniejszenie się pól stojących ugorem. Zbyt mała część przestrzeni odpoczywających może być jednak zjawiskiem ujemném, o ile nie towarzyszy jéj bardzo silne nawożenie gruntu, któremu nie pozostawia się czasu na odzyskanie utraconych przy uprawie pierwiastków. Za absolutną dokładność cyfr, prof. Lubomęzki nie bierze odpowiedzialności, wyrażają one zatém głównie tendencyę. Wydajność gruntu z morgi nie przedstawia pocieszających objawów. Średnie plony żyta i pszenicy obniżyły się, co wskazuje że uprawiane są i na gruntach niższéj wartości, a mianowicie:

Średni urodzaj z morgi w cetnarach metrycznych:

	Pszenica		Żyto	
	1874/83	1884/93	1874/83	1884/93
W całej Galicyi . .	5.11	4.78	4.19	4.04
W Galicyi Wschodniéj .	5.14	5.10	4.15	4.46
W Galicyi Zachodniéj	5.00	4.07	4.25	3.25

Rozwój kultury rolniczéj postępował tedy w kierunku zależnym bezpośrednio od wzrastającéj ilości posiadaczy ziemi i zmniejszania się obszaru zagrody włościańskiéj. Korzystnym nazwać go nie można. A jednak mamy w Europie przykłady, że wielkie rozdrobnienie własności prowadziło do tak intensywnéj kultury, że

[1]) Wedł. tabl. I, II i III.

całe okolice we Francyi, w Badeńskiém, w Wirtembergii, przemieniały się w ogrody i pola roślin handlowych, a zamożność wzrastała szybko. Aby osiągnąć podobne rezultaty, musiałaby przecież Galicya zmienić system swojéj gospodarki. Uprawa czysto rolnicza staje się prawie niemożliwą przy rozdrobnieniu własności włościańskiéj, témbardziéj że każda posiadłość rozpada się na wielką ilość parcel, które nie dochodzą często do 40 sążni, tak że nawet na mapach katastralnych oznaczyć je trudno [1]). Używanie maszyn rolnych i sztucznych nawozów jest na gruntach włościańskich wykluczone, a uprawa musi intensywnością pracy odpowiednio zużytkowanéj zastąpić proces mechaniczny, w myśl zasady wypowiedzianéj przez Buchenbergera: „W krajach o wysokiém zaludnieniu, gdzie są nizkie płace zarobkowe, a kapitał jest stosunkowo drogim i rzadkim, najwłaściwszą będzie uprawa wymagająca znacznego nakładu pracy. Tam, gdzie przeważa średnia i drobna własność włościańska, któréj brak kapitału obrotowego, rozwój iść musi w tym samym kierunku" [2]).

Tymczasem gospodarstwa włościańskie hołdują w dalszym ciągu tradycyi i sadzą jak dawniéj kartofle i owies, a zbiory ich w Galicyi Wschodniéj, dla któréj posiadamy materyał, niższe są, niż w Galicyi Zachodniéj.

Dla przykładu rozpatrzmy cyfry za rok 1896, dotyczące dwóch głównych gatunków zboża: żyta i pszenicy. Średni urodzaj w dobrach, należących do wielkiéj własności, wynosił na hektarze 16.4 hektolitrów pszenicy i 14.6 żyta. Dla drobnéj własności zbiory stanowiły 14 i 13.1 hektolitrów. Pojedyńcze powiaty wykazują jeszcze większe różnice, tak że sprzęty z hektara w dobrach wielkich o czwartą część przenoszą sprzęt w małéj posiadłości. Przytaczamy tu powiaty, w których różnice były najwyższe, zestawiając ze zbiorami średnie rozmiary posiadłości włościańskiéj z 1897 roku.

Powiaty polityczne	Średnia wielkość posiadłości włościańsk. w morgach	Zbiór pszenicy w hektolitrach: Własność tabularna	Zbiór pszenicy w hektolitrach: Własność włościańska	Zbiór żyta w hektolitrach: Własność tabularna	Zbiór żyta w hektolitrach: Własność włościańska
Brzeżany .	4.6	16.9	13.9	16.9	15.2
Podhajce .	4.9	20.5	14.7	17.8	15.0
Rawa Ruska .	3.6	19.8	15.2	15.5	13.3
Sambor . .	2.8	17.1	13.5	16.4	14.5
Sokal . .	5.3	23.8	20.0	20.4	18.5
Tarnopol. .	3.8	16.0	12.4	14.3	11.6
Dąbrowa. .	3.9	19.2	13.6	16.6	12.6
Zaleszczyki .	3.0	18.8	16.8	17.1	13.8 [3])

[1]) Na mapach kadastralnych Galicyi 1 cal=40 sążniom.

[2]) Buchenberger. Agrarwesen u. Agrarpolitik r. 1892. t. I s. 21.

[3]) Stat. Jahrbuch des K. k. Ackerbauministeriums v. J. 1886 wedł. tabl. IV.

Zestawienie wykazuje, że średnie rozmiary własności włościańskiéj nie mają wpływu na wysokość otrzymanych na niéj plonów. Jest to jeden dowód więcéj, że własność włościańska doszła już wszędzie do ostatecznéj granicy rozdrobnienia, a pozorne różnice zależą raczéj od różnic gruntu w różnych okolicach. Brak umiejętności i kapitału obrotowego skazuje wszędzie gospodarstwa karłowate na mniejszą wydajność, o ile nie zwrócą się do innéj metody gospodarowania, porzucając utarte szlaki czysto rolniczéj produkcyi.

W niezaprzeczonym związku z podziałem własności rolnéj w Galicyi stoi bezwątpienia przechodzenie własności rolnéj, oraz jéj obdłużenie hypoteczne, inne bowiem trudno jest ująć i obliczyć.

Kwestyę przechodzenia własności rozpatrzéć możemy od 1868 r., kiedy zarządzono peryodyczne wykazy zmian w stanie własności i obdłużenia. Zmiany pochodzić mogą z powodu śmierci, sprzedaży dobrowolnéj i przymusowéj. Statystyka niniejsza aż do roku 1892 przedstawiała następujące cyfry:

	Własność tabularna		Własność nietabularna	
	Liczba wypadków	Średnia wartość pojedynczéj	Liczba wypadków	Średnia wartość pojedynczéj
		zmiany	własności	
Z powodu śmierci . .	770	36.418	87.867	385
Sprzedaż przez licytacyę .	238	68.271	5.494	1.630
Sprzedaże dobrowolne . (od r. 1878—1892)	4.637	31.090	363.797	649 [1])

Najwyższą średnią wartość, zarówno wśród własności tabularnéj jak i każdéj innéj, mają dobra sprzedawane przymusowo. Świadczyłoby to, że największe, a zatém i najzasobniejsze posiadłości najwięcéj są obdłużone. Średnia wartość posiadłości włościańskiéj nie dochodzi przecież w żadnym wypadku nawet do 2,000 złr., co nietylko na mały ich obszar, ale i na nizkie dochody wskazuje. Nizka wartość posiadłości włościańskich, występuje jeszcze wyraźniéj, skoro rozpatrzymy licytacye sądowe w ostatnich czterech latach. Podpadło im od 1888 do 1892 r. 2518 posiadłości nietabularnych, z których przeszło trzecia część, to znaczy 887, nie dochodziła nawet kwoty 100 guldenów, a tylko część dziesiąta przenosiła wartość 1000 złr. [2]).

---

[1]) Według Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses. Wiedeń 1893 № 710 i 711 (Tab. IV i II.)

[2]) Tamże s. 257.

Szczegółowszą, a przez to więcéj charakterystyczną statystykę licytacyi sądowych posiadamy za rok 1894. Spowodowały je następujące kwoty dłużne:

Poniżéj 25	złr.	272	licytacye czyli	11%
Od 26 — 50	„	387	„ „	16 „
„ 51 — 100	„	420	„ „	17 „
„ 101 — 500	„	960	„ „	38 „
„ 501 — 1000	„	171	„ „	7 „
Powyżéj 1000	„	130	„ „	5 „

Realności powyżéj 1000 złr., położone były przeważnie po miastach, inne prawie bez wyjątku należały do włościan. Wielka liczba licytacyi, zarówno jak i ciążące na nich sumy charakterystycznemi są dla stosunków chłopskich; przymusowe sprzedaże częściéj się zdarzają we wschodniéj Galicyi, niż w zachodniéj. W r. 1894 zdarzały się licytacye z powodu 5 złr. długu [1]). Cyfry niniejsze są tak wymowne, że zbytecznemi byłyby komentarze, Najdrobniejsza własność obdłużoną jest dziś bez ratunku, a najlepszym tego dowodem przyrost sum na niéj ciążących.

Rozpatrzmy ciężary hypoteczne posiadłości gruntowéj.

Licząc w złr. waluty austryackiéj ciążyło:

	Na własności tabularnej	Na własności nietabularnej
W roku 1868	112.548.485	15.504.546
W roku 1892	179.498.201	75.560.784 [2])

Własność większa jest tedy bardziéj obdłużoną, ale na mniejszéj ciąży mnóstwo długów lichwiarskich, które stanowią prawdziwe nieszczęście wieśniaka galicyjskiego, a są bezpośredniém następstwém jego położenia, jako właściciela posiadłości karłowatéj, skazanego na to, aby z niéj żył wyłącznie [3]).

Rozpatrując, według następujących po sobie lat, wzrost obdłużenia, widzimy wśród własności włościańskiéj nieustanny przyrost ciężarów, które w żadnym z krajów austryackich nie wzrosły tak znacznie jak w Galicyi: Cyfry te są tak charakterystyczne, że nie możemy się powstrzymać od ich przytoczenia.

---

[1]) T. Zajączkowski—Licytacye sądowe posiadłości włościańskich. (Wiad. statystyczne tom XV zeszyt III).

[2]) Beilagen s. 171.

[3]) Porównaj „Studyum dr. L. Caro — O lichwie — 1893 r.

Obdłużenie wzrastało w procentach od 1868 do 1892 r.:

W Austryi Niższej o	64.9%
„ „ Wyższej o	50.2 „
„ Solnogrodzie o .	30.4 „
„ Styryi o . .	21.7 „
„ Karyntyi o . .	11.7 „
„ Krainie o . .	34.7 „
„ Czechach o . .	66.5 „
„ Morawii o . .	56.6 „
Na Szląsku o . .	102.8 „
„ Bukowinie o .	218.6 „
W Galicyi o . .	400.2 „ [1])

Wyłączywszy Bukowinę, wzrost długów jest znaczny we wszystkich tych krajach, w których rozwój przemysłu sprowadzić musiał zmiany także i w gospodarstwie rolném, a zatém na Szlązku, w Czechach, w Austryi Wyższéj i Niższéj i w Morawii. Takiego potwornego wzrostu jak w Galicyi, która przemysłu nie ma, a lud jest w ostatecznéj nędzy, nie wykazuje przecież żaden z krajów.

Kapitalizmu czynnego Galicya nie ma, ale narażoną jest na ujemne oddziaływanie kapitalizmu innych krajów austryackich. Gospodarstwo włościańskie zaś, trzymane w dawnéj ciemnocie, pozostawione samo sobie, produkujące w ten sam sposób rośliny mało wydajne, na coraz mniejszéj przestrzeni, chcąc istniéć, stanąć musiało w ekonomicznéj zależności, która nawet posiadanie należących doń paru morgów, często złudném czyni. Własność tabularna, pomimo licznych zmian jakim podlega, nie powiększyła przecież długów w takiéj mierze jak włościańska. Obdłużenie jéj wzrosło prawie w tym samym stopniu, co w innych krajach Austryi (o 63.3%). Fakt ten uprawnia chyba do sądu, że obywatel galicyjski w porównaniu z większym właścicielem innych krajów Austryi w analogicznem jest położeniu, podczas kiedy włościanin znalazł się wobec nowych warunków nowożytnego państwa i kapitalistycznéj produkcyi nieuzbrojony do walki, która jest dlań syzyfową pracą.

Stosunki kredytowe własności tabularnéj więcéj są uregulowane, niż drobnéj, najlepszym tego dowodem, że zwykły procent hypoteczny pierwszéj wynosi 3½ — 5, drugiéj zaś 4 — 12 i wyżéj nawet.

[1]) Beilagen s. 179.

IV.

Rozpatrując stosunki własności drobnéj w Galicyi, zadajemy sobie mimowoli pytanie, z czego żyją ci *beati possidentes*, jak rozwiązali oni problemat egzystencyi rodziny na posiadłości, która zaledwie przedstawia dach nad głową i pole pod owies i kartofle. Obszar jéj jest wogóle tak mały, iż dziewięć dziesiątych ludności prawie że do proletaryatu rolnego zaliczyć należy.

Stopa życiowa ludności galicyjskiéj na wsi jest téż znaną, jako jedna z najniższych w Europie. Nawet w okolicach Krakowa, gdzie chłop wogóle zamożniejszy, albo w okręgach naftowych, ludność żyje nędznie. Kurne chaty w Krośnieńskiém np., gdzie z powodu kopalni nafty zamożność jest wogóle większa, dadzą się wytłómaczyć zwyczajem, a zwyczaj ten porodziła nędza. Dziś chat bez kominów budować już nie wolno, ale nawet tak minimalne dowody cywilizacyi, jak kominy, nie leżą w dążeniu saméj ludności. To téż istotnie zapytać należy, czy większą jest bieda wśród małorolnéj ludności galicyjskiéj, czy téż raczéj przeważa tu brak potrzeb, który bezwarunkowo jest jéj następstwem i wynikiem zacieśnionych stosunków na drobnéj własności, uniemożliwiających wszelkie zetknięcie się z cywilizacyą i z szerszemi dążeniami. Trudno pogodzić wzrost politycznego uświadomienia wśród włościan galicyjskich z tą ekonomiczną zapleśniałością, z tym brakiem protestu wobec najniższego poziomu życiowego.

I tak np. obliczenia profesora N. Cybulskiego [1]) wykazały, że na jednego mieszkańca w Galicyi wypada rocznie przeszło 459 kilogramów pożywienia roślinnego, co daje zawartość następującą przeciętnie na dzień i na osobę:

82.53	gramy	białka,
509.84	„	węglowodanów,
13.13	„	tłuszczu.

Dodawszy materye białkowe i tłuszcze, spożywane w postaci mleka, jaj, słoniny, oraz mięsa, które stanowią pożywienie wieśniaka, choćby w małych ilościach, otrzymamy pokarm, wystarczający na podtrzymanie sił, nawet człowieka pracującego ciężko. A przecież przygotowanie tego pokarmu i rozkład jego na różne pory roku jest tego rodzaju, że uczony nasz mógł go porównać do odżywiania dzikich z południowéj Afryki. Przedewszystkiém brak, a jednocześnie zapotrzebowanie gotówki są przyczyną, że wieśniak sprzedaje każdy

---

1) „O żywieniu się ludu wiejskiego w Galicyi". Kraków, 1894.

produkt, o ile znajdzie się nań nabywca. Nie używa więc prawie jaj, bo te służą jako moneta wymienna; w bliskości miast pozbawia się mleka, choć wogóle, podczas żniw zwłaszcza, w gospodarstwie włościańskiém wychodzi dużo mleka, a krowinę posiada nawet najbiedniejszy; masło i ser przeznacza się z góry do sprzedaży na targu. Pozbawiona lepszych produktów, kuchnia składa się przeważnie z kapusty i kartofli. Mięsa, według obliczeń prof. Cybulskiego, wypada od 2—20 kg. rocznie na głowę, przeważnie wieprzowiny lub baraniny, gdyż tego dostarcza własne gospodarstwo. Warto zaznaczyć również, że zaledwie 10% ludności używa chleba żytniego, a ubodzy, zwłaszcza w okolicach górskich, pieką placki owsiane i jęczmienne z kartoflami. Licznemi téż są surogaty chleba, do których dodaje się wszystko, co jest w domu, a zatém: kasza, proso, jabłka, gruszki, a nawet kapusta i jagody. Nie rzadkie są skargi, że ludność jada korę i glinę na przednówku, a sól, którą za gotowy grosz kupić trzeba, nie dla każdego jest dostępną. Wobec ustaw o rybołóstwie, ryby nie wchodzą prawie zupełnie do artykułów spożywczych wieśniaka, a zaniedbanie sadów owocowych pozbawia go także owoców.

Nie podajemy dalszych szczegółów co do sposobu żywienia się ludności wiejskiéj, przypuszczając, że dziełko prof. Cybulskiego ogólnie znaném być musi. Warto jednak zwrócić uwagę na jeden przytoczony w nich szczegół, a mianowicie że najubożsi, zależnie od pory roku i zarobków, jadają od 1 do 5 razy na dzień. Odbiega to stanowczo od uregulowanéj egzystencyi wieśniaka posiadacza, a zbliża ich do wyrobników—proletaryuszy, którzy nie mają stałych warunków bytu. Jak oni, zależy olbrzymia większość włościan—posiadaczy od zarobków na gruntach cudzych, pomnaża liczbę wyrobników, a podając grunt i chatę, pracować może za niższą cenę, co jest jedną z przyczyn nizkich zarobków robotników rolnych[1]). Za drugą uważać musimy, wywołaną przez liczny proletaryat rolny, olbrzymią podaż rąk, z czém łączy się jeszcze nizki poziom stopy życiowéj i wynikająca ze złego odżywiania mała wydajność pracy.

Stan płac zarobkowych na wsi w Galicyi niższym jest, niż w którymkolwiek z krajów austryackich. Materyał do poznania i oceny téj tak trudnéj kwestyi podaje nam wzorowo przeprowadzona statystyka płac zarobkowych w rolnictwie, publikacya urzędowa, która o umyślne obniżenie cyfr posądzoną być nie może i raczéj zbyt korzystnie stan istotny przedstawia [2]).

---

[1]) Małorolni wieśniacy, jak nas przekonywa prowadzona obecnie w Krakowie ankieta robotnicza, stanowią groźną konkurencyę dla robotników miejskich.

[2]) Oesterreichische Statistik, Tom XLIV, zesz. I. Wiedeń, 1895 r.

Najkorzystniejszą dla zarobników porą są naturalnie żniwa, trwające przecież zaledwie parę lub kilka tygodni. Szczególniéj na Podolu, gdzie jest zwyczaj t. zw. tłok, zboże w ciągu tygodnia zostaje sprzątnięte.

Najwyższy stan zarobków był w Galicyi zachodniéj podczas żniw 50 — 120 ct., we wschodniéj 36 — 112 ct. dziennie, bez życia. Najniższe zarobki spadały w Galicyi zachodniéj na 35 — 40 ct., w Galicyi wschodniéj na 32—80. Przy innych robotach zarobki były niższe, a mianowicie: 25 — 90 ct. na zachodzie, a 23 — 57 ct. we wschodniéj części kraju. Podane tu cyfry przedstawiają wynagrodzenie zarobników mężczyzn, zestawione według cyfr podanych przez Izby handlowe. Wynagrodzenie kobiet waha się między sumą 20 i 50 ct., a płaca dzieci spada niekiedy do 15, a nawet do 12 ct. dziennie, bez pożywienia. Najniższym płacom zarobkowym odpowiada poniekąd krótki dzień pracy u zarobników, którzy posiadają jednocześnie i własne gospodarstwo. U zarobników lasowych płace wynosiły przy pełnym dniu roboczym: dla mężczyzn 60 ct., dla kobiet 40, a dla robotników młodocianych 25 ct. Wynagrodzenie służby i parobków na ordynaryi jest także bardzo nizkiém, nawet jeżeli obliczymy wynagrodzenie pieniężne i w naturze. Trudno stanowczo orzec, czy płace wyższe płaci posiadłość wielka, drobna, czy średnia. W przeważającéj liczbie wypadków płace roczne stoją u większéj własności wyżéj, jakkolwiek znajdują się tu godne uwagi wyjątki. Np. w okręgu Sokal wynosi płaca:

	Parobka	Dziewki
Na wielkich posiadłościach .	32—40	24—30
Na drobnej własności . . .	40—50	30—40

Zwykłe wynagrodzenie waha się w przeważnéj liczbie wypadków od 30 do 40 złr. rocznie dla parobka, a od 20 do 30 dla dziewczyny. Wynagrodzenie pastucha jest na drobnéj własności niższém, gdyż najczęściéj używają do téj czynności dzieci. Zwyczaj dawania ordynaryi, dla służby dworskiéj względnie najkorzystniejszy, mało ma rozpowszechnienia w Galicyi.

Płace akordowe zdarzają się nader rzadko, ale udział w produkcie surowym jest rozpowszechnioną formą kontraktu przy najmie pracy. Można uważać tę formę, jako bezpośrednie następstwo rozdrobnienia własności rolnéj, któréj posiadacze dopełniają w taki sposób dochody własnego gospodarstwa. W Galicyi wschodniéj robotnicy przy zbiorze siana i potrawu otrzymują $^1/_2$—$^1/_8$ zbiorów. Przy żniwie dział oddawany robotnikom waha się między $^1/_{10}$, a $^1/_{12}$, w za-

mian za co wymaga właściciel wszystkich robót, odnoszących się do zebrania zboża. Rozpowszechnionym jest również specyalnie podolski, zwyczaj oddawania robotnikowi części żniwa, wzamian za wszystkie roboty od siewu, aż do zbioru. Przy t. zw. gospodarstwie połowniczém, właściciel daje tylko grunt, a robotnik wszystko inne, nie wyłączając zasiewu, ani nawozu Zebrane zboże dzieli się po połowie.

Wielka własność w znaczniejszéj mierze niż średnia i drobna używa do pracy wyrobników dziennych. Obliczając według kwot wypłacanych, wypada na 100 złr., płaconych za roboty w gospodarstwie rolném na wielkich dobrach, 40 w Galicyi zachodniéj, a 47 we wschodniéj, podczas kiedy średnia własność płaci wyrobnikom dziennym 36.9 i 42.7 (na 100 złr. wydanych na płace). Gdybyśmy zamiast kwot wypłacanych wzięli pod uwagę liczbę dni pracy, procent byłby prawdopodobnie większym.

Właściwości rolniczego kontraktu w Galicyi zależą w wielu razach od ubóstwa i braku średnich gospodarstw, które zatrudniały by obce siły robocze. Tak np. stosunek przestrzeni rolnéj do liczby ludzi, którzy ją obrabiają, jest wyższym w Galicyi, niż w innych krajach Austryi, pomimo że skarżymy się na małą intensywność pracy naszego robotnika. W Austryi Dolnéj i Górnéj wypada na 1 robotnika 8.5 hektarów, w Solnogrodzie, Styryi, Tyrolu i Vorarlbergu niecałe 6 hektarów, w Galicyi zachodniéj 11.6, a w Galicyi wschodniéj 13.4. Faktycznie stosunek ten będzie jeszcze wyższym, gdy zważymy, że Galicya posiada największy procent gruntów uprawnych. Swiadczy to również, że gospodarka mniéj intensywnie jest prowadzoną, a grunta w niektórych okolicach, np. na Podolu, prawie nie wymagają nawożenia.

Wreszcie porównać trzeba wysokość zarobków w różnych krajach austryackich. Materyał czerpać możemy z danych dostarczonych przez zakłady ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Według nich, zarobki roczne wyrobników rolnych wynosiły przeciętnie w 1890—93 roku złr.:

	Mężczyzn	Kobiet
W Wiedniu	282	218
„ Solnogrodzie	269	214
„ Gracu	209	129
„ Pradze	181	143
„ Bernie	196	143
we Lwowie	95	71

Ponieważ ceny produktów w Galicyi nie są o tyle niższe, co zarobki, dane niniejsze popierają twierdzenie, że Galicya ma naj-

niższą stopę zarobkową ze wszystkich krajów Austryi. Przyczyny, jak się zaznaczyło wyżéj, szukać należy w nizkiéj stopie życiowéj ludności galicyjskiéj, w braku sposobności do pracy, a wreszcie w wielkiéj liczbie pracowników, do których nietylko należy proletaryat rolny bez własności, ale i małorolna ludność włościańska. Zestawiając posiadłości z wysokością zarobków w pojedynczych okręgach, przekonywamy się, że średni ich obszar tu nie oddziaływa. Jest to jeden więcéj dowód, że posiadłość włościańska przemieniła się w karłowatą nie w jakichś specyalnych okręgach, ale w całym kraju doszła do *minimum*, przy którém, jako gospodarstwo rolne egzystować nie może. Płace dzienne wyrobników wiejskich wyższe są jedynie w takich powiatach, w których jest więcéj sposobności do pracy. Za dowód niech służy następujące zestawienie najwyższych płac zarobkowych u mężczyzn (bez pożywienia):

Nazwa powiatu	Średnia wielkość posiadłości włościańskiéj w morgach	Płace dzienne: Na wiosnę i jesień	Przy żniwie	Przez pozost. część roku	UWAGI
		w centach			
Biała	4.16	50	60	40	Na granicy austryackiego i pruskiego państwa.
Krosno	5.02	50	120	40	Przemysł naftowy.
Nowy Targ	6.26	60	60	25	Zakłady kąpielowe.
Okolice Krakowa (z życiem)	2.87	60	100	60	Bliskość miasta.
Żywiec	2.66	90	120	70	Na granicy Węgier i Szlązka.
Brody	3.70	20—50	60—80	24—50	Na granicy rosyjskiéj.

Porównywając Galicyę zachodnią i wschodnią, znajdujemy, że płace zarobkowe są w zachodniéj Galicyi o 10—20% wyższe, co zależy nietylko od wyższego rozwoju gospodarczego, ale i od większéj umiejętności i intensywności pracy, oraz od wyższéj stopy życiowéj wśród ludności wiejskiéj na zachodzie. W wielu wypadkach, w których potrzebna jest bardziéj intensywna praca, robotników sprowadzają z zachodu. Według statystyki galicyjskiego Towarzystwa rolniczego dla wschodniéj Galicyi zachodzą podobne fakta w Sokalu (przy gorzelniach), w Łopatynie na żniwa sprowadzają robotników z okolic górskich, podobnie dzieje się w Sniatynie i Tłumaczu i t. p. Czy gospodarze naprawdę zmuszeni są posługiwać się obcym robotnikiem, pomijając miejscowy element, to kwestya, którą w każdym wypadku należałoby odrębnie rozważyć, prawdopodobnie jednak

przy dobréj woli udałoby się zachęcić ludność miejscową i wychować ją niejako do pracy.

Za bezpośrednie następstwo nizkich płac zarobkowych, braku pracy i fatalnych warunków ekonomicznych, uważać trzeba emigracyę ludności rolnéj. Zjawisko to, o którém tylekroć się już u nas pisało, wypada nam tu tylko w najważniejszych rysach zaznaczyć. Przedewszystkiém, jak stwierdzono tylekroć w rozprawach sejmowych o emigracyi i w debatach towarzystwa geograficznego we Lwowie, emigruje nie ludność całkiem bezrolna, ale posiadacze drobnego przynajmniéj majątku, któryby dostarczył środków na koszta podróży. Przypuszczać również należy, że emigranci wywożą z kraju nietylko zasób pieniędzy, ale i energii, gdyż na czyn, bądź co bądź, tak śmiały, jak wędrówka w odległe kraje, bez znajomości języka, geografii, a często czytania, ani pisma, niedołęgi zdobyć by się nie mogli.

Wśród emigracyi galicyjskiéj wyróżniać trzeba przesiedlną i zarobkową. Pierwsza może być objawem nieuniknionym, a w danych okolicznościach nawet mniéj złym, niż powolne przymieranie z głodu na miejscu, témbardziéj, iż wychodźcy galicyjscy stają się nieraz dzielnymi kolonistami w południowéj Ameryce, a pożądani są jako robotnicy w północnéj. Pomimo to, kraj patrzéć na nią musi, jako na smutną konieczność, któréj wedle sił należy zapobiegać, a raz zrezygnowawszy z jéj powstrzymania, regulować ją wedle możności.

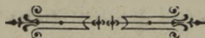
Najwyższe natężenie przybrała emigracya przesiedlna w Galicyi w 1895 i 1896 roku. Kiedy w 1868 r. w sejmie nawet dawały się słyszeć zdania, że emigracya jest zjawiskiem zagraniczném, którego u nas obawiać się nie trzeba, bo włościanin zanadto przywiązanym jest do swéj ziemi, aby ją opuścić, to w 1895 r. statystyka urzędowa zapisywała we wschodniéj Galicyi liczbę 8142 wychodźców. Ponieważ wielu uchodziło potajemnie, cyfrę niniejszą śmiało do 10,000 podnieść można, jak to czynią współczesne sprawozdania „Kuryera Lwowskiego.” Rola agentów w téj gromadnéj wędrówce zbyt jest znaną, aby o niéj mówić raz jeszcze. Warto przecież przypomniéć, że gdy wychodźcom przedstawiano niebezpieczeństwa kroku, na który się ryzykowali, wielu z nich odpowiadało, że nie będzie im przecież gorzéj, niż w Galicyi. Już w 1897 roku liczba emigrantów zmniejsza się do 3,633 osób, emigracya tajemna nie podlega przy tém kontroli, a jest bezwarunkowo bardzo znaczną. Wychodźtwo do Ameryki północnéj trwa już od dłuższego czasu i daje

niezłe rezultaty. Pieniężne przesyłki [1]) i listy wychodźców świadczą, że za oceanem utrzymać się oni mogą, a u krewnych i znajomych budzą chęć sprobowania szczęścia za morzem.

Emigracya zarobkowa, spowodowana brakiem zarobków w kraju, świadczy o budzącym się wśród włościan galicyjskich duchu inicyatywy i żadną miarą za objaw ujemny poczytywaną być nie może. Wieśniacy, zwłaszcza z powiatów nadgranicznych, wychodzą na kilka miesięcy, czasem nawet na dłużéj do Ameryki północnéj, do Niemiec, na Szlązk austryacki, do Węgier, Królestwa Polskiego i Cesarstwa. Celem wychodźtwa jest osiągnięcie wyższego zarobku, aby z zaoszczędzonych pieniędzy bądź to dokupić ziemi, spłacić długi, wspomódz gospodarstwo, albo nareszcie żyć przez zimę. W powiecie bocheńskim zdarzył się wypadek zakupna większych dóbr przez włościan, którzy je pomiędzy siebie rozparcelowali.

Nie posiadając na razie pieniędzy, włościanie złożyli zadatki, poczém udali się na Szlązk dla zarobków. Powróciwszy po kilku miesiącach, spłacali w części lub w całości należne od nich kwoty. Przytoczona wyżéj statystyka najwyższych płac zarobkowych w powiatach pogranicznych, z których ułatwioném jest wychodźtwo zarobkowe, stanowi również dowód korzystnego oddziaływania tegoż na stosunki ekonomiczne okolicy. Po za tém wędrówki wpłynąć muszą na wyrobienie energii, przedsiębiorczości, rozszerzyć widnokrąg myśli i zbogacić nowemi doświadczeniami. I tu przecież wybucha niekiedy epidemia, którą wpływowi agentów korzystających z niezadowolenia ludności przypisać należy. W 1892 roku np. wywędrowało z południa i północy Podola galicyjskiego 6,111 osób do Rosyi, a z nich tylko 3.283 powróciło do kraju[2]).

Dr. Zofia Golińska.



---

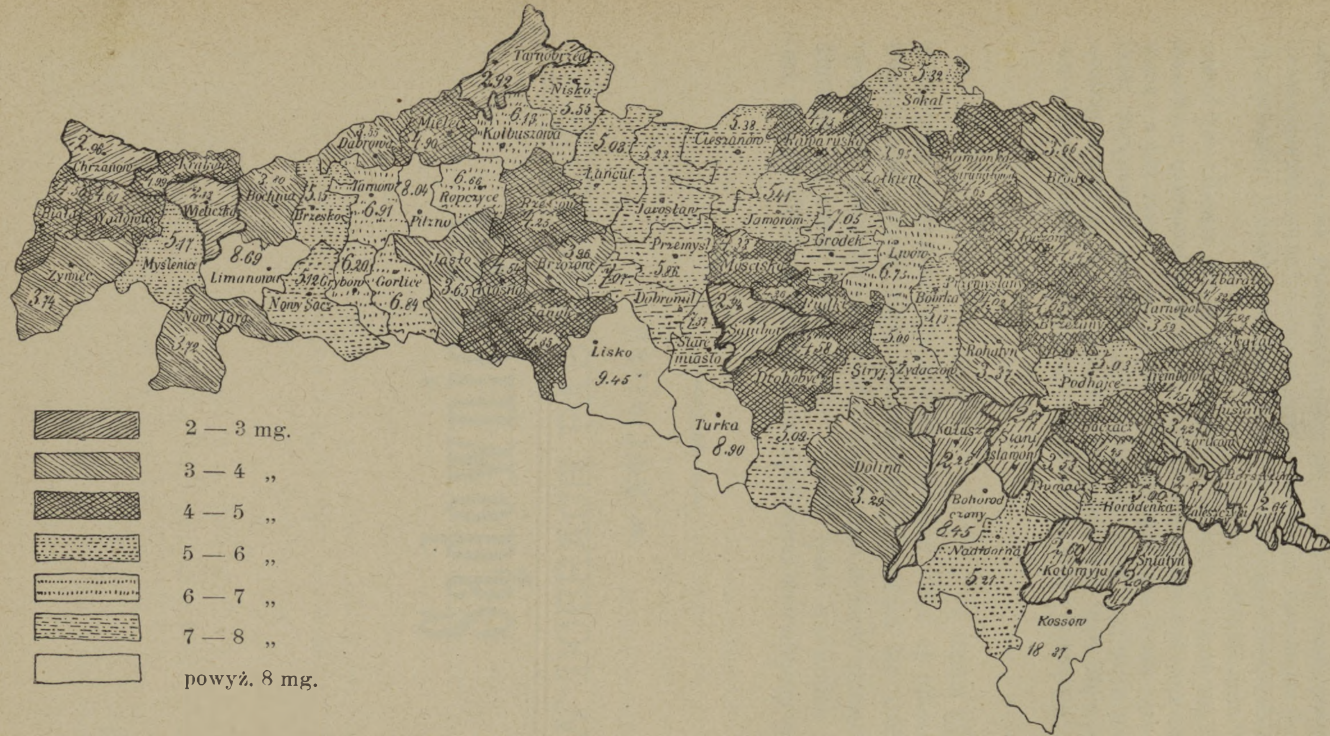
[1]) Statystyka pocztowa wykazuje, że w r. 1894, nie licząc przesyłek za pośrednictwem banków w Pradze, Wiedniu, Budapeszcie, wysłano z Ameryki północnéj do Galicyi 43,365 przesyłek pocztowych na sumę 2,656,983 złr., prawdopodobnie, że przesyłki te pochodzą od emigrantów. (Alegaty do rozpraw sejmowych).

[2]) T. Pilat. „Wychodźtwo z powiatów podolskich do Rosyi w 1892 roku," Kraków, 1893 r.

Średni obszar własności włościańskiej w Galicyi w morgach, według powiatów politycznych. Rok 1897.

2 — 3 mg
3 — 4 „
4 — 5 „
5 — 6 „
6 — 7 „
7 — 8 „
powyż. 8 mg.

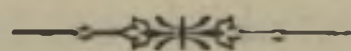
Sredni obszar własności włościanskiej w Galicyi w morgach, według powiatów politycznych. Rok 1883.



Sądownictwo

W DOBRACH PABIANICKICH

w XVI wieku.



Nie dostaje nam materyału na skreślenie pełnego obrazu stosunków sądowych owéj epoki. Jeżeli przeto zrzec się musimy odwzorowania całokształtu ustroju i postępowania władz sądzących, postarajmy się przynajmniej uchwycić kilka rysów sądownictwa miejscowego do czego posłużą nam szczęśliwym trafem dochowane akta XVI wieku [1]).

[1]) Wiadomość o tych aktach podał ks. Polkowski w „Sprawozdaniu o drugim dziale ksiąg arch. Kap. Krak. — Kraków 1885, str. 9". (Odbitka z Rozpraw i Sprawozd. Akad. Um., Wydz. hist.-filoz.): „W archiwum pabianickiém, mówi ks. Polkowski, między ciekawemi księgami znajdują się ......akta sądów z końca XVI wieku, które przy wizycie dóbr sprawowali dla swych poddanych delegowani kapituły. Nie wielki ten volumen, bo tylko z ośmiu złożony arkuszy, cały pisany po polsku, mam odpisany dosłownie".

Korzystaliśmy właśnie z kopii z owego odpisu sporządzonej. Nadto ułożyliśmy poniżéj umieszczony wykaz tabelaryczny 66 osądzonych lub wzmiankowanych w tych aktach spraw; w rozbiorze zaś naszym powołujemy się na numery tego wykazu.

Wymiar sprawiedliwości w obrębie dóbr pabianickich, jak widać z naszego zabytku, należał do kilku magistratur. Lecz o nich akta wzmiankują tylko przygodnie, głównie zaś dotyczą instancyi apelacyjnéj, sądu lustratorów delegowanych od kapituły krakowskiéj, dziedziczki dóbr pabianickich. Spisane bowiem zostały na kadencyi sądów lustratorskich 1593 r. [1]).

Ówczesna więc organizacya instytucyj sądowych, o ile z krótkich wzmianek wyrozumiéć można, przedstawia się w nastepującym kształcie:

1) „Ławica" czyli sąd wójta i ławników zwanych „przysiężnikami", stanowił właściwy urząd wiejski. Nie wiadoma nam jest liczba ławników, składających ciało sądowe w każdéj wsi z osobna; było ich może tylu co i w urzędzie wójtowskim miasta Rzgowa, to jest pięciu, a do sądzenia spraw niezawodnie wystarczało dwóch, nie licząc wójta. Sądziła ławica „według starożytnego zwyczaju wiecowego" (21), a jurysdykcyi jéj podlegały, o ile się zdaje, sprawy wyłącznie natury karnéj od lekkich przewinień do najcięższych przestępstw. Posiadała prawo miecza: „z rozsądku" ławicy kmieć niekiedy gardło dać musiał.

Sąd wójta i ławników, jak wiadomo, był wytworem prawa niemieckiego, które począwszy od XIII wieku jęło się szerzyć po kraju. I w dobrach pabianickich osadzono kilka nowych wsi na prawie niemieckiém, lub téż urządzenia jego wprowadzono do osad rządzących się prawem polskiém [2]).

W końcu jednak XVI wieku, zatarły się już były różnice pomiędzy wsiami założonemi na prawie polskiém a niemieckiém: w jednych jak i drugich sprawy sądzą się zarówno przez wójta i ławników jak i sądem starościńskim, o którym niżéj.

W jednym wypadku akta nasze wspominają o wyroku „gromady" (23), mianowicie w sprawie o kradzież. Czy sąd gromady

---

[1]) Visitatio et lustratio bonorum Pabianicensium ex Commissione Venerabilis Capituli Ecclesiae Catedralis Cracoviensis Per Reverendos Dominos Martinum Izdbienski de Ruszecz Scholasticum Cracoviensem, Petrum Gwiazdowsky et Vincentium Romisewsky, Canonics Cracovienses Anno Domini Millesimo Quingentesimo Nonagesimo Tertio. Die 27, Octobris.

[2]) Z lib. benef. Długosza wiemy, iż korzystały z prawa niemieckiego, oprócz miast Pabianic i Rzgowa, następujące osady: Czyżemin, Rypułtowice, Chocianowice, Gadka, Wiskitno, Rakowska Wola, Warzyn i Kalno, czyli 8 na ogólną liczbę 29 wsi dóbr Pabianickich.

Cieszyły się też niemieckiem prawem powstałe poźniej osady Mierzączka, Łaziska, Leszczyny, Giemzow, Kotowa Wola, Krasow, Majówka i Wola Żytowska.

uważać należy za identyczny z ławicą trudno na pewno orzec; prawdopodebnie obiema nazwami określano jedną i tą samą instytucyę.

2) Odmianą sądu wójtowskiego były wiece. Przez wiec rozumieć należy tenże urząd wiejski, sprawujący sądy w obecności tenutaryusza dóbr lub téż administratora z ramienia kapituły ustanowionego. Zagajane przez przedstawiciela dziedzica włości posiedzenia nadawały sądowi większą uroczystość w porównaniu ze zwykłą ławicą. Komplet sądzący nazywał się wówczas „ławicą na sądzie wieca siedzącą" (42). Pod rozpatrzenie wieca szły prawdopodobnie sprawy tejże natury co i pod zwykły sąd wójtowski.

Urząd wiejski był instytucyą funkcyonującą stale, lub téż gromadził się w miarę potrzeby; natomiast wiece, jako wymagające asystencyi tenutaryusza, musiały się odbywać w terminach ściśle określonych. Brak danych na to, jak często odprawiały się wiece w XVI wieku. Mamy atoli w tym względzie pewne wiadomości z czasów bezpośrednio stykających się z badaną epoką, z których odnośne czerpać możemy wskazówki. I tak w XV wieku tenutaryusz obowiązany był przynajmniej cztery razy do roku odprawiać sądy i za każdym razem winien minimalnie przez ciąg dwóch tygodni [1]. W połowie XVII wieku kapituła w kontrakcie z tenutaryuszem (1653 r.) waruje sobie: „wiece jedne w każdym roku według zwyczaju odprawić, wszakże ma dopuszczać apellacyi stronie, którąby się do tego brała wedle dawnego zwyczaju, bądź to kapituły Ich Mciów, bądź to do wizytatorów, którym takowe apelacye posądzać zlecają" [2]. Wypadałoby stąd, iż liczba wieców w ciągu XVI wieku, zmniejszyła się z czterech do jednego. Ławicy i wiecom stopniowo ubywały sprawy na rzecz innego urzędu sądowo-administracyjnego, równocześnie funkcyonującego.

3) Był nim urząd starosty pabianickiego, pierwszego oficyalisty kapitulnego. Reprezentował starosta inny pierwiastek—władzę patrymonialną. W imieniu dworu odprawiał sądy na zamku pabianickim. Kadencye odbywały się w różnym czasie, skąd dwojaka ich nazwa, raz „poroczki" to znów „powiatki". Pierwsza, powiedzmy nawiasem, przypomina roczki sądowe królewskich starostów grodowych i sądów ziemskich. Jurysdykcya starościńska rozciągała się na wszelkie sprawy, bądź natury cywilnéj, bądź karnéj. Nie umielibyśmy jednak powiedzieć, jakie sprawy należały do starosty a jakie do ławicy i wieca; bodaj że nawet w téj mierze ścisłego podziału nie było. Ławicę uważać należy poniekąd za pierwotny ro-

---

[1] Acta actorum kap. krak., II, f. 31.
[2] Akt luźny w arch. kap. krak.

dzimy sąd samorządu ludowego zespolony niezawodnie z śladami dawnego sądownictwa opolowego; starosta natomiast zaczął sprawować sądy w czasie stosunkowo późniejszym i coraz większą zyskiwał przewagę, co oczywiście uważaném było przez ludność za uszczerbek czyniony jéj prawom. Ścierały się więc jurysdykcyi ławicy i wieców z jednéj i starościńska z drugiéj strony. Była to walka dwóch pierwiastków: autonomicznego, ludowego i patrymonialnego, dziedzica włości czyli raczéj czasowego jéj posesora-tenutaryusza. Echa téj walki odbijały się w skargach podawanych do kapituły, w których kmiecie dóbr pabianickich utyskują, że coraz bardziéj wchodzi w zwyczaj wymierzanie kar mimo wiec [1]). I jakkolwiek kapituła zakazywała uszczuplenia sądownictwa ludowego, wątpimy, aby owe zakazy mogły miéć skutek, duch bowiem czasu szedł w kierunku ujemnym dla ludu rolniczego, popadającego w coraz większą zależność od dziedzica pod względem ekonomicznym i administracyjno sądowym.

4) W miastach (Pabianice, Rzgów) urzędy burmistrrowskie i wójtowskie roztrząsały sprawy mieszczan. Znamy skład tych magistratur w Rzgowio w r. 1584: urząd burmistrzowski, złożon był z burmistrza i „rady” w osobach czterech „radzkich”; zaś urząd wójtowski z wójta i „ławicy” w osobach pięciu ławników [2]). Kompetencya ich nie jest nam wiadomą. W drodze szczególnéj łaski kapituła uwalniała pojedyńczych obywateli z pod jurysdykcyi „burmistrza, radnych i wójta” z poddaniem wyłącznemu sądowi, „naszemu, to jest naszego starosty lub podstarościego”, jak np. w 1571 r. niejakiego Wawrzyńca Lorka, murarza wraz z żoną w nagrodę za wystawienie domu murowanego we dworze pabianickim [3]).

5) Kanonicy - lustratorowie, wizytując dobra, rozstrzygali wszelkie sprawy mieszkańców, wsi czy miasta, bądź w pierwszéj i zarazem ostatniéj instancyi, bądź „per apellationem od urzędu starosty pabiańskiego” (56). Często nie rozpatrywali sami wytoczonych przed nimi spraw, zlecając natomiast staroście by „rozsądek uczynił”, lub zostawiając stronom, jeśli to byli mieszczanie, „aby się przed urzędem miejskim prawem rozparli”. Z tytułu zwierzchnictwa dominialnego ulegały również osądzeniu lustratorów, skargi przeciwko oficyalistom i urzędom w dobrach funkcyonującym. Jakoż fero-

---

[1]) X. T. Lubomirski, Rolnicza ludność w Polsce, Warszawa, 1862, str. 25,

[2]) Wszyscy z imienia i nazwiska podpisani na prośbie m. Rzgowa do kapituły krakowskiéj o skup dziesięciny. Luźny dokument w arch. kap. krak.

[3]) Lib. Arch. V № 52 w arch. kap, krak.

wali oni wyroki przeciwko urzędowi burmistrzowskiemu, który przed ich forum pozywano (44, 45, 63—67).

Zjechawszy do dóbr pabianickich, przyjmowali lustratorowie z suplikami i skargami kolejno w miastach kapitulnych i w kilku wsiach, dokąd ściągali mieszkańcy sąsiednich osad. Pobyt lustratorów, przyjmowanie petentów i sądzenie spraw zajmowały sporo czasu; tak w 1593 r., czynności zaczęły się w dniu 27 października, a ukończone zostały w dniu 12 listopada, trwały więc przeszło dwa tygodnie. Niemniéj znacznego wpływu, na ogólny bieg spraw mieć nie mogli z powodu rzadkości rewizyj, które odbywały się zaledwie raz na trzy lata.

Lustratorowie wyrokowali, kierując się zasadami słuszności lub „do prawa pospolitego się przychylając" (6). Dekreta ich zapisywano do akt. Zapadłe w jednéj sprawie służyły często za normę i w innych identycznych wypadkach, co odznaczano przez notatkę, że daną „winę Ich Mość i na potomne czasy ustanowić raczyli". Tworzyła się w ten sposób pewnego rodzaju jurysprudencya. Właściwém jednak źródłem prawa był zwyczaj, którym kierowano się zarówno w zwykłym sądzie ławicy, jak na wiecach lub w sądzie starościńskim.

6) Droga apelacyi od postanowień i wyroków wszelkich urzędów wprost do Krakowa do grona kapitulnego, jako ostatniéj i najwyższéj instancyi, stała otworem każdemu mieniącemu się być pokrzywdzonym; w rzeczywistości atoli nader rzadko korzystała z niéj jednostka; potykamy tylko petycye zbiorowe gromad wiejskich lub pospólstwa miejskiego, i to w kwestyach raczéj ekonomicznego aniżeli sądowego charakteru.

Uczyniona wyżéj uwaga, o rządzeniu się zwyczajem, dotyczy nie tylko prawa materyalnego, lecz odnosi się zarówno do postępowania sądowego. We wszystkich instytucyach, począwszy od ławicy a kończąc na sądzie lustratorów, forma oskarżenia, procedura dowodowa, a w szczególności stosowanie przysięgi oraz system kar zdają się być jedne i te same tak w procesie karnym jak i w materyi cywilnéj. Poniższy przeto wykład form sądowych stosuje się do wszelkich władz, jakie w XVI wieku wymierzały sprawiedliwość w dobrach pabianickich.

Nim przystąpimy do rozpatrzenia procedury i różnych stopni kar, zwrócić należy uwagę na przedsiębrane podówczas środki ochronne, zapobiegające popełnianiu przestępstw czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, na przepisy policyi bezpieczeństwa, które zwykły były stosować pomienione przez nas władze sądowe. „Założyć

zakład" lub „winę założyć" — oto środek w tym celu używany. Zasadzał się na następującém postępowaniu. Gdy dochodziło do wiadomości władzy, że mieszkaniec włości żywi urazę względem drugiego, odgrażając się czyli jak mawiano „odpowiadając" a nawet „na gardło odpowiadając", wówczas zapowiadano iż, gdyby czyniący pogróżki skrzywdził na zdrowiu przeciwnika, zapłacić ma na rzecz dworu „założoną" winę w ilości tylu a tylu grzywien. Wina ta, zależąc od uznania nakładającego, wynosiła 10, 40 a nawet 60 grzywien [1]). Rzadziéj w takich wypadkach żądano poręczenia dwóch kmieci lub mieszczan „za pokój na czasy potomne" (42).

W dokonanych przestępstwach i drobniejszych wykroczeniach, pociągano do odpowiedzialności z oskarżenia bądź osoby poszkodowanéj, bądź z urzędu wskutek „powiedzenia" przysiężników lub gromady. Oskarżono, a jak mawiano, wonczas „dawano winę" przed danym urzędem, i o ile oskarżony znajdował się na miejscu, sprawę roztrzygano niezwłocznie.

Niestawiennictwo na wezwanie przysiężników, groziło skazaniem na winę (40). Wraz z odłożeniem sprawy z jakichkolwiek powodów żądano rękojmi czyli „obręczenia się" (4). Rękojmię dawało zwykle dwóch gospodarzy na to, iż podsądny „dostanie prawu", t. j. stanie na termin (20). Bywały jednak wypadki, że nikt ręczyć nie chciał, gromada w ten sposób „odstępowała" podejrzanego o przestępstwo, którego wówczas wtrącano do więzienia (33).

Jeżeli oskarżony do winy „się nie znał", a nie było dostatecznych dowodów przestępstwa, natenczas nakazywano przysięgę z oznaczeniem terminu jéj wykonania. W jednych sprawach kontentowano się przysięgą oczyszczającą samego tylko oskarżonego, w innych znowuż żądano od podsądnego, „aby samotrzéć z ludźmi dobrymi wiarogodnymi przysięgą cielesną się odwiódł" (5). W sprawach cywilnych przysięga témbardziéj miała zastosowanie i wówczas bywało, iż żądano wykonania jéj „samosiódm" (61). Kto przysięgi nie wykonał osobiście lub nie znalazł nakazanéj ilości przyjaciół, którzyby się zgodzili na odprzysięganie się wraz z nim, tego wina uważała się za dowiedzioną.

Dla określenia winy uciekano się czasami do orzeczenia biegłych. Tak np. w sprawie o złamanie ręki (5): „którą to chromotę Ich Mość tak balwierzowi swemu jako téż i inszym ludziom i białym głowom dobrze się na tém znającym oglądać to kazali".

---

[1]) Por. nasz artykuł: O odpowiedzi, w Ateneum, 1897, styczeń.

Rozmaite były stopnie kary. Karano „na gardle" za kazirodztwo (13), cudzołóstwo (15), czasami nawet za kradzież (22). Kara śmierci zamieniała się zazwyczaj na odpowiedzi okup pieniężny; wówczas wyrok głosił wprost „gardła karanie lub gardła odkupienie" (13, 15).

Za lżejsze przewinienia karano pieniężnie, zwykle trzema grzywnami, co zwano także „winą pańską"; snać kara szła do skarbca panów włości to jest kapituły [1]). Czasami za kradzież skazywano na winę jednéj beczki piwa, która w miastach szła na rzecz cechu (23, 34).

Osobny rodzaj przewinień stanowiło niezachowanie przepisów kościoła. Spisywano poddanych, którzy się nie spowiadali i tych którzy w kościele nie bywali. Nieumiejących pacierzy i przykazania bożego karał starosta „na powiatkach" winą kamienia lub wrębu wosku [2]), „podług starożytnéj konstytucyi na rzecz kościoła pabianickiego [3]).

---

[1]) Jeszcze w XV wieku dochód z kar należał do tenutaryusza. Widzimy bowiem, jak kapituła zastrzegała sobie w kontraktach, ażeby tenutaryusz łagodnie ściągał kary (Acta act., II, 31, r. 1467); lecz wkrótce potém kapituła zachowuje wpływy z tego źródła dla siebie (Acta act. II, 114, r. 1476), ochraniając tym sposobem ludność od możliwej niesprawiedliwości ze strony bardziéj chciwych tenutaryuszów.

Kontrakt dzierżawny 1653 roku wyraźnie omawia kary, na które tenutaryusz skazywać ma winnych, „gdy wiece sądzić będzie". Kary te iść mają na korzyść kapituły a nie tenutaryusza. Za niektóre przestępstwa odkup nie może być brany „dla trudności prawnych, które są in statuto regni o złodziejach". Excypuje się więc „złodzieja ryb, stawów i sadzawek, zboża na polu i z gumien także, z komór, spichlerzów folwarcznych etc.", których tenutaryusz karać ma „tak jak który zasłuży wedle prawa". W tymże kontrakcie mowa jest o jakowejś specyalnéj karze zwanéj „bykowém". „Winę także którą *communi vocabulo* zowią „Bykowe", nakazać wybierać według dekretów Ich Mciów Panów Rewizorów." Kara cielesna dozwolona, lecz zabrania się tortur: „Nie ma też uciskać poddanych, angarować kaźnią y karaniem niezwyczajnem karać, ale nieposłusznego *ad officium* przywodząc, biczem albo postronkiem obyczajnie skarać może". (Luźny akt w arch. kap. krak.)

[2]) „Ale iż kamienia niepotrzeba, tedy żeby każdy z nich, któryżby się kolwiek takim pokazał, wrąb wosku dał do kościoła pabiańskiego podług starożytnej konstytucyi, do której się Ich Mość przychylić raczyli". (Lustr. 1593 r.).

[3]) Przywilej królewski 1602 roku, nadał miastu Pabianicom, a właściwie urzędowi miejskiemu, prawo nakładania kar na nieuczęszczających do kościoła w dnie niedzielne i świąteczne, jak również karania zbytku i nałożnictwa. (Przywilej oryginalny w cechu piwowarskim w Pabianicach).

Do tejże kategoryi spraw, zaliczyć również wypada, wykroczenia przeciwko czystości obyczajów, dobréj sławie, wreszcie wszelkie sprawy sumienia. Spisywano więc i skazywano na zapłacenie winy, nierządnice które się dopuściły" [1]). A gdy w któréj osadzie obyczaje nie szwankowały, wnoszono do opisu, że „w téj wsi nie pokazało się nic na rugu między gromadą". Bywają i procesy o czary (19, 20).

W jednym wypadku (16) widzimy karę wygnania, czyli „odkazania ode wsi", mianowicie za cudzołóstwo i pojęcie żony w powinowactwie. Wyrok ten starościński potwierdzili lustratorowie z naznaczeniem winy trzech grzywien na gospodarza, któryby się ważył przyjmować „odkazanego" do swego domu. W inném miejscu mowa jest o „wyświeconéj" z sąsiedniéj niekapitulnéj wsi białogłowie, za przechowanie któréj kmieć w Kurowicach skazany został na winę dwóch złotych.

Ciekawém było postępowanie w sprawach o obelgi czynne. Zobowiązywano wtedy strony do pogodzenia się pod karą trzech grzywien (7, 9), lubo zdarzało się także, iż skazywano oskarżonego na zapłacenie odszkodowania (8).

Dziwną wydaje się okoliczność, że w aktach 1593 r., niemasz wypadków skazywania na karę wieży; raz tylko wspomina się o uwięzieniu złodzieja, którego gromada odstąpiła, a więc wypadek wtrącenia jakby do więzienia śledczego (33).

A było wszak w Pabianicach więzienie dla przestępców. Zbudowane według świadectwa lustracyi 1531 r. (Arch. kap. krak.), jako „najlepszéj roboty taras", dachówką kryty i podzielony na dwa oddziały, górny i dolny, ażeby, jak mówi taż lustracya, każde przestępstwo lub przewinienie znalazło karę sprawiedliwą [2]).

O karze cielesnéj akta 1593 r. nic nie wspominają.

Władza wykonawcza spoczywała w ręku podstarościego i na dowód odbycia kary „wywodzono się kartką" od tego urzędnika. Urząd miejski do wykonania swoich wyroków używał woźnego, którego obowiązkiem było „uskromić" skazanego (64).

---

[1]) Lustracya 1592 r. wylicza takich ujawnionych wypadków 55, co niezbyt dobrze świadczy o czystości obyczajów ówczesnych mieszkańców włości pabianickiéj.

[2]) Rewizya 1677 roku (Achiw. kap. krak.), wspomina o „klozie do sadzania nieposłusznych". Również lustracya 1737 r. (Rękop. w posiadaniu piszącego) opisuje „taras alias więzienie" w Pabianicach z podziałem na więzienie „zwierzchnie i spodnie".

W materyi cywilnéj opierano się, bądź na dowodach piśmiennych jako to na „zapisach" (56), i „ugodach" (62), bądź na zeznaniu świadków lub całéj gromady, wreszcie, o czém już wyżéj wspomniano, za dowód zupełny uważana była przysięga oczyszczająca.

Starano się wedle możności załatwiać spory drogą ugody. W sprawie np. o działy (54), wyznaczają lustratorowie po dwóch przysiężników dla każdéj strony, nakazując zgłoszenie się do sądu wtedy dopiéro, gdyby na dobrowolne działy zgoda nie nastąpiła. W innéj sprawie (49) „wysadzono ludzi między stronami". Ludzi takich nazywano pospolicie „jednaczami", a ugodę za ich pośrednictwem zdziałaną spisywano, o ile to się działo między mieszczanami, do ksiąg miejskich, z których urząd burmistrzowski wydawał wypisy pod swoją pieczęcią (62).

Przedmiot sporu zasądzano wprost lub „wedle wynalazku ludzkiego", t. j. podług orzeczenia biegłych.

Sposoby wykonania wyroków cywilnych, niestety, nie są nam wiadome.

Co się tyczy kosztów sądowych, wiemy, iż wójt pobierał osobną zapłatę za wymiar sprawiedliwości. W 1550 r., mieszczanie pabianiccy skarżyli się przed lustratorami na wójta, iż za każdy pozew do sądu pobiéra $^1/_2$ grosza. Lustratorowie postanowili, ażeby w sprawach dotąd wytoczonych płacono po ternarze, ($^1/_6$ gr.), zaś na przyszłość po jednym solidzie ($^1/_3$ gr.) Ze swéj strony mieszczanie rzgowscy utyskiwali, że rok rocznie zmuszani są do uczęszczania na wiece odprawiane we dworze lub na folwarku rzgowskim, i że dawać muszą urzędnikom *(factoribus)* jednę grzywnę ze skrzynki miejskiéj i dwie beczki piwa [1]).

Istniała oddawna powinność żywienia przedstawiciela kapituły, sprawującego sądy na wiecach, — powinność oparta na przepisie prawa niemieckiego. Pierwotnie podejmowano przygotowaniami w naturze czyli wprost gotowano dania, obiady; w następstwie powinność naturalna zamieniła się na opłatę pieniężną pod nazwą „obiedne"; ta za czasów Długosza (lib. benef.) była oddawana wyłącznie przez wsie założone na prawie niemieckiém i wynosiła od całej osady 24 lub 12 groszy, a od wójta 12, 6, lub tylko 4 grosze. Z lustracyi 151. r. (arch. kap. krak.), dowiadujemy się, iż we wsi Czyżemin, obowiązek podejmowania przedstawiciela kapitulnego,

---

[1]) Se cogi ad audienda judicia alias na wiecze. — Lustr. 1550 w arch. kap. krak.

dzielił się w następującym stosunku: dwa obiady kmiecie a wójt jeden; o ile zaś nie dają w naturze, płacą w miejsce obiadu po groszy 12. Prawdopodobnie ten sam stosunek zachowany był w całych dobrach pabianickich.

W XVI wieku spotykamy oprócz obiednego, stałą daninę owsa pod nazwą „wiecnego". Składał ją każdy kmieć w ilości jednego korca z łanu [1]).

O wpływach z kar na rzecz dworu mówiliśmy wyżej, rozpatrując formy sądownictwa karnego.

Zamykamy nasz rozbiór uwagą o zewnętrznych, że się tak wyrazimy, stosunkach sądowych. Spory kapituły, jako dziedziczki włości pabianickiéj, bądź o granicę, bądź jakiejkolwiek innéj natury, roztrzygały się, rzecz prosta, przed ogólnymi sądami krajowymi. W 1521 r tenutaryusz dóbr przedstawił kapitule potrzebę stałego pełnomocnika, „procurator seu sindicus", dla prowadzenia spraw w sądzie ziemskim, Kapituła przychyliła się do żądania i zamianowanego niezadługo przedtém w Krakowie prokuratora przeniosła do Pabianic z pensyą roczną 10 grzywien [2]). Niewiadomo jak długo istniał ten specyalny prokurator pabianicki.

---

[1]) Vieczne per unum chorum avenae (lustracya 1531 r.) — O owsie wiecznym po jednym korcu (coretus) dużej miary z łanu wspomina przywilej lokacyjny wsi Krasnymodrzew (lib. arch. V, № 48 w arch. kap. krak.)

[2]) Acta actor kap. krak., II f. 352.

WYKAZ SPRAW.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
1.	Zabójstwo.	?		„Za dwie niedziele ma przysiądz jako nie dał przyczyny do ubicia Jana Okrojka, którego ubili chłopy z Chojen w Lutomiersku.		Łaskowice.
2.	Zabójstwo.	Lustratorowie „zlecają“ sprawę staroście.				Gadka.
3.	Zabójstwo.	Lustratorowie.	Oskarżonego „wolnym uczynić i wieczne milczenie nakazać raczyli.“		„Aż pewném świadectwem i ludźmi dobrymi wiarygodnymi niewinnym się być pokazał“.	Slądkowice.
4.	Zadawanie ran śmiertelnych.	Lustratorowie.		Aż do usprawiedliwienia się dać ma rękojmię czyli „obręczyć się“; (dwóch kmieci ręczyło za oskarżonym).	„A iż stanąwszy niewinnym się być powiedział“.	Rypułtowice.
5.	Zadawanie ran ciężkich (złamanie ręki).	Lustratorowie.		„Aby w pierwszy piątek po przewodniéj niedzieli samotrzeć z ludźmi dobrymi wiarogodnymi przysięgą cielesną się odwiódł; jako nie przezeń ani z jego przyczyney ta ręka u tego dziewczęcia jest złamana“.		Rzgów.
	W tejże sprawie.	„Urząd przy bytności“ lustratorów.	„Winy groszy 40“		„A iż się zna do tego, że tam niekiedy to dziewczę szarpał“.	
6.	Poranienie i pobicie.	„Urząd burmistrzowski“		„Ażeby rany poprzysiągł“.		Rzgów.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
	W tejże sprawie.	Lustratorowie.		„Do prawa pospolitego się przychylając, poprzysiądz rany za dwie niedzieli nakazać raczyli“.	„A iż dla niejakichszy błędów przysięgi nie uczynił“.	
7.	Pobicie	Lustratorowie.		Ażeby się w ciągu trzech dni pogodzili pod winą trzech grzywien.		Warzyn.
8.	Pobićie	Lustratorowie.	W ciągu dwóch tygodni zapłacić ma poszkodowany trzy wiardunki.		„A to względem tego, iż już winy dać nie będzie powinien“.	Rzgów.
9.	Wzajemne pobicie.	?		Zjednać się mają w ciągu dwóch tygodni pod winą trzech grzywien.		Orsk.
10. 11. 12,	Pobicie (w jednym wypadku ojca przez syna.	Lustratorowie „zlecają“ staroście do osądzenia „Ławica“.				Kalenko Gadka, Wola Zaradzyńska.
13.	Kazirodztwo.		„Na gardle karanie albo gardła odkupienie“.		„Że się z powinną dopuścił“.	Karpin.
14.	Kazirodztwo. (w blizkim powinowactwie“).	Lustratorowie„staroście do poroczków zlecili“.				Rokicie.
15.	Cudzołóstwo.	?	„Karanie na gardle albo odkup gardła“.		„Że się dopuściła z żonatym chłopem“.	Wola Rakowska.
16	Cudzołóstwo i pojęcie żony w powinowactwie.	Starosta.	„Ode wsi odkazał“.			Dobroń.
	W tejże sprawie.	Lustratorowie.	To „odkazanie“ potwierdzili, „a ktoby go w domu na potém przechowywał trzema grzywien winy ma być karan“.			

17.	Nieobyczajne pożycie.	?	Skazana na zapłacenie „winy“.		„Iż częstokroć swawolnie żyjąc na świecie na dziatki się zdobywała“.	Wiskitno.
18.	Nieobyczajne pożycie (parobka z kucharką w młynie).	?	„Zapowiedziano im myto u młynarza“.		Iż „dopuścili się dziecięcia“.	Świątniki.
19.	Czary.	Lustratorowie staroście zlecili.			Że „wołająca na wiecu nie stanęła“.	Bychlew.
20.	Czary (w oborze mleko stanęło na dłoń nad garncem).	Lustratorowie staroście zlecili.		„A iż ma dostać prawu“ mąż oskarżonéj „dał rękojmię po sobie“ dwóch kmieci.	„A iż na ten czas nie stanęła“.	Jutrzkowice.
21.	Kradzież (owcy).	„Ławica“.	„Zasądzony według starożytnego zwyczaju wiecowego“.			Warzyn.
22.	Kradzież (zboża).	„Przysiężniki z wójtem“.	„Aby na gardle był karan“.			Wola Rakowska.
23.	Kradzież (zboża).	„Gromada“.	Karany „winą beczką piwa“.			Rypułtowice.
24.	Kradzież (zboża).	Lustratorowie staroście skarać zlecili.			„A iż na wieca nie stanął“.	Łaskowice.
25.	Kradzież (zboża).	Lustratorowie „staroście do poroczków zlecili“.				Retkinia.
26.	Kradzież (zboża).	Lustratorowie „na powiatki do sprawy stawać kazali, co staroście zlecają“.				Retkinia.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
27.	Kradzież (kapusty).	Lustratorowie „do starościnych sądów odłożyli“.				Gadka.
28.	Kradzież (gęsi).	„Na powiatek ma się sprawić przed starostą“.				Retkinia.
29.	Kradzież (gęsi).	Lustratorowie „do poroczków odkładają“.				Retkinia.
30. 31. 32.	Kradzież (gęsi, konopi, rusznicy).	Lustratorowie „staroście do poroczków zlecili“.				Karnyszewice Karnyszewice Retkinia.
33.	Kradzież.	Lustratorowie staroście zlecili.		„Do więzienia wsadzić kazano“.	Że go „gromada odstąpiła“.	Cbocianowice Pabianice.
34.	Kradzież.	?	Dać ma beczkę piwa do cechu „z winy złodziejskiej“.			Bychlew.
35.	Nieostrożne obchodzenie się z ogniem (wskutek czego powstał pożar).	„Ławica“	„Winy pańskiej trzy grzywny“.			
36.	Nieostrożne obchodzenie się z ogniem.	?	„Winy trzy grzywny“.			Jutrzkowice.

37	Wzbronione czyli „zapowiedne łowienie ryb.	Lustratorowie.	„Aby trzy grzywny mularzowi na zmurowanie sztukę muru dał“.			Pabianice.
38.	Popasanie koni cudzym owsem.	?		„Od przyszłego piątku za tydzień ma przysiądz, jako nie popasł końmi swemi panu Limierzy owsa“.		Leszczyny.
39.	Samowolne zabranie ogrodu.	„Lustratorowie skarać tego samowolnego staroście zlecają”.				Ldzań.
40.	Niestawiennictwo na wezwanie przysiężników.	Lustratorowie.	„Na winę skarali“.			Jutrzkowice.
41.	Niestawiennictwo na sąd lustratorów.	Lustratorowie staroście skarać zlecili.			„A iż ten młynarz się nie stawił“.	Łaskowice.
42.	Niewykonanie dekretu starosty (przeproszenie sąsiada).	„Ławica na sądzie wieca siedząca“.	Trzy grzywny winy i natychmiastowe przeproszenie przed sądem; „a za pokój na czasy potomne aby dał po sobie rękojmię“.			Huta Wiskicka.
43.	Rozmyślne podpalenie płotu.	Lustratorowie.		1-o „Ma przysiądz od piątku za tydzień, jako ani sam ani przez czeladnika swego płotu nie palił“ i 2-o „Winę między nimi założyli“ 60 grzywien.		Wola Rakowska.
44.	Sprzeniewierzenie przez wójta pięciu grzywien.	Lustratorowie.	Nakazali ugodę z poszkodowanymi i nałożyli kary: 1-o winy pańskiej trzy grzywny, 2-o urzędowi 25 groszy.		Iż „wziął te pieniądze bez wiadomości innych przysiężników“.	Rzgów.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
45.	Skarga na urząd rzgowski „o dzwonienie niepotrzebnie“ na skarżącego.	Lustratorowie.	Urząd wolnym uczynić nakazali.		„Iż pokazało się, że nie na niego, ale na psy jego we dzwonek dzwoniono“.	Rzgów.
46.	Alimenta (ojcu) „nadom i chowanie przystojne.	Lustratorowie.	Płacić ma ojcu swemu dwa złote rocznie ratami na Boże Narodzenie i na Św. Jan.			Kochanie.
47.	Wynagrodzenie za pracę (teścia przeciwko zięciowi).	?	Ma zapłacić skarżącéj wedle „wynalazku ludzkiego“.			Dłutów.
48.	Zakłócenie posiadania gruntu.	Lustratorowie.	Aby rolę przywrócili, a o nie aby się przed urzędem miejskim prawem rozparli „super principali“.			Czyżemin.
49.	Należność za żerdzie i nawóz.	Lustratorowie.		„Między temi stronami ludzi wysadzić“.		Kurowice.
50.	Posiadanie roli.	Lustratorowie.	Zwrócić prawemu posiadaczowi.		Świadectwu pewnemu gromady z Kurowic, jako i poddanych inszych wsi się przysłuchawszy“.	Kurowice.
51.	U rolę (działy?)	Lustratorowie staroście zlecili.				Rokicie.
52.	Spadek (przejście roli w spadku).	Lustratorowie.	„Dekret Ich Mści Capituli Crac. przy swéj mocy zostawić raczyli“.			Rzgów.

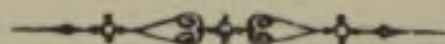
53.	Spadek (o wydanie roli pozostałéj po dziadku).	Lustratorowie „salvam actionem przed urzędem zostawują“.				Rzgów.
54.	Spadek (działy części ojczystéj).	Lustratorowie.		Wyznaczyli dwu przysiężników z Wiskitna i dwu z Huty „do podzielenia“, a w razie niezgody strony do osądzenia stanąć mają przed lustratorami.		Huta Wiskicka.
55.	Spadek (o wydanie krowy pozostałéj po synu).	Lustratorowie.	Pozostawili krowę przy pozwanym.		„Że nieboszczyka, ułomnego, przez jedenaście lat u siebie chował“.	Łaziska.
56.	Zastaw roli.	Lustratorowie „per apellationem od urzędu starosty pabiańskiego“.	Zwrócić pieniądze w ciągu dwóch tygodni; w przeciwnym razie oddać napowrót rolę zastawnikowi.		„Iż się zapisem pokazało dostatecznie“, że rola oddaną była w zastaw.	Rzgów.
57.	Zwrot zastawionéj roli.	Lustratorowie.	Ażeby ze spłatą sumy zastawnéj (5 złotych), półzagrody zwrócił.		„Uznawszy, iż nie jestto w mocy poddanych, aby mieli sobie rolę sprzedawać, albo zastawiać“.	Dalków.
58.	Zwrot zastawionego przedmiotu (ośnicy) prawemu właścicielowi.	Lustratorowie.	Zwrócić prawemu właścicielowi zastawiony przez trzecią osobę przedmiot, jak również sumę 4 złotych, daną przez niego na wykup zastawu, salva actione względem pisarza, który zły zapis sporządził.			Rzgów.
59.	Zwrot pożyczki.	Lustratorowie.	„Ażeby zapłacił na św. Maciéj“.			Dalków.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna.	Motywy	Miejscowość
60.	Zwrot pożyczki.	Lustratorowie staroście zlecili „aby mu płatnř byli czynił“.				Dalków.
61.	Zwrot pożyczki (dziesięciu i ośmnastu grzywien)	Lustratorowie.	Przyznane 10 grzywien oddać.	Zaś co do 18 grzywien nieprzyznanych „samosiódmemu przysiądz, jako ich nie jest winien, od przyszłego piątku za dwie niedziele“.		Rakowska Wola.
62.	Wykonanie ugody polubownéj.	Lustratorowie	Zapłacić nakazali 30 grzywien podług brzmienia ugody.		Iż „pokazał ugodę autentice i zeznanie jednaczów i pewne postanowienie między nimi pod pieczęcią miejską jemu z ksiąg wydane“.	Pabianice.
63.	Skarga na urząd burmistrzowski o zwrot 18 grzywien.	Lustratorowie.	Ma urząd z tych pieniędzy „liczbę uczynić“; pełnoletnim dać ich część; pozostałe zaś pieniądze „aby za poręką dobrych a pewnych rąk były oddane“.			Rzgów.
64.	Skarga woźnego na urząd miejski o zwrot kosztów 1 grzyw., poniesionych z powodu „uskromienia“ niejakiego Janczyka.	Lustratorowie.	Aby urząd zwrócił tę grzywnę w ciągu dwóch tygodni.			Rzgów.

65.	Skarga byłego burmistrza przeciwko „pospólstwu“ m. Rzgowa o zwrot 7 złot. 10 gr., wydanych na potrzebę miejską żołnierzom.	Lustratorowie.	Aby miasto zapłaciło.			Rzgów.
66.	Skarga na urząd miejskl o niepozwolenie odbudowania domu po pogorzeli na dawném miejscu (chciano rozszerzyć ulicę)	Lustratorowle.	„Stawić (budynek) wedle pierwszego budowania“.			Rzgów.

Maksymilian Baruch.

Listki z pola wiedzy.



III.

Najnowsze rezultaty, otrzymane w dziedzinie fizyologii i chemii rolniczej w ostatnich latach.

Życie roślin. — Przekształcanie materyi pokarmowych w roślinach na związki organiczne. — Pierwiastki biorące udział w ich budowie. — Azotany, jako najlepsze materyały pokarmowe z pomiędzy związków azotowych nieorganicznych. — Rola, jaką odgrywa wolny azot powietrza. — Współdziałanie mikroori ganizmów, przyczyniających się do jego asymilacyi.—*Phizobium leguminosarum.*—*Saprofityzm*, *parazytyzm* i inne urządzenia biologiczne w państwie roślinnem, umożliwiające zaopatrywanie roślin w związki organiczne. — *Symbioza*, czyli wspólne życie z inną rośliną, posiadającą wyższą zdolność saprofityczną. — Zadanie chemii rolniczej.—Cel, dla którego dany pierwiastek jest przyswajany przez organizm roślinny. — Doświadczenia Hellriegel'a, Schultza, Franka i innych. — Bezsilność analizy chemicznej. — Analiza mechaniczna. — Mikroorganizmy przyczyniają się do przyswajania azotu przez rośliny. — „Głód azotowy“.—Racyonalne gospodarstwo rolne.—Zwiększenie zapasu azotu w gruncie znajduje się w rękach gospodarza rolnego.—Obieg azotu w naturze jest faktem, wątpliwości nie ulegającym.

*　　　*

*

Jak wiadomo, we wszystkich żyjących roślinach odbywają się procesy chemiczne, skutkiem których następuje wymiana materyi

w ciele roślinném. Życie rośliny jest nieprzerwaném pasmem takich procesów, a rezultatem tego jest zwiększanie się masy żyjącéj rośliny. Chodzi tu o przyjmowanie obcych materyi do ciała roślinnego, i proces ten nazywamy żywieniem. Materye przyjmowane na pokarm przekształcają się w roślinie na nowe związki chemiczne, stanowiące bardzo cenne substancye, dostarczane nam przez rośliny. Oprócz tego odbywają się ciągle w żyjących roślinach procesy, skutkiem których ciało rośliny traci pewne materye, jak np. przy oddychaniu.

Z siedmdziesięciu kilku pierwiastków chemicznych, obecnie znanych, kilkanaście zaledwie bierze udział w budowie roślin.

W ę g i e l stanowi jeden z najważniejszych składników związków organicznych, tworzących substancyę roślinną, stanowiąc prawie połowę téjże substancyi.

W o d ó r jest również główną częścią składową substancyi roślinnych organicznych, jak również wody, wchodzącéj w skład wszystkich roślin.

Następnym składnikiem większéj części związków organicznych w roślinie oraz wody jest k w a s o r ó d czyli t l e n.

Do tych trzech elementów dołącza się a z o t, jako część składowa ważnych związków organicznych ciała roślinnego, zwłaszcza materyi białkowych, amidów, alkaloidów i fermentów; oprócz tego wchodzi on w skład azotanów i soli amoniakalnych, napotykanych nieraz w roślinach. Stosownie do ilości, w jakiéj występują te ciała azotowe, mamy części roślinne bogate lub uboższe w azot. Podług tego, średnio biorąc, znajdujemy następujący procent azotu w suchéj substancyi roślinnéj, a mianowicie:

Nasienie łubinu zawiera . .	5,00 %	azotu
Groch	3,50 „	„
Owies	2.00 „	„
Żyto	1.90 „	„
Kartofle	0.34 „	„

i t. d.

Inne pierwiastki napotykane w roślinach są:

Fosfor, jako część składowa kwasu fosforowego, znajdującego się prawie we wszystkich częściach roślinnych.

Siarka w bardzo małéj ilości, wchodzi w skład materyi białkowych.

Krzem (silicium) pod postacią — krzemionki we wszystkich

prawie roślinach napotyka się, już to w mniejszéj już w większéj ilości.

Potas, sod, wapń (*calcium*) wchodzą w skład roślin pod postacią soli potażowych, sodowych i wapiennych.

Magnezya i żelazo napotykają się również w niewielkiéj ilości, to ostatnie w częściach zielonych roślin.

Znajdujemy również w roślinach ślady manganezu i glinu (*aluminium*); chlor znajdujemy we wszystkich roślinach pod postacią chlorków, ale w bardzo małych ilościach.

Pewne pierwiastki ograniczają się do niektórych tylko roślin. Tak np. jod i brom spotykamy w roślinach morskich, fluor w zewnętrznéj postaci ziarn zbożowych.

Inne pierwiastki znajdują się w roślinach tylko przypadkowo i w bardzo małych ilościach. Do takich należą: arsen, bar, bor, cyna, cynk, kobalt, miedź, ołów, rtęć, srebro i niektóre inne. Obecność tych elementów nie ma żadnego znaczenia dla życia rośliny.

Pierwiastki wymienione znajdują się w roślinach, jakeśmy powiedzieli, pod postacią związków chemicznych.

Każda roślina i każda jéj część składa się z dwojakiego rodzaju substancyi, a mianowicie: z wody i z części stałych, które można od siebie oddzielić, pozostawiając części roślinne na wolném powietrzu, albo poddając je działaniu wysokiéj temperatury (zazwyczaj + 100° C.), przez co części pomienione tracą wodę, a kiedy już wcale nie tracą nic na wadze, pozostaje sama tylko substancya sucha, czyli stała.

Procent wody bywa bardzo rozmaity w roślinach i dochodzi np. w liściach niektórych krzewów do 80, w owocach soczystych do 95, w roślinach wodnych nawet do 98. Masa drzewna zawiera do 55% wody.

Substancya stała roślinna dzieli się na dwie kategorye: na ulegającą spaleniu (palną), czyli substancyę organiczną, oraz na popiół.

Substancya organiczna ciała roślinnego składa się z wielkiéj liczby związków organicznych; większa ich część napotyka się we wszystkich roślinach, a niektóre z nich potrzebne są do budowy komórki roślinnéj, stanowiąc istotną część składową wszystkich roślin. Do tych należą:

Wodany węgla, a między niemi tkanka komórkowata (*cellulosa*), krochmal, dekstryna, gumma, różne gatunki cukru i inne.

Kwasy roślinne, jak: kwas szczawiowy, winny, cytrynowy, jabłkowy i t. p., oraz rozmaite garbniki (kwasy garbnikowe).

Tłuszcze roślinne, a mianowicie różne olejki, oraz tłuszcze stałe, jak wosk.

Olejki eteryczne, jako wonne części składowe roślin, których istnieje wielka liczba.

Żywice, jako substancye ograniczone tylko do pewnych roślin, oraz kauczuk.

Substancye gorzkie, napotykane w wielkiéj liczbie, ale po większéj części ograniczone również do pewnych oznaczonych gatunków roślin.

Alkaloidy, czyli składniki roślin jadowitych, z których każdy gatunek po większéj części zawiéra sobie właściwy alkaloid.

Materye proteinowe czyli białkowe,—ogólne, najważniejsze części składowe roślinne, główne nośniki azotu, analogiczne z substancyami zwierzęcemi tegoż nazwiska, a tém samém warunkujące pożywienie dla organizmów zwierzęcych.

Związki amidowe, również substancye azotowe, we wszystkich roślinach napotykane, a mianowicie: tyrozyna, leucyna i asparagina.

Fermenty, jak np. dyastaz.

Barwniki, t. j. barwne części składowe roślinne, czyli wielka liczba bardzo różnorodnych związków, z których nieliczne tylko rozpowszechnione są w państwie roślinném, a przed innemi chlorofil (zielony barwnik), erytrofil (czerwony), ksantofil (żółty b.), oraz antocyan i antoksantyn, podczas, gdy pewne barwniki ograniczone są tylko do wodorostów.

Oprócz tych barwników, istnieje jeszcze wielka liczba takich, które napotykają się tylko w korzeniu, korze, albo rdzeniu niektórych gatunków roślin.

Nie mamy zamiaru zajmować się szczegółowo teoryą żywienia się roślin, które, jak to uczy fizyologia roślinna, przyjmują pokarmy tylko w stanie płynnym lub gazowym, z wyłączeniem nawet substancyi w stanie najdelikatniejszego proszku się znajdujących.

Nie możemy jednak pominąć zupełnie niektórych funkcyi spełnianych przez organa roślin, i dlatego przedewszystkiém musimy powiedzieć słów kilka o elementach substancyi palnéj, do jakich należą: węgiel, wodór, tlen i azot, aby mieć możność jasnego przedstawienia najnowszych badań na tém polu wykonanych.

Substancye potrzebne roślinie w tym celu, aby rozwijała się

normalnie przy dopełnieniu wszystkich innych warunków, nazywamy pokarmem rośliny.

Za najniezbędniejsze do żywienia rośliny uważają się pierwiastki: węgiel, wodór, tlen i azot, gdyż takowe wchodzą w skład związków organicznych, to jest, właściwych substancyi roślinnych, bez których nie można sobie wyobrazić rośliny.

Co się tyczy innych pierwiastków, napotykanych zazwyczaj w popiołach roślin, to nie można nic powiedzieć teoretycznie o ich znaczeniu dla rośliny, i rozstrzygać tu musi doświadczenie, czego dokonywamy przez żywienie rośliny sztucznemi, mieszanemi pokarmami, urządzając t. zw. kultury wodne albo piaskowe. W pierwszym razie grunt dla rośliny zastępuje woda, zawierająca w rozpuszczeniu sole, napotykane w popiołach téj rośliny; w drugim używa się na ten cel naczyń, napełnionych poprzednio wypalonym, a następnie wymytym wodą białym piaskiem, który polewa się stosownie przygotowanym roztworem wodnym tych soli.

Zarządzone w ten sposób czysto chemiczne próby pozwalają wykluczać z kolei pewne oznaczone pierwiastki, a tym sposobem przekonać się można o ile takowe mają istotne znaczenie dla danéj rośliny t. j. o ile roślina przy ich obecności normalnie się rozwija.

Tą drogą, t. j. przez powtarzanie pomienionych doświadczeń dla różnych roślin i prowadząc je równolegle na wodnych i piaskowych kulturach, fizyologowie przekonali się, że niezbędne do żywienia roślin pierwiastki sprowadzają się do dziesięciu następujących elementów, jakiemi są: węgiel, wodór, tlen, azot, siarka, fosfor, potas, wapń (*calcium*), magnez (*magnesium*) i żelazo. Oprócz tych pierwiastków, dla żywienia niektórych roślin potrzebne są jeszcze: chlor i krzem (*silicium*).

Wyżéj wymienione elementa są niezbędne do żywienia roślin, i jeżeli grunt nie zawiera któregokolwiek z tych pierwiastków, albo téż zawiera go w niewłaściwéj formie, wtedy nie można liczyć na pomyślny rozwój rośliny, i w tym przypadku inne materye pokarmowe, chociażby znajdowały się w obfitości w danym gruncie, nie wywierają żadnego skutku, pozostają bez wpływu na normalny rozwój rośliny.

Żadnego z wyżéj wymienionych elementów — z wyjątkiem tlenu i azotu, — nie ma roślina w naturze do swego rozporządzenia w stanie wolnym, a te dwa pierwiastki spotykają się również jako związki. Przytém każda substancya, jak wiadomo, jeżeli ma być przyjętą przez roślinę, powinna się znajdować w stanie płynnym

albo gazowym, gdyż tylko pod tą postacią mogą substancye przenikać przez błony komórek roślinnych.

Pokarmy wymienione ulegają przedewszystkiém w roślinie rozkładom i przekształceniom chemicznym, czyli zmieniają się w t. z. substancyę roślinną. Procesy tego rodzaju nazywamy asymilacyą (czyli przyswajaniem).

Mając zamiar przedstawić między innemi najnowsze badania, dotyczące obiegu azotu w świecie roślinnym, i jego analogię z obiegiem węgla (pod postacią kwasu węglowego) między światem roślinnym a zwierzęcym, bierzemy przedewszystkiém pod uwagę cztery pierwsze z wymienionych wyżéj pierwiastków, wchodzących w skład materyałów pokarmowych dla roślin. Elementami temi są: węgiel, wodór, tlen i azot.

Dawniéj utrzymywano, że świat roślinny bierze pożywienie wyłącznie z gruntu, i że budowa rośliny dokonywa się głównie z substancyi organicznych ziemi, a mianowicie z t. z. próchnicy. Wszakże dopiéro na skutek doświadczeń, jakie wykonał Saussure, t. j. kiedy dowiedzioném zostało, że zielone rośliny przyjmują kwas węglowy z powietrza i wytwarzają przy jego pomocy pokarmy organiczne z wydzieleniem tlenu, ustalała się powoli opinia, że dopiéro ostateczne produkta rozkładu materyi organicznéj, które już przyjęły formę anorganiczną, a mianowicie kwas węglowy i woda, amoniak, kwas azotowy, a nawet azot w stanie wolnym, tworzą właściwy pokarm dla rośliny, jakkolwiek co do tego ostatniego zdania można było dostarczyć dowodów dopiéro w czasach ostatnich. Naturalném tego następstwem było odmówienie materyom organicznym znaczenia bezpośrednich materyałów pokarmowych dla rośliny.

Wprawdzie Saussure, a ze stanowiska rolniczego Thaer utrzymywali, że obok kwasu węglowego powietrza również i t. z. próchnica dostarcza roślinom potrzebnego do ich budowy węgla, będąc najgłówniejszym materyałem pokarmowym roślin. Z drugiéj jednak strony Liebig i liczni jego zwolennicy byli przeciwnego zdania, a mianowicie, że kwas węglowy, woda, amoniak, kwas azotowy są to właściwe materyały pokarmowe roślin, i że ciała organiczne, a zwłaszcza t. z. próchnica, o tyle tylko biorą udział w żywieniu rośliny, o ile skutkiem rozkładu przechodzą w owe związki nieorganiczne. Opinię tę popierało wykonanie całego szeregu doświadczeń (t. z. kultury wodne), dowodzących, że zielone rośliny mogą brać z samych tylko wymienionych wyżéj związków nieorganicznych potrzebny do ich budowy węgiel i azot. Późniéj jednak

dowiedzioném zostało, że rośliny pozbawione zielonego barwnika (chlorofilu), jak grzyby, oraz wiele roślin jawnopłciowych niezielonych, nie mogą przyjmować węgla z kwasu węglowego, ale że do ich żywienia potrzebne są koniecznie związki organiczne, a mianowicie t. z. próchnica. Najnowsze doświadczenia wykonane przez d-ra A. B. Franka, profesora instytutu rolniczego w Berlinie [1]), wykazały, że pewne związki organiczne, a szczególniéj próchnica, dostarczają pożywienia i dla roślin, w skutek czego dawna teorya próchnicowa, jak powiada uczony profesor, po części przywróconą została do dawnego znaczenia.

W każdym razie wymienione wyżéj substancye nieorganiczne (kwas węglowy, woda, amoniak, kwas azotowy i wogóle azotany) stanowią główne źródło żywienia roślin. O ile jednak pochłanianie przez rośliny kwasu węglowego i przyswajanie go pod wpływem światła wątpliwości nie ulega, i proces ten wzbogaca roślinę węglem, o tyle nie jesteśmy pewni, jaki jest pierwszy produkt asymilacyi kwasu węglowego w roślinie.

Co się tyczy roli azotu w roślinach, to zwracamy przedewszystkiém uwagę, że azot dostaje się do zielonych roślin jako pokarm pod postacią ciał nieorganicznych. A jakkolwiek pierwiastek ten służyć może roślinom za pożywienie pod formą związków organicznych, to jednak stwierdzoném zostało, że związki nieorganiczne,— a mianowicie sole amoniakalne, azotany, oraz wolny azot w stanie gazu — wystarczają w zupełności do zaopatrzenia roślin w całkowitą potrzebną do ich budowy ilość azotu.

Azotany i sole amoniakalne znajdują się w pewnéj ilości prawie we wszystkich gruntach i dlatego, z powodu swojéj rozpuszczalności w wodzie, mogą być przyjmowane przez rośliny za pośrednictwem korzeni. Pojawiają się one jako ostateczne produkta rozkładu gnijących w gruncie substancyi azotowych organicznych.

Kwestya, czy azotany, czy téż sole amoniakalne stanowią najlepsze materyały pokarmowe dla roślin, badaną była również przy pomocy paralelnych doświadczeń, na podobieństwo tych, o jakich wyżéj napomknęliśmy. Doświadczenia wykonane nad owsem, kukurydzą i innemi roślinami, wykazały jednozgodnie, że kwas azotowy wydaje najlepsze rezultaty, doprowadzając rośliny do świetnego rozwoju i normalnéj produkcyi nasienia, gdy rośliny te nierównie

---

[1]) *Lehrbuch der Pflanzenphysiologie mit besonderer Berücksichtigung der Kulturpflanzen*", pagg. III et seqq.

gorzéj żywią się amoniakiem, niekiedy wcale nie wydając nasienia. Nawet w porównaniu ze związkami azotowemi organicznemi, kwas azotowy wykazał znaczną wyższość.

Przytoczone fakta zgodne są z rezultatami otrzymanemi z całego szeregu doświadczeń porównawczych z nawozami na otwartém powietrzu, gdzie na jednym i tym samym gruncie wykonywano doświadczenia ze zbożem, kartoflami, burakami i t. d., przy czém na jednéj z parceli używano za nawóz saletry chilijskiéj, na drugiéj— siarczanu amonu, trzeciéj zaś wcale nie nawożono. Rezultat był taki, że saletra nad amoniakiem zawsze miała przewagę, niekiedy bardzo wielką. Z drugiéj strony parcela ulepszana amoniakiem nie wydawała lepszych rezultatów od téj, która wcale nawożoną nie była i zaledwie pod koniec peryodu wegetacyjnego miała przewagę nad tą ostatnią.

Z tych i tym podobnych doświadczeń wyprowadzono wniosek, że azotany są najlepszemi materyałami pokarmowemi z pomiędzy związków azotowych nieorganicznych, rozumie się dla tych roślin, nad któremi wykonane zostały pomienione doświadczenia

Co się tyczy asymilacyi soli azotowych przez rośliny, to kwestya ta nie jest tak dokładnie wyjaśniona, jak kwestya przyswajania kwasu węglowego. W każdym razie uważa się za mylną opinia, według któréj funkcya w mowie będąca ma się odbywać w zielonych liściach. Chlorofil nie przyjmuje w tém żadnego udziału.

Co się tyczy przyswajania soli amoniakalnych, gdzie te ostatnie przyjmowane są jako pokarm, to kwestya ta nie została jeszcze dostatecznie wyjaśnioną. Doświadczenia jednak wykazały, że kwas azotowy nie powstaje z tego źródła w roślinie; że prawdopodobnie z amoniaku ma miejsce bezpośrednie tworzenie się amidów, ale że z zewnątrz przyjęły amoniak, dlatego trudno jest badać w roślinach, iż takowy może w nich powstawać przez rozkład materyj białkowych.

Z kolei przechodzimy do najważniejszéj kwestyi, t. j. do roli, jaką odgrywa wolny azot powietrza.

Aż do ostatnich czasów fizyologowie zaprzeczali temu, aby roślina mogła wytwarzać związki azotowe roślinne z azotu w stanie wolnym, t. j. azotu jako pierwiastku, a głównie na zasadzie całego szeregu doświadczeń, jakie przed dosyć dawnym już czasem wykonał *Boussingault*. Doświadczenia te bowiem dowodziły, że rośliny badane nie wykazywały przyrostu azotu, ale tylko ten jego zapas, jaki znajdował się w badaném (zasianém) nasieniu. Doświad-

czenia te wszakże nie dostarczały dowodu, rozwój bowiem roślin w tych zamkniętych przestrzeniach był nienormalny i nędzny. Również nie popierała téj opinii okoliczność, że rośliny, które rozpoczynają rozwój swój na wolném powietrzu, bez pomocy związków azotowych, t. j. w sztucznych kulturach wodnych, wcześnie przestają rosnąć, gdyż zdolność przyswajania wolnego azotu mogłaby dopiéro nastąpić po pewném ich wzmocnieniu się, czyli w późniejszym okresie rozwoju. Przeciwnie, przeprowadzone na zasadzie innych metod doświadczenia w czasach ostatnich dowiodły jak najniewątpliwiéj, że znajdujący się w powietrzu w stanie wolnym azot może być użyty na pokarm przez rośliny, czyli że przedstawia dla rolnictwa źródło azotu, które pozostaje do rozporządzenia rolnika bez wszelkich kosztów i ograniczeń. W saméj rzeczy, jeżeli na naturalnym gruncie, ubogim w azot, ale zaopatrzonym w potrzebne materyały pokarmowe w wielkich i dosyć głębokich naczyniach szklanych, zasiejemy pewne nasienie, aby tym sposobem tak z zasianego nasienia, jak i z pozostałości po jego zbiorze nic nie zginęło, i jeżeli pozostawimy te kultury na wolném powietrzu, pod pokryciem szklanem, i polewać je będziemy samą tylko wodą dystylowaną, a to celem usunięcia związków azotowych, zawartych w wodzie deszczowéj, to wtedy rośliny — powiada prof. Frank — rozwijają się prawie tak samo, jak na tymże gruncie w stanie wolnym, a przytém analiza wykazuje, że ilość azotu wyprodukowanéj substancyi roślinnéj wraz z ilością azotu w gruncie po zbiorze jest nierównie większą od ilości tego elementu zawartego w tymże gruncie przed zasiewem, jak również w zasianém nasieniu.

Otrzymane rezultaty wykazują (cyfry szczegółowe pomijamy dla braku miejsca), że zdolność przyswajania azotu powietrza nie jest jednakowa w różnych roślinach, i że pierwszeństwo pod tym względem należy się łubinowi. Prawdopodobném jest, — powiada Frank, — że i inne gatunki roślin do téj familii należących (*leguminosae*) posiadają również tę zdolność, która właściwą jest różnym jawnopłciowym familiom, chociaż może w mniejszym stopniu. Dowiedzioném zostało obecnie, że nawet najniższe mikroskopijne rośliny zawierające zielony barwnik (chlorofil), posiadają również tę zdolność. Jeżeli np. lekki grunt, ubogi w azot i zabezpieczony od deszczu, wystawiony będzie na działanie powietrza i światła i polewany obficie czystą wodą dystylowaną, to grunt ten sam przez się, bez wszelkiéj wegetacyi, prawidłowo i powoli wzbogacać się będzie w azot. Tak np. grunt piasczysty, który z początku zawiérał 0,0034 % azotu, po 134 dniach posiadał go już 0.00426 %. Ta prze-

wyżka azotu przedstawia się zawsze pod postacią pewnéj ilości wodorostów (algae), które rozwinęły się w gruncie w ciągu tego peryodu. Szczegóły doświadczeń pomijamy.

W danym przypadku chodzi tu o niższe wodorosty, których kiełki rozpowszechnione są wszędzie, we wszystkich gruntach. Te formy organiczne roślinne występujące na małą skalę przy tych doświadczeniach, wykonywanych w naczyniach szklanych (kolbach), rozwijają się również na wolném polu tak we wszystkich kulturach, jak również na gruntach ugorem leżących. Powracają tu ciągle rozmaite formy: *Oscillaria*, *Chlorococcum*, *Pleurococcus*, *Ulothrix;* następnie pojawiają się mchy, w końcu również i chwasty jawnopłciowe. Ten świat roślinny, dobrowolnie rozwijający się na gruntach, aż do mikroskopijnych wodorostów, bierze udział w zbogacaniu tychże gruntów związkami azotowemi kosztem azotu powietrza. Grunt po zbiorze wykazuje większą ilość azotu, niż przed kulturą, a ilość ta jest największą przy łubinie. Samo się przez się rozumie, że ostateczny rezultat w bilansie azotu wypadnie inaczéj, jeżeli obok czynności zielonych roślin gromadzących azot, mają miejsce inne procesy, przy których wydziela się azot, a które odbywają się w gruntach, zawierających związki azotowe organiczne.

Z rezultatami powyższych prób pozostają w zgodzie te doświadczenia, które wykonywali Lawes, Gilbert i Pugh w Anglii, Schultz w Niemczech, i przy pomocy których na tym samym gruncie corocznie, bez dodawania nawozu azotowego, z tego samego gatunku roślin otrzymywano ciągle bogate zbiory azotu. Tak np. na gliniastym gruncie w Lupitz, który nie otrzymywał nigdy nawozu azotowego od początku kultury, ciągle siano i zbierano łubin; dwudziesty zbiór przedstawiał 148 k. azotu na hektar. Przytém ilość azotu w gruncie wynosiła 0,07 do 0,08%, a cyfra ta zgadzała się w zupełności z analizą, przed 5 laty poprzednio wykonaną, czyli, że mimo tak bogatych zbiorów, grunt nie stracił nic na wartości azotu.

Co się tyczy fizyologicznego procesu przerabiania wolnego azotu na związki organiczne w roślinie, to pod tym względem nie jesteśmy jeszcze dokładnie poinformowani. Ta okoliczność, że nawet jednokomórkowe wodorosty zdolne są przyswajać azot, dowodzi wyraźnie, że funkcyę tę może spełniać każda komórka roślinna, zawierająca jedynie zwyczajne składowe części, jak protoplazma, chlorofil i t. p.

Własność tę posiadają rozmaite gatunki zielonych roślin, od wodorostów aż do familij roślin jawnokwiatowych. Im wyższa jest łodyga, im liczniejsze tworzy liście, owoc i t. d., tém większy, tém

bogatszy jest nabytek azotu, co wszystko wykazuje wielką czynność organów roślinnych nad powierzchnią ziemi. Nie jest to jednak—powiada dr. Frank — żadnym dowodem do podtrzymywania opinii, że chlorofil działa tu w podobny sposób, jak przy asymilacyi kwasu węglowego. Samo się przez się rozumie, że wolny azot tylko wtedy może być przerobiony na materye roślinne azotowe, jeżeli w tém biorą jednocześnie udział produkta asymilacyi, pochodzące z kwasu węglowego i wody i wytwarzane w ziarnkach chlorofilu. Ale wolny azot mógłby również wejść w związek z gotowym już produktem asymilacyi po za ziarnkami chlorofilu. W niektórych roślinach, jak np. w łubinie i grochu — powiada dalej prof. Frank— przy żywieniu bez organicznych części składowych gruntu, przez tak zwaną *symbiozę* (*symbiozis*), czyli zetknięcie się z szczególnego rodzaju niższym organizmem grzybka, żyjącego we wszystkich gruntach (który nazywa *Rhizobium leguminosarum*), powstaje silny rozwój, dla którego właśnie obecność tego grzybka jest niezbędnym warunkiem asymilacyi wolnego azotu. Grzybek ten dostaje się do korzeni rośliny, miesza się z zarodzią (*protoplasma*) komórek roślinnych, wywierając wielki wpływ na rozwój całéj rośliny, która w ten sposób zostaje wmocniona we wszystkich funkcyach żywotnych. W saméj rzeczy wykazuje ona wtedy szybszy i silniejszy wzrost, wytwarza obficiéj chlorofil, wywołuje nierównie energiczniejszą asymilacyę kwasu węglowego, powoduje nadzwyczaj obfite powstawanie związków azotowych organicznych i wytwarza jednocześnie na korzeniach rośliny z początku małe, stopniowo zaś coraz większe brodawki (kłębki) korzeniowe; wewnątrz tych brodawek, w komórkach roślinnych, osadzają się obficie materye białkowe i powstają tym sposobem t. z. b a k t e r o i d y.

Te kłębki korzeniowe nie rozwijają się wcale w gruntach wyjałowionych, w których pomienione mikro-organizmy zostały zniszczone, a tém samém ustają wtedy i opisane wyżéj zjawiska pomyślnego rozwoju roślin. Stan ten bardzo mało się poprawia, albo téż nie polepsza się wcale przez dodatek związków azotowych nieorganicznych, jak np. azotanów.

Inaczéj się rzecz ma, jeżeli dodamy takiego ciała, jak p r ó c h n i c a t. j. materyału pokarmowego organicznego. A zatém symbioza z tak zwaném *Rhizobium* zastępuje roślinom (jak groch i łubin) pokarm organiczny, czyli innemi słowy: do asymilacyi pokarmu nieorganicznego, zawierającego węgiel i azot, roślina potrzebuje współdziałania ze strony wymienionego wyżéj mikroorganizmu. Na inne rośliny, należące do téj familii (*leguminosae*), wspomniany wyżéj

grzybek (*Rhizobium leguminosarum*), resp. symbioza z tym mikroorganizmem, nie wywiera żadnego wpływu. Dlatego to, rozbiérając powyższą kwestyę, prof. Frank dodaje, że potrzeba jeszcze wielu doświadczeń, zanim będziemy w stanie postąpić daléj na tém polu [1]).

Obieg azotu w naturze podtrzymywany jest przez zdolność roślin wprowadzania do związków wolnego azotu. Na ziemi bowiem odbywają się ciągle procesy, przy których, przeciwnie, pierwiastek ten wydzielany bywa ze związków. Dzieje się to wtedy np., kiedy ulegają spaleniu substancye azotowe organiczne, mianowicie przy ich gniciu i butwieniu; daléj, przy braku tlenu odbywa się w gruncie redukcya azotanów, przyczém wydziela się wolny azot; wydzielanie się tego pierwiastku w stanie gazu zachodzi również w organizmie zwierzęcym z wprowadzanych do kiszek związków azotowych; nakoniec, przy każdém kiełkowaniu nasion roślinnych następuje pewna strata pod postacią wolnego azotu, a mianowicie z niezupełnie zużytych i przechodzących w gnicie części składowych nasienia.

W państwie roślinném spotykamy wiele urządzeń biologicznych, które umożliwiają zaopatrywanie rośliny w związki organiczne. Jeden z nich jest t. zw. *saprofityzm*. Między innemi należą tu rośliny, które w ogólności żyją w ciałach gnijących, zwane *saprofity*: do ich żywienia służy martwa materya organiczna, pochodząca z gnijących resztek organizmów zwierzęcych i roślinnych. Do téj klasy należy i próchnica, składająca się ze związków organicznych węgla i azotu. Istnieją pewne rośliny niższéj organizacyi, które z niego czerpią pożywienie, i których życie przywiązane jest do gruntu, zawierającego wspomnianą wyżéj próchnicę. W wypadku pomienionego saprofityzmu, roślina już to sama posiada zdolność asymilowania tego materyału organicznego, już to zawiązuje wspólne życie, symbiozę z inną rośliną, posiadającą wyższą zdolność do tego saprofityzmu, i żywienie swoje za pomocą asymilowanych materyj organicznych powierza téj drugiéj roślinie — niby mamce swojéj.

Inny sposób zdobywania pokarmów organicznych przez roślinę polega na parazytyzmie, t. j. gdy ta roślina jako pasorzyt (*parasitus*) żyje na innym organizmie, karmiąc się jego częściami składowemi organicznemi. Tym gospodarzem pasorzyta może być już to

---

[1]) „Andere Leguminosen sind aber in ihren Nahrungsbedürfnissen nicht ohne weiteres mit der Erbse und Lupine zu vergleichen, manche verhalten sich sicher anders; so hat z. B. die Buschbohne von der Symbiose mit dem auch in sie einwandenden Rhizobium keinen Nutzen. Es bedarf noch vieler Untersuchungen, um in dieser Frage schrittweise weiter zu kommen". Ibidem, pag. 131.

roślina, już zwierzę. Istnieją zatém rośliny pasorzytne, żyjące na roślinach, i rośliny pasorzytne, żyjące na zwierzętach.

Trzeci sposób przyswajania sobie pokarmów pod postacią związków organicznych spotykamy u niektórych roślin t. zw. mięsożernych (*carnivorae* czyli właściwie *insectivorae*), żywiących się owadami, do jakich np. należą: mucholówka (*dionaea muscipula*), rosiczka okrągłolistna (*drosera rotundifolia*), dzbanecznik (*nepenthes*) i inne.

Reasumując wyżéj wyłożone zasady, dopełniamy je najnowszemi doświadczeniami, wykonanemi na tém polu.

Zadanie chemii rolniczéj, jak wiadomo, polega na ustanowieniu, jakie materye, pod jaką postacią i w jakiéj ilości potrzebne są dla otrzymania największéj wydajności pewnéj rośliny.

Wskutek prac Sachsa, Nobbe'go i innych badaczy przyrody, nietylko ustaloném zostało, jakich materyi pokarmowych potrzebuje dana roślina, jaką rolę grają w komórce roślinnéj pomienione materye potrzebne do jéj rozwoju, ale nadto wyjaśniono cel, dla którego pewne elementa są asymilowane czyli przyswajane przez organizm roślinny.

Z wymienionéj przez nas wyżéj liczby ciał, tak prostych, jak i złożonych, kwas fosforowy potrzebny jest do wytwarzania materyi azotowych w roślinie. Żelazo wchodzi w skład chlorofilu, siarka— w skład materyi białkowych.

Rola wapnia (*calcium*) długi czas nie była znana. Dopiéro najnowsze badania wykryły ciekawy fakt, że rola ta polega nie na jego konieczności do tworzenia pewnych składowych części rośliny, ale raczéj na jego szczególném działaniu, a mianowicie, że dzięki temu pierwiastkowi szkodliwy dla roślin kwas szczawiowy, powstający zazwyczaj w roślinach jako produkt otlenienia wodanów węgla, osadza się pod postacią szczawianu wapnia.

Rolę potasu, bez którego żadna roślina nie rozwija się normalnie, dopiéro przed trzema laty należycie wyjaśnił *Hellriegel* badaniami swemi nad burakiem cukrowym i wykazał zależność powstawania wodanów węgla od tego pierwiastku.

Że azot koniecznym jest do żywienia rośliny, wynika to ztąd, iż materye białkowe są związkami azotowemi.

Nie została dotąd zbadana dokładnie rola chloru w roślinach. I jakkolwiek dawniéj utrzymywano, że obecność chloru potrzebna jest do wytwarzania krochmalu w roślinie, to jednak nowsze badania zdają się przemawiać przeciwko téj opinii.

Rola innych ciał — jak np. magnezyi, sody i krzemionki—jakeśmy to już wyżéj zaznaczyli, jest mniéj ważną i również mało znaną.

Co się tyczy wewnętrznych procesów chemicznych w roślinach, to ostatnie badania Schultza dostarczyły bogatego materyału do sprawy rozkładu ciał azotowych w procesach wymiany materyi w roślinach. Jako produkta wymiany w niezielonéj jeszcze komórce roślinnéj, występują te same materye, co i w komórce zwierzęcéj, proces zaś odbywa się według tych samych praw.

W kwestyi doświadczeń, mających na celu zbadanie potrzeb samego gruntu, a to celem dostarczenia gospodarzowi rolnemu tych zasadniczych wskazówek, na podstawie których mógłby uregulować żywienie rośliny na danym gruncie, to prof. Merker, w sprawozdaniu swojém, złożoném niedawno na posiedzeniu Towarzystwa chemicznego w Berlinie, robi między innemi uwagę, że pomienione poszukiwania, związane zresztą z niezwykłemi trudnościami, nie mogły doprowadzić do zupełnie pomyślnych rezultatów. Analiza chemiczna sama przez się jest bezsilna, jeżeli jednocześnie nie przychodzą jéj w pomoc badania warunków mechanicznych i fizycznych. Tą ostatnią drogą, dzięki pracom Orta i innych uczonych, nierównie dokładniéj bada się stan urodzajności danego gruntu, aniżeli przy pomocy saméj tylko analizy chemicznéj.

Jako główny czynnik, popierający żyzność gruntu, występuje woda, a obecność jéj w gruncie zależy wyłącznie od jego stanu fizycznego, który potrzeba ulepszać w miarę możności. Ogólna analiza chemiczna daje bardzo słabe wyobrażenie o stanie żyzności gruntu, gdyż za rzeczywiste materyały pokarmowe mogą być uważane tylko te, które znajdują się w gruncie w stanie odpowiedniego rozdrobnienia i posiadają dosyć znaczną powierzchnię zetknięcia z płynnemi częściami składowemi gruntu, aby łatwo mogły ulegać roztwarzającemu działaniu zawartego w tych płynach kwasu węglowego. Drobnoziemiste części składowe gruntu pozostają w ściśléj zależności od jego stanu chemicznego, od jego zdolności pochłaniania wody, oraz od innych własności. W skutek tego jedną z najważniejszych podstaw analizy gruntu jest oznaczenie ilości tych drobnoziemistych części, a dla wykonania tego potrzebną jest głównie analiza mechaniczna.

Podług tego zdawałoby się, że nauka zrobiła bardzo małe postępy na polu sposobów oceniania, czego potrzebuje dany grunt. Otóż wynalezioną została inna metoda, przy pomocy któréj analiza gruntu wykonywa się nie w pracowni chemicznéj, ale na otwartém

miejscu, przy pomocy saméj rośliny, drogą doświadczeń praktycznych na gruncie. W tym celu na danym gruncie, w którym np. należy oznaczyć ilość potrzebnego kwasu fosforowego, rozpoczyna się uprawa jakiéjkolwiek rośliny, wprowadza się wszystkie pozostałe materye pokarmowe w pełnéj obfitości, z wyjątkiem jedynie kwasu fosforowego. Następnie oznacza się, jaka jest wydajność badanéj rośliny na tym gruncie w porównaniu z rośliną wyhodowaną na gruncie, zawierającym, oprócz innych potrzebnych pokarmów, znaczną ilość kwasu fosforowego. Z drugiéj strony oznacza się, ile kwasu fosforowego pochłonęła ta roślina z danego gruntu. Otrzymane rezultaty pozwolą nam wyprowadzić odpowiednie wnioski w kwestyi powyższéj.

Co się tyczy roli węgla w przyrodzie, czyli jego obiegu, to wiadomo, że kwas węglowy powietrza pochłaniany bywa przez zielone części roślin, przechodzi w krochmal i inne materye organiczne, które zużywane bywają tak przez zwierzęta wyższe, jak również przez mikroorganizmy, a zawarty w nich węgiel powraca znowu do atmosfery pod postacią kwasu węglowego. Otóż taki obieg istnieje również i dla azotu.

Większa część roślin może przyjmować azot tylko pod postacią różnych jego związków, nie zaś jako azot w stanie wolnym, i nowe powstawanie takich związków azotowych ma miejsce w przyrodzie na małą skalę. Gdyby jednak ten tylko zapas państwo roślinne miało do swego rozporządzenia, to rozwój jego byłby nadzwyczaj słaby, i cała ilość związków azotowych, powstająca corocznie w atmosferze, nie byłaby w stanie dostarczyć potrzebnego w tym celu pokarmu.

Na szczęście istnieje grupa roślin motylkowych, które mogą przyswajać sobie azot w stanie wolnym i rozwijać się znakomicie. Przytém rośliny pomienione pozostawiają po sobie grunt w lepszym stanie, niż był poprzednio. Na korzeniach tych roślin znajdują się kłębki większych lub mniejszych rozmiarów. Zawierają one mikroorganizmy, hodowane już obecnie w czystych kulturach, a któremi mogą być zarażone korzenie wyżéj wymienionéj grupy roślin, celem wytwarzania nowych mikroorganizmów. Te mikroorganizmy zdolne są przyjmować, przyswajać sobie wolny azot i przerabiać go na związki azotowe organiczne, które służą do karmienia rośliny i dalszego jéj rozwoju. Jeżeli jednak roślina nie posiada ich na korzeniach, to nie jest w stanie przyswajać sobie azotu.

W pierwszym okresie po dopełnionym zasiewie, roślina rozwija się dostatecznie kosztem zapasu materyi azotowych, zawar-

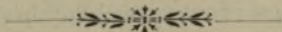
tych w nasieniu. Po wyczerpaniu jednak tego zapasu, jeżeli zasiew dokonany został na gruncie ubogim w azot, rozwój rośliny zostaje powstrzymany, i wtedy — jak się wyraża *Hellriegel*, który wykonał cały szereg doświadczeń tego rodzaju — przedstawiają się nam wszystkie charakterystyczne cechy „głodu azotowego". Po kilku jednak dniach, cechy te znowu znikają, rośliny żywo zielenieją, i następuje bujny ich rozwój, ciągnący się do samego końca peryodu wegetacyjnego.

Przy badaniu roślin w tym okresie, znajdujemy na ich korzeniach liczne kłębki, a w tych ostatnich wielkie nagromadzenie wspomnianych wyżéj mikroorganizmów, zbiérających i przyswajających dla rośliny azot. Wspomniany wyżéj „głód azotowy" ustaje właśnie w początku rozwoju tych organizmów.

Powyższe badania mają bardzo wielką doniosłość. Dzięki im, przekonaliśmy się stanowczo o istnieniu obiegu azotu w naturze; dowiedzieliśmy się daléj, że zwiększenie zapasu azotu w gruncie znajduje się w rękach gospodarza rolnego. Według swojego życzenia może on go zwiększyć, zaprowadzając tych lub owych „zbieraczy azotu", i takim sposobem zebrany przez nich zapas azotu użyty być może na uprawę roślin, potrzebujących tego pierwiastku do swego rozwoju. Racyonalne gospodarstwo polega zatém obecnie na ciągłéj kolejnéj zamianie roślin zbiérających azot przez takie rośliny, które są w stanie korzystać z tego zapasu; w skutek czego, przy sprzyjających warunkach, otrzymują się takie ilości azotu, z których pomocą można by zupełnie obejść się bez nawozów azotowych.

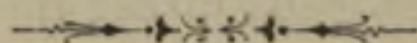
Dalszém następstwem pomienionych badań było zaprowadzenie czystej uprawy tych mikroorganizmów i zarażanie niemi roślin motylkowych na takich gruntach, na których nie może nastąpić pełny ich rozwój.

T. Skomorowski.



Z PSYCHOLOGII KOBIECÉJ.

Typy i charaktery w życiu i powieści.



To, co nazywamy duchem czasu, a co jest treścią intelektualnego życia społeczeństwa w danym okresie, odbija się doskonale w pojęciu ideału kobiecego, jaki poezya, czy powieść, właściwiej sztuka stwarza dla téj chwili. Chimena i Andromaka mogły jedynie powstać na tle Hotelu Rambouillet i pod jego tchnieniem, Fornarina i Mona Liza są wykwitem czasów Bony i Wiktoryi Colonny, Wirginia, Heloiza, Korynna wyrażają tęsknotę serc XVIII wieku do tego nastroju, który niebawem romantyzmem wybuchnie. A materyałem, w którym duch czasu rzeźbi swoje postaci jest charakter narodowy, ten podkład psychologii zbiorowéj, wyrobiony przez wiekowe współdziałanie położenia rasy, sposobu życia i przejść historycznych. Istnieje zatém pojęcie ideału kobiecego, odpowiadające charakterowi narodowemu, a miarę tego ideału przykładamy intuicyjnie do każdego typu w życiu czy w sztuce, sprowadzając przez podkréślanie pewnych cech wybitnych, charakter Polki, Niemki czy Francuzki do zasadniczych rysów. W roku zeszłym pojawił się w *Revue des Revues* szereg bardzo interesujących studyów w tym kierunku—szereg artykułów kobiet o kobietach — Carmen Sylvy o kobiecie rumuńskiej, Laury Marholm o kobiecie niemieckiej, pani Daudet o francuskiej, Orzeszkowéj o Polce i t. d.

Wszystkie te studya miały na celu danie syntezy charakteru narodowego, rozwoju myśli i postępu pracy kobiecéj w daném społeczeństwie, a ogłoszenie ich przez ruchliwą redakcyę „wszecheuropejskiego przeglądu" dowodzi żywego zajęcia, jakie wzbudza obecnie sprawa kobieca, wyszedłszy już z pierwszego okresu walki. Każde studyum takie, to jakby zebranie promieni widmowych w ognisku soczewki skupiającej; te rzuty ogólne i zestawienia szerokie zwracają uwagę na obszerne pola do pracy szczegółowej w tym zakresie, budzą chęć poznania i określenia tych różnobarwnych promieni, na jakie rozszczepić się musi pojęcie typu ogólnego, przechodząc przez pryzmat życia. Biorąc choćby historyę psychologii kobiecéj u nas, po przez prądy, które działały na kilka ostatnich pokoleń, znajdujemy bogactwo niezmierne materyału, który niemal nietknięty leży w starych książkach i w pamięci ludzi; z tego bogactwa wybrać pragnę część jakąś, dla scharakteryzowania wybitniejszych zwrotów téj ewolucyi, przez którą zrozumieć możemy niejedno drgnienie własnéj duszy, nie jeden objaw téj chwili, co z biciem serc naszych ubiega.

Skończonego wyrazu naszego ideału narodowego w jakiéjś jednéj postaci posągowéj szukamy napróżno w literaturze, nie mniéj jednak historya i życie ideał ten stworzyły, a rysy jego w duszy mamy wyryte... Żyje on w pojęciu, w tradycyi, w przykładzie, przesiąknął całe piśmiennictwo, choć go w klasycznéj doskonałości nie wyraziła ani poezya romantyczna, ani proza Kraszewskiego, ani powieść współczesna. Zaznaczano niejednokrotnie ten brak w naszéj epopei narodowéj, a odczuwamy go tem silniéj, im lepiéj pamiętamy postacie Księżny Izabeli, księżny Wirtemberskiéj, pani Klaudyny Potockiej, panny Tańskiej. Była w tych kobietach inicyatywa, był duch, widzimy wśród nich Polki, godne eposu. Z tego też motywu poczęły się i Grażyna i Rosa Weneda i Elsinoe i przecudny profil Dani z „Niepoprawnych" i Aniela Beniowskiego,—ale w oderwaniu od realnego tła wypadków ówczesnych, są one raczéj wyrazem abstrakcyjnym ideału odczutego przez serc tysiące. Możemy jednak wyobrazić sobie na tle codziennego życia tych czasów taką twarz o głębokiém spojrzeniu Salomei Becu, taką duszę pełną zapału i godności, z jéj pragnieniami zasługi dla męża, dla synów, nieustanną czynnością w domu, a bohaterstwem gdy potrzeba.

Jeżeli typ obywatelki *par excellence* nie zapanował wyłącznie w literaturze naszéj koło 30 roku, to tylko dla tego, że go zaćmił inny, jaskrawszy, więcéj bijący w oczy — typ heroiny romantycznéj, wspólny całéj literaturze europejskiéj tego czasu, traktowany

to wzniośle: Aldona, Marya, Laura; to ironicznie: Idalia, Sybilla Dafnicka. Po czasach pruskich, z których nam została Telimena i gorączkowem życiu księstwa Warszawskiego — nadszedł zwrot radykalny, który wychował Klementynę Tańską, Klaudynę Potocką, matkę Mieczysławską — a równocześnie Marylę, Ludwikę Śniadecką, panią Bobrową, Delfinę Potocką...

A nam téż nie był nigdy obcy ów typ kosmopolitycznéj papugi, począwszy od Telimeny i pań z „Salonów Warszawskich", a skończywszy na wielu naszych dodobrych znajomych... Wyrazem najwierniéjszym aspiracyi naszych prababek są dwie powieści pani Hoffmanowéj, w których znajdujemy skrystalizowanie najpopularniejszych ideałów epoki i całą galeryę typów z życia, ilustrującą znakomicie stosunki powszednie tych czasów.

A dla porównania z chwilą obecną, musimy, aż do prababek cofnąć się myślą, aby zmierzyć przebytą drogę i zaznaczyć najważniejsze na niéj etapy. Mało kto zwraca dziś uwagę, jaki dokument nieoceniony stanowi dla czasów pruskich „Karolina", a „Krystyna" dla Królestwa Kongresowego. Uważane pospolicie za przestarzałą, bardzo zacną i trochę nudną lekturę dla młodego wieku, mieć one powinny dla nas i mają właściwie zupełnie inną wartość, wartość materyałów historycznych, dając nam charakterystykę społeczeństwa w życiu codziennem. Nie jest to obraz artystyczny téj miary co powieści Rzewuskiego z końca Rzeczypospolitéj, bo na to zdobyć się może jedynie tak olbrzymi talent, jak autor „Listopada" ale właśnie prostota roboty bez żadnych pretensyi literackich, dały tym pracom kobiecym wielką szczerość i wielką dobitność charakterystyki.

Mamy więc u pani Hoffmanowéj typ Polki-obywatelki w całéj gamie odrębnych indywidualności: pani cześnikowa, kasztelanowa Połaniecka, Karolina, wykwintna pani Rawiczowa, rozumna Krystyna, gospodarna i prosta Celina, pełna marzeń i aspiracyi Aniela — to nie są modele, ideały z kartonu. W każdéj z nich czuć tętno życia realnego, bije w nich puls téj epoki, do któréj należą, choć ją nieraz wyprzedzają pojęciami. A obok ideałów, jakie przepyszne typy ujemne w rodzaju intrygantki Szambelanowéj, romantycznéj rozwódki Julii na tle Warszawy za księcia Józefa, malowanéj w żywych barwach pod wrażeniem świeżéj jeszcze tradycyi; wspomnieć dzieciństwa. A pokolenie następne: przesadzona Ludwika z głową zawróconą przekwitającym romantyzmem, zmieniona po zamążpójściu w pospolitą kumoszkę, albo Sabina, polująca na męża i te panny, które raz po raz umierają z miłości na suchoty, we-

dług wyobrażeń ówczesnych! Jest w téj galeryi typów kobiecych, obok kapryśnéj, a ślicznéj i uroczéj Zosi — jeszcze typ jeden, który niebawem staje się osią komedyi polskiéj i powieści obyczajowéj, pani Antoniowa typ *hic mulier*, zajmujący tak wybitne stanowisko w życiu i literaturze przez długie lata.

U Fredry samego znajdujemy go w kilku pysznych egzemplarzach od niezrównanéj Szambelanowéj, do młodziutkiej Klary, która już okazuje zacięcie do absolutnych rzędów. Wspólną cechą wszystkich odmian tego typu jest energia, stanowczość woli, przyzwyczajenie do władzy i wyrokowania apodyktycznie — a na tem tle występuje niesłychane bogactwo indywidualności, o rysach wybitnych, a zajmujących. Weźmy obok Fredry, Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Wilkońskiego, Wilczyńskiego. Mamy wprost całą literaturę pantoflową. Czy to, że emigracya wyciągnęła wszystko, co dzielniejsze za granicę, czy, że atmosfera dusznéj reakcyi nie sprzyjała rozwojowi charakterów — dość, że dziwnie odbija niedołęstwo, miękkość i potulność mężów wobec dzielności kobiet i to stanowi cechę charakterystyczną dla szóstego lat dziesiątka w kończącém się stuleciu. U Kraszewskiugo obok zamaszystych szlachcianek spotykamy i obywatelkę i zacną żonę i dobrą matkę bo w olbrzymiém jego dziele spotykamy wszystko. Ale u niego występuje już kobieta w innéj, demonicznéj postaci, staje się przyczyną cierpienia i szału, powodem wszech złego: sfinksem, aniołem śmierci. Potężna i wszechwładna podaje upajającą czarę miłości, ale z obojętnością żywiołu druzgocze życia, miażdży serca ludzkie, i wydziera szczęście téj drugiéj, słodkiéj, kochającéj, która jest pierwiastkiem ukojenia i ciszy.

Motyw Azy i Motruny dominuje w całém wielkiém dziele, a kładzie tragiczne swe piętno przedewszystkiem na młodzieńcze, najświetniejsze utwory Kraszewskiego.

Prawdziwym historykiem epoki jest Korzeniowski, sumienny badacz swego społeczeństwa, dyagnostyk i pedagog zarazem. Przez niego to głównie nauczyliśmy się kochać to pokolenie *virago*, te dziewczęta pełne charakteru, energii, inicyatywy, zdolne do kochania i do czynu, praktyczne i trzeźwe, a jednak z poczuciem zapału, dla wszystkiego, co miłości godne. Nadzwyczaj sympatyczne są te nasze babki u pisarza, który z pewnością nie idealizował rzeczywistości. Od niego dużo, bardzo dużo moglibyśmy się dzisiaj nauczyć, a mianowicie jak powinien wyglądać, a jak nie wygląda nasz świat „pracy organicznéj“, téj idei, nieznanej w swoim czasie, któréj on był tak wybitnym propagatorem, a która niebawem stać się miała

naszą tratwą w rozbiciu. Potrzebaby nam dziś takich kobiet-ziemianek; te zdrowe moralnie, a społecznie dodatnie typy muszą nas pociągać prostotą i jasnością linii, a podnosić duchowo atmosferą chrześciańskiej prawdy, w jakiej żyją.

A wśród nich objawia się po raz pierwszy kobieta-inteligencya, kobieta-dusza. Julie, Kamille, Urszulki żyją jeszcze, kochając, poświęcając się — gdy przychodzą entuzyastki. Prowadzi je kobieta, która umysłem genialnym i duszą płomienną przerasta wszystkie wywiera ogromny wpływ na współczesnych, zostawia ślad palący swéj myśli świetnej, głębokiej w dziele z wielkich odłamów niedokończonych, lecz mija, jak meteor, zapomniana przez drugie pokolenie, nie czytana prawie przez trzecie. Bo jest to fakt, mimo wydania dzieł zbiorowych z przedmową Chmielowskiego — młodzi, nawet wnukowie entuzyastek kultu rodzinnego dla Gabryeli nie rozumieją, a wytłomaczyć można ten objaw jedynie szybkiém nieprawdopodobnie szybkiém przestarzeniem się jéj formy i faktury.

Nowożytny człowiek o nerwach naprężonych, wychowany na plastycznych obrazach realizmu, przepłynąć nie może przez to bajeczne bogactwo określeń, zapytań, wykrzykników, dygresyi. A jednak Gabryela daje nam to, co jest w kobiecie tragiczną, subtelną, czującą duszą ludzką. Widzimy kobietę wewnętrzną, samą dla siebie, gdy zwykle przypatrujemy się jéj obrazowi odbitemu w pryzmacie męskiéj wrażliwości. Z kobiet piszących świetnie i głęboko nie wszystkie mają odczucie na tę psychologię wewnętrzną: dla Georges Elliota, Orzeszkowéj, baronowéj Suttner istnieją przedewszystkiem kwestye społeczne, dla Ouidy artyzm i tragiczna miłość, pani Adam żyje Helladą, Konopnicka nędze tego świata wyrzuca Bogu, którego kocha w szumie lasów, śpiewie słowika, we wnętrzu ciemnych katedr gotyckich i w słodkich twarzach Najświętszéj Panny u Prerafaelitów. Gabryelę, obchodzi nadewszystko dusza ludzka w kobiecie, tak, jak i panią Sand. Kobieta jest u nich bardzo niepospolitym człowiekiem, ciekawym we wszystkich drgnieniach serca; u Georges Sand wszakże olbrzymieje w kobiecego „*Uebermenscha*”, u Gabryeli jest wyrazem skupionéj w sobie inteligencyi i kryształowego uczucia. Żmichowska nie była wcale wielbicielką Aurory Dudevant, choć pod wpływem téj potężnéj umysłowości zostawało niewątpliwie. Spragniona „drogi, życia i prawdy” znajdowała u pani Sand jakby własne swoje szarpanie duchowe, mocowanie, burze, niepokojące pytania bez odpowiedzi, ale na tle temperamentu wręcz przeciwnego. Północną purytankę, któréj sercem władało przed innemi poczucie dumne godności kobiecéj, razić musiała głęboko i dotkliwie

ta szeroka, wrażliwa, instynktowa natura, z całą swą bujnością zachodnią i daltonizmem moralnym. To téż ideały kobiece Gabryeli nie przypominają wcale postaci pani Sand. Obok Poganki, demona w wielkim stylu, pokrewnego zresztą demonom Kraszewskiego, występuje u Gabryeli typ egoistki zimnéj, a egzaltowanéj, inteligencya o zastygłém sercu, wybujała na tle nowych, rwących aspiracyi: taką jest Marya-Regina z „Księgi pamiątek" i poniekąd „Biała Róża" — „myśli nazbyt rozwinięte szkodzą uczuciu". Odbija od tych kobiét niebiańskie niemal zjawisko, Helusia, dziewczynka-mimoza, która ma coś z Orcia i Litki Sienkiewiczowskiéj, złożona z uczucia samego i artystycznéj intuicyi. Jednakże wybranym ideałem poetki jest wielka, gorąca dusza. szukająca prawdy z całą bezwzględnością, z całą odwagą i zapałem neofitki, przytém dusza miękka o dźwięku harfy eolskiéj, kochająca głęboko, cicho, tragicznie, bo nie kochana. Kobiety téj miary spotykamy jedynie u Ibsena. Odczuć można po bliższém wniknięciu w te dusze, pokrewieństwo blizkie między taką Katarzyną Aleksandryjską („Kasia i Marynka") i Napoleonką Hołosko („Czy to powieść"), a Elą Rentheim z „Borkmana", amerykańską ciotką z „Filarów społeczeństwa" i córką doktora z „Wroga Ludu", między tą subtelną Ksawerą, co się kochała w poecie, a nowożytniejszą, lecz równie głęboką Szwanhildą w „Komedyi miłości". Wszystkie one kochają więcéj, dłużéj, niż same są kochane; idą tak przez życie nieznane lub opuszczone, lecz bez wyrzutu i skargi, z gorącém w duszy ukochaniem ideału, bogate własném uczuciem. A wyrazem najdoskonalszym tego typu jest cudowna postać Solveigh z „Peer Gynta", co z pieśnią na ustach czeka powrotu ukochanego lata i lata całe z ufnością niezachwianą i błogosławi to życie smutne, za samą nadzieję szczęścia, za te marzenia piękniejsze. niżby je kiedykolwiek ziścić mogła rzeczywistość. Zestawienie Gabryeli z Ibsenem wydać się może dziwne, ale to z powodu olbrzymiéj różnicy techniki pisarskiéj: jakbyśmy obok siebie widzieli Simmlera i Podkowińskiego. Gdy jednak pominiemy kwestyę formy, aby tém uważniéj studyować ducha, to odnajdziemy u Żmichowskiéj wiele poczuć, sensacyi, pragnień, które się dziś w inny sposób objawiają w modernizmie, u Ibsena zaś tak głębokie wykazują zrozumienie najdelikatniejszéj, najsubtelniejszéj duszy kobiecéj, tak bezpośrednie odczucie psychologii wewnętrznéj, jak u żadnego dotąd poety na świecie: jest to zdumiewająca intuicya, przy któréj analiza i dysekcya Bourgetowska robi wrażenie mrówczéj, benedyktyńskiéj pracy. Niektóre kobiety Ibsenowskie zbliżone są więcéj do entuzyastek

Żmichowskiéj, niż do bohaterek pani Georges Sand, z którémi je Lemaître porównywał.

Bywają dusze kobiece o liniach prostych i harmonijnych jak greckie świątynie, są i takie, jak kościół wiejski i jak wspaniały renesans, inne bogactwem motywów przypominają galerye mauretańskich pałaców — u Gabryeli dusze kobiece są gotyckie.

Wysnuła je ona ze swojéj, dała im piętno swego niepokoju i swego bólu. Jedne są wyrazem subjektywnym jéj uczuć, inne odbijają drogie rysy wybranych lub wymarzonych duchów bratnich, bo nie była odosobniona, wyciskała swe piętno i na duszach żywych w koło siebie, stała się ogniskiem, skupiającém promienie całéj konstelacyi, wyrażała swój czas, a raczéj to, co ten czas wydał najszlachetniejszego. Pierwszy to u naszych kobiet przebłysk poczucia sił własnych, pierwszy atak o udział w myśleniu samodzielném, o miejsce w pochodzie cywilizacyjnym ducha. Usiłowania jeszcze dyletanckie, ale tak świetne inteligencyą, tak promienne i śmiałe, że zazdrościć musimy takiego przebudzenia i takiego wschodu nowéj idei.

W całym ówczesnym ruchu entuzyastek było dużo jeszcze pozy romantycznéj, dużo efronteryi dziecinnéj wobec opinii publicznéj, ale było przedewszystkiem zrozumienie konieczności stanięcia umysłowo o własnych siłach, skoro w mężczyźnie nie znajdowało się téj podpory, jakiéj z całém zaufaniem radzi szukać Hoffmanowa. W ten sposób sama Żmichowska charakteryzuje ów pierwszy okres walki o emancypacyę...

Potém przyszedł rok 70-ty.

Wojna francusko-pruska stała się słupem żelaznym na granicy wielkich przemian duchowych XIX wieku.

Dla naszego społeczeństwa ta data zaznacza wyraźnie przełomową chwilę — coś runęło w przeszłość, dopiéro wtedy sposób radykalny i niezbity poczuliśmy się sami, własnym jedynie zostawieni siłom. Od tego téż czasu zaczynają się układać te warunki ekonomiczne i nadchodzą te prądy umysłowe, które nas, pokolenie ostatnie — wychowały. Bezpośrednio po roku 70-tym, a na pokolenie, które wtedy nadrasta, na te serca młode z tradycyą widzianych w dzieciństwie obrazów, spada filozofia pozytywna, naturalizm, determinizm...

Na Zachodzie był to ruch tak potężny, tak wstrząsający wszystkiemi objawami ludzkiéj myśli, że dotąd jeszcze, choć inne już piętrzą się prądy, spychając ten — w przeszłość, ani mocy jego, ani wpływu, ani rozmiarów, nie dosięga żaden. Skutki jego trwają nieo-

bliczone i nieobliczalne: olbrzymi rozwój techniki wszelkich umiejętności, wzrost potęgi materyalnéj, a z drugiéj strony destrukcyjne działanie filozofii racyonalistycznéj. Ta sama doktryna, która naukę popchnęła o krok olbrzymi naprzód, stworzyła pyszną literaturę i zostawiła imponujące ślady w sztuce — kładła wyznawcom swoim w usta tę głęboką skargę „*Dafür ist mir auch alle Freud' genommen*".

U nas — ani tak świetny w czynach, ani tak rozkładowy w działaniu, bo nie ogarnął mas szerokich — miał pozytywizm tę istotną zasługę, że określił i podniósł wysoko ideał twardéj, żelaznéj pracy, skupiając koło tego sztandaru młode siły... Ale równocześnie otwierały się horyzonty pracy naukowéj i społecznéj, a spodziewano się od nich tyle! W takiéj atmosferze dojrzewała Orzeszkowa i Konopnicka — i na tę właśnie chwilę przypada druga faza emancypacyjnego pochodu naszych kobiet.

Entuzyastki podjęły teoretyczne części zadania; otaczał je pewien urok poetyczności, rzucały więc śmiałe myśli, szczęśliwe przyjaźnią wspólną, poczuciem swéj wyższości i swą idealną filozofią. Kobiety, które przyszły po nich, miały cięższe chwile.

Nie chodziło już bowiem o rozprawy przy kominkowym ogniu, o apostołowanie pięknych idei; ale o kawałek powszedniego chleba, o przyjęcie wszystkich konsekwencyi samodzielnego życia, o twardą żelazną pracę i to pod pręgierzem nieprzychylnéj opinii. Wątpliwości filozoficzne, szarpanie wewnętrzne, utrata prostéj, gorącéj wiary, ciężkie przejścia moralne, towarzyszą tym wysiłkom emancypacyi ekonomicznéj. Ile głębokich dramatów kobiecéj duszy spoczywa gdzieś w niepamięci! Na tém tle można zrozumieć bluźniercze wybuchy Konopnickiéj i zimną, zamkniętą w sobie, surową obojętność Orzeszkowéj, z czasów „młodości górnéj, chmurnéj".

Ten moment psychologiczny, to wrzenie gorące i rewolucyjne w kobiecie, tego czasu wyraził w dramatach swoich Świętochowski („Piękna", „Ojciec Makary", „Niewinni"); jest w kobietach jego odwaga dochodzenia do konsekwencyi ostatecznéj każdéj idei, bez względu na rozterkę wewnętrzną i tragiczny konflikt z otoczeniem.

Jednakże równolegle z tym wybuchem gwałtownym uśpionych dotąd dążeń niezależności i swobody myśli, rozwijał się wśród naszych kobiet prąd inny, na gruncie katolickim, religijnym, nieprzerwanie od Hoffmanowéj aż do dni naszych z panią Duchińską. Deotymą, Krakowową, J. M. Zaleską i całym szeregiem wybitnych wychowawczyń, dzielnych pracownic, gorliwych obywatelek. Długim sznurem ciągną się nazwiska znane kilku pokoleniom młodzieży, wymawiane z serdeczném uczuciem, które zawsze towarzyszy wspo-

mnieniom z lat dziecinnych. Przez nie zakwitła literatura dla młodego wieku, one wprowadziły w czyn wiele pożytecznych przedsięwzięć, wiele dobrych ziarn rzuciły w młode serca. Obce wstrząśnieniom niepokojących zagadnień, stojąc na gruncie wiary i pobożności, nie szły z najśmielszemi umysłami rozbijać się o problemy prawdy i nieskończonéj tęskoty, ale umiały uprawiać swój zagon pilnie i rozumnie, przyczyniając się do postępu sprawy kobiecéj i innych, w sposób praktyczny. Kierunek ten pociągnął natury refleksyjne, czynne, zdrowe, kontemplacyjne zaś i skłonne do ekstazy, o ile nie poszły przodować wśród „niezależnych myślą, stworzyły sobie inne ujście przez egzaltacyę religijną, opartą o „Naśladowanie", przesiąkniętą wysokim ideałem ciągłego doskonalenia się.

Z tego ducha wyrosły „Niepokalanki", założone przez panią Darowską, ten duch wieje od działalności pani jenerałowéj i panny Zamojskiej w „Kuźnicach", na tym podkładzie rozwinęła się niejedna delikatna dusza i subtelna inteligencya. Pierwszém w kraju ogniskiem, około którego skupiły się aspiracye zdobycia wiedzy, chęci szerszego wykształcenia dla kobiet — były kursa ś. p. Adryana Baranieckiego, inicyatora i niestrudzonego krzewiciela téj myśli. Był to jakby pierwszy wyłom w dobywanéj fortecy, w pierwszych latach swego istnienia miały te kursa istotnie znaczenie uniwersytetu kobiecego, otwierały nowe horyzonty; późniéj, gdy poziom wykształcenia średniego podniósł się ogromnie we wszystkich zakładach naukowych, kursa zajmowały wśród nich zawsze wybitne miejsce. Na ten czas po roku 70-tym, przypada także pierwsza fala studentek zagranicą i w Petersburgu, tych studentek z obciętemi włosami, wśród strasznie ciężkich warunków egzystencyi, których los kreśli Orzeszkowa w swojém studyum o „Kobiecie" z przed lat kilkunastu.

Ruch ówczesny odbywał się na podkładzie ekonomicznym walki o pracę zawodową, z bardzo silném, wyraźném zabarwieniem społeczném Dominującą jego cechą była miłość dla wzgardzonych, ciemnych, uciśnionych, współczucie gorące i chęć wspólnéj obrony, wspólnego dorabiania się praw egzystencyi.

Program ten zrodził się na północy w uniwersytetach rosyjskich i szerokiemi rozszedł kręgami przez studentów i studentki, miał w sobie siły dużo i wyłączności, tak, że wyciskał na adeptach swoich piętno pewnéj specyalnéj cywilizacyi, pewnego skupienia w kierunku ściśle określonym z pożytkiem dla wyznawanéj idei, ze szkodą dla wszechstronnego rozwinięcia umysłowego. Prąd ten oparł się o Warszawę i obrał w niéj stałą siedzibę, ale wymieniwszy

się na drobną monetę ogarnął pensyę i odbił się w „Emancypantkach" Prusa. Emancypacya naszych matek, twarda, borykająca się z trudem, i smutna jak konieczność, przebyła samodzielnie te drogi myśli, któremi następne serye emancypantek nie przestają chodzić z przyzwyczajenia, a z tém przekonaniem że codziennie odkrywają Amerykę. Utarte formuły, utarte zwątpienia, utarte o postępie frazesy, a postęp ten tak zaśniedział, że zdrowy krytycyzm ustępuje przed słowami „wiedza przyrodnicza", „społeczeństwo" w całéj deklinacyi „niezależność kobiety". Słowa te działają tak jak „tabu" u Murzynów, mimo proklamowanéj głośno swobody myślenia, bo ta, ograniczona jest całym sztabem powag, na które się przysięga w trudniejszych wypadkach. Takie wrażenie ogólne o tym ruchu wynieśćby można ze znakomitéj téj powieści głębokiego pisarza, gdyby pewne karykaturalne zacięcie nie nadawało jéj cech lekceważenia, które cieszy jednych, innych oburza, a w rezultacie zmniejsza znaczenie téj dyagnozy kobiecego ruchu, wśród teraźniejszych i przyszłych pensyonarek. Pani Latter jest wspaniale traktowana, ale typ to raczéj ujemny odnośnie do pokolenia Orzeszkowéj. Naiwna, przenaiwna Madzia nie wyraża téż charakterystycznego typu społeczniczki nowego pokroju, panna Howard jest już poniekąd parawanową figurą z historyi emancypacyi po całym świecie; tak więc to, co właściwie historyę dwóch pokoleń stanowi nie wychodzi dośc ostro, jasno, i wyraźnie w postaciach pierwszoplanowych. Mimo tego, znakomicie wypadła ogólna charakterystyka umysłowego stanu tych panien, wychowanych na pozytywizmie, co filozofię swoję biorą z drugiéj, jeśli nie z dziesiątéj ręki.

Najlepsze intencye, najgorętsze porywy, najszczersza chęć wiedzy wszystko to marnuje się przez brak samodzielności w myśleniu: stąd panowanie frazesu, który „jak miedź brzęcząca i cymbał brzmiący" zagłusza wszelką samoistność, stąd zastój cywilizacyjny całéj téj generacyi, przeżywającéj dziś duchowy dorobek poprzedniego pokolenia. A może byłby już czas na reakcyę: smutny bowiem jest los wszelkich epigonów, a można tak samo zesztywnieć w formie klasycznéj, jak i w romantycznéj, tak samo w duchu metafizycznym, jak i w pozytywnym. I tylko poczucie łączności żywéj z tą chwilą, która będzie jutro, odmładza wiecznie.

Z prądem świeżych uczuć i nowych ideałów przychodzi odrodzenie umysłowe, ale wtedy jedynie, gdy przygotowana jest rola pod bujną wegetacyę. Ta warszawska atmosfera ma jakby wybrane warunki do przyjmowania szybko nowych prądów; ale to całe nieszczęście, że w zetknięciu z nią, każdy prąd nowy zamiast wstrzą-

snąć umysłami i porwać je swą siłą, sam doznaje modyfikacyi: rozstrzela się, schodzi na usługi mody, zaczyna żyć ogólnikami i wchłania w siebie całą technikę wielkich słów, technikę swego poprzednika. To téż ponad chwilowemi zwrotami upodobań i myśli w różnych kierunkach, króluje stale tylko ten prąd, który był najsilniejszy, więc jeszcze wpływ wywiera, choć należy do dnia wczorajszego, choć spełnił swą rolę i co mógł najlepszego już wydał. W młodości swéj z płytkością i frazesem walczył na ostre, ale w miarę wyczerpywania się, zaczął im ulegać i został wreszcie przez nie opanowany.

I oto fakt niezaprzeczony: gdy głębsze umysły inicyatorów tego prądu doszły do wyrobienia sobie bardzo samodzielnych poglądów filozoficznych i trafiły swoją własną drogą do jakiejś prawdy religijnéj i życiowéj, gdy taki Prus przez usta profesora Dębickiego daje wyraz swéj afirmacyi, te młode głowy pensyonarskie i studenckie gubią się w zupełnym chaosie. Biedne Ady, biedne Joasie, biedne Madzie ze swymi braćmi! Ich edukacyę moralną i filozoficzną pozostawiono im samym, nie dając żadnych podstaw do samodzielnéj pracy w tym kierunku, natomiast umysły z natury słabe, przez gimnastykę intelektualną doprowadzono do przyjęcia wykształcenia, przewyższającego znacznie ich inteligencyę. Dotąd była to historya wielu zwichniętych chłopców, obecnie staje się historyą „emancypantek". Umysły wybitniejsze znoszą lepiéj tę kulturę, niż Ada i Madzia i one to stanowią podstawowy zastęp armi emancypacyjnéj, którego nam u Prusa brakuje. Te dwie panienki stoją na jednym krańcu łańcucha, a p. Howard na drugim. Środek zajmują osoby, ani tak naiwne, ani tak śmieszne i krańcowe: wykształcenie mają nieraz znaczne i pracują bardzo porządnie. Stempel téj saméj szkoły znać na nich jednakże w sposobie traktowania „sprawy kobiecéj" z uroczystą powagą, w pewném, stylowém już zacieśnieniu horyzontu i w charakterystyczném zadowoleniu z ważności swéj roli społecznéj.

Uderzającym rysem dla czasów pani Latterowéj są przykre kolizye małżeńskie. Kobiety tego pokolenia dobremi żonami nie bywają dość pospolicie. W mężczyźnie po epoce pantoflowéj budzą się autokratyczne popędy, któremi chce zahamować niepokojący już ruch ekonomiczny kwestyi kobiecej. Żenią się jeszcze ludzie powszechnie, dużo więc kobiet wychodzi zamąż ze zwyczaju, bez uwagi na dobranie się duchowe. Jestto czas przejściowy: kobieta niezadowolona z małych praw przy dużych aspiracyach, czująca się już na siłach zapewnienia bytu swą pracą, zrywa nieraz pęta nieod-

powiadających jéj związków, nieraz znosi je *tant bien que mal*; ale od sakramentalnéj uległości daleka, z poczuciem czy to wyższości swéj, czy odrębnéj logiki, zaznacza dobitnie swoje niezadowolenie. Niebawem jednakże, pod wpływem nowych prądów, nowych zapatrywań na kwestyę kobiecą stosunki układają się inaczéj i po tym okresie przejściowym, następuje nowa era w dziejach rodziny.

W przeciągu téj ćwierci wieku wielka ewolucya ekonomiczna przewróciła od góry do dołu prawie wszystkie nasze stosunki społeczne, ale przedewszystkiém odbiła się na życiu wiejskiém. Przejście tak radykalne od łatwiejszych warunków bytu do zachodniego niemal tempa wymaga pracy, konkurencyi, produkcyjności, przy równoległem wzrastaniu potrzeb, kosztowało wiele smutnych doświadczeń. Patrzeliśmy na ruiny dużych fortun w nieprawdopodobnie krótkim czasie, z powodu niezdolności do prawidłowego rozwoju według gospodarczych zasad nowoczesnych. Widzieliśmy téż przykłady przystosowania się do życia na zmienionym gruncie, nagięcia do warunków i potrzeb chwili, a odbywało się to względnie szybko na dwóch następujących po sobie pokoleniach i zostawiło ślady głębokie w psychologii tych ludzi. Zeszła się więc teorya ewolucyi i walki o byt z demonstracyą praktyczną na tle naszych stosunków: przystosowywanie do okoliczności odbywa się ciągle, według ścisłéj, reguły naukowéj i przekształca naszą społeczność od urządzenia domu, aż do pojęć popularnych. Troska o chleb powszedni, nieznana dawniéj w téj mierze na wsi, wyrobiła kult dla praktyczności, będącéj ultimatum egzystencyi i postawiła na pierwszém miejscu niepokojące pytanie: „być albo nie być"—w znaczeniu materyalném. Wszystkie zresztą inne okoliczności: wzrost dobrobytu w miastach, dochodzenie pracą do znacznéj fortuny pieniężnéj na kresach cesarstwa, rozwój przemysłu na dużą skalę, rozpostarcie jednostajnéj kultury europejskiéj, równie jak pamięć przeszłych zawodów, wreszcie realizm w życiu, sztuce i literaturze, złożyły się na wyrobienie u nas nowych ideałów. Ideały te opierają się z jednéj strony o głęboką myśl odrodzenia moralnego i ekonomicznego przez długą, cichą pracę, ale drugim krańcem graniczą z ciasném, egoistyczném zadowoloném z siebie filisterstwem. Mieści się między temi punktami widzenia wiele stopni pośrednich, ale niestety—żadne przeciwieństwo jaskrawe i bijące w oczy nie rozdziela tych dwóch krańców, tak różnych pod względem wartości etycznéj i społecznéj; to też nieraz oba podciągane bywają pod jeden sztandar! „*Eheu* smutno!". I przy rozszerzeniu pola pracy produkcyjnéj, przy podniesieniu stopnia oświaty przeciętnego szlachcica, przy znacznym rozwoju krytycy-

zmu i wobec nowych horyzontów naukowych — nie podniosła się wcale atmosfera duchowa, bo ją zacieśnia i przytłacza codzienna proza życia, które straciło już ostatnie odblaski romantyzmu, a niema jeszcze warunków do rozwinięcia działalności publicznéj na szerszą skalę. Ten kierunek wychował sobie pewien przeciętny typ kobiecy, bardzo powszechny, a przystosowany do takiego życia, które nie rozlewa się szeroko, ani głębokiém płynie korytem. A gdy praca społeczna wciągnęła w swe koło znaczną liczbę kobiet samodzielnych, to natomiast ten zakres obywatelskości czysto kobiecéj, jakiego żąda Hoffmanowa, coraz mniéj wybitnie występuje, coraz bardziéj przechodzi w zacieśnioną formę interesów rodzinnych, według wzoru francuskiego. Ze zmianą stosunków zanika niemal w użyciu współczesnych ten piękny i charakterystyczny wyraz „ziemianka“ na oznaczenie stanowiska, które na myśl przywodzi tyle serdecznych i blizkich obowiązków. W ostatnich czasach i w niektórych okolicach budzi się między młodemi kobietami pewna reakcya przeciw téj obojętności, ale jakże często nie możemy dostrzedz wśród sympatycznych, anielskich i anielkowatych Polek, ani śladu inicyatywy.

Najpopularniéjszym ideałem ostatniéj doby stała się stanowczo Marynia Połaniecka. Jest ona wyrazem i wzorem naszéj panny wiéjskiéj, typem tak skończonym w swoim rodzaju i tak odpowiadającym rzeczywistości, że w odmianach nieznacznych odnajduje go się codziennie ze wszystkiemi zaletami, które stanowią wielką jéj wartość etyczną i z tą samą biernością, pod względem społecznym, co charakteryzuje najmłodsze pokolenie kobiet polskich z téj sfery. Marynia jest inteligentna; ma delikatne, kobiece zrozumienie wielu rzeczy: odczucie na artyzm Zawiłowskiego, na gorące, zacne serce Świrskiego. Jednym z głębszych jéj rysów jest nawet przywiązanie do ziemi, do wsi rodzinnéj; za panieńskich czasów zajmowała się energicznie gospodarstwem, interesowały ją żywo sprawy, poruszane w poważnéj rozmowie przez pana Jamisza. Wyszedłszy za mąż, z pewnością tych pojęć nie zatraciła, ale w indywidualności jéj zacierają się odtąd wszystkie rysy, oprócz tych, co tworzą idealnie dobrą żonę. Cały świat już widzi w mężu, nie chce mieć większych od niego ambicyi, ani innych pragnień, zamyka się w swéj uroczéj bierności, która stanowi *das ewig weibliche* i ani jedném słowem nie poddaje myśli odkupienia wsi rodzinnéj, ani jedném życzeniem szerszéj pracy społecznéj dla męża nie wybiegnie po za ramy tego życia, jakie on jéj stworzył. To, co za najbliższe obowiązki uważa, spełni z nieporównanym wdziękiem i słodyczą: będzie troskliwą, kochającą, rozumną matką, bardzo dobrą panią dla domowni-

ków, serdeczną przyjaciółką i to jéj do życia wystarczy. Interes jéj dla spraw ogólnych będzie się ściśle stosował do stopnia interesu obywatelskiego męża: jego inicyatywę odczuje i pochwali, ale jéj nie obudzi sama, choć zyska wpływ ogromny, właśnie przez dobroć swą, poczucie taktu i brak egoizmu.

Obok Maryni grupują się: pani Emilia, Bigielowa, Śniatyńska, Przerwicowa z „Anioła Śmierci“, Helena z „Fermentów“, cała galerya idealnych żon i poświęconych matek: jeden hymn na cześć rodziny. Tylu małżeństw szczęśliwych i dobranych nie widziano już dawno w życiu i powieści; musiały zatém jakieś ogólne przyczyny spowodować ten objaw, a zarazem wychować taki typ kobiety, jaki najlepiej odpowiada rodzinnéj atmosferze. I choćby to miało na paradoks wyglądać, największą zasługę w tym względzie przypisać należy emancypacyi.

Nie domyśla się wielu piorunując na „emancypacyjne zachcianki“, że ten prąd rozlał się tak szeroko i faktycznie przeniknął już pojęcia popularne całego społeczeństwa.

Emancypacya dając kobiecie wybór między wyjściem za mąż a niezależnością, stworzyła tém samem możliwość małżeństwa „z wolnéj i nieprzymuszonéj woli“. Ideałem zaś stało się małżeństwo z miłości i oto już pierwszy warunek. Wychowanie staranne, rozwinięcie umysłowe przygotowało kobietę do przyjęcia obowiązków rodzinnych z całém zrozumieniem ich ważności.

Z drugiéj strony zmieniły się okoliczności: pracy zawodowéj wymaga dziś konieczność, a zdobywania wyższéj wiedzy tak dalece nikt bronić nie myśli. To, co dla pierwszych pionierek niezależności było celem gorących usiłowań, dziś staje się udziałem wielkiéj liczby kobiet, wśród których obok jednostek wyrobionych duchowo i świadomych swoich pragnień, znajdują się i takie, które o samodzielności myślą z obawą, jeśli nie ze wstrętem. Byłoby to przekonanie zbyt optymistyczne, gdybyśmy przypuszczali, że rodziny zakładają się już jedynie na zasadzie duchowego zrozumienia i prawdziwéj miłości w myśl wybornego zdania pewnéj rozumnéj niemki, która mawiała córkom: *Heirathet nur wenn ihr so vernarrt seid, dass ihr das Heirathen gar nicht lassen könnt. Denn die Heirath als Versorgung das ist Unsinn.* Tak jeszcze nie jest i kto wie, czy będzie kiedy. *Heirath als Versorgung* bardzo dużą odgrywa rolę w ekonomii życiowéj. Ale coraz trudniéjsze warunki bytu ograniczają liczbę małżeństw, pospolicie więc konkurentów nie liczy się na tuziny i jaka taka panna wychodząc za mąż za tego jedynego, którego jéj przeznaczyła Opatrzność, nie traktuje go z góry, jako „pierwszego lepszego“, bo wątpi

czyby się „drugi lepszy“ znalazł wogóle. Stało się, bądź co bądź, to co tak złośliwie przedstawił Prus w karykaturze panny Howard: różni Mydełkowie (mogą być zresztą młodzi i przystojni) w wielkiéj są cenie, a kobiety z których każda umiałaby sobie radzić w życiu przekładają dobrowolnie „wiarę, miłość, uczciwość i posłuszeństwo małżeńskie”. Emancypacya oddziałała zatém w sposób dwojaki na kwestyę matrymonialną, z jednéj strony wyrobiła głębsze zapatrywanie na małżeństwo z miłości i z przekonania, z drugiéj zaś wpłynęła na podniesienie w cenie tego życia rodzinnego, które, z powodu warunków materyalnych nie wszystkim dostaje się w udziale, nabiera więc coraz bardziéj uroku rzeczy niepowszedniéj, trudnéj do osiągnięcia.

Gdy „Emancypatki“ dały nam poznać aspiracye społeczne pewnego odłamu kobiet, a „Rodzina Połanieckich“ stosunki obywatelskie i świat zamożnéj inteligencyi, to na klasycznym gruncie polowania na męża znajdujemy się w „Siostrach Malinowskich“ Alfreda Konara. Wyborne to studyum psychologiczne wprowadza nas w atmosferę średniéj burżuazyi warszawskiej, jest to sam kwiat filisterstwa na tle istotnéj troski o byt powszedni. Zdobycie mężów dla córek stanowi tu warunek *sine qua non* utrzymania „pozycyi“, dla któréj życie całe znosiło się trudów tyle i pracowało z wysiłkiem prawie nadmiernym. Ta „Mama Malinowska“ jest jako typ wprost niezrównana z całą genialnością oszczędności groszowéj, ze swym sprytem kupieckim i ze wszystkiemi meskineryami zaradnéj kumoszki. Siostry Malinowskie to dzieci Warszawy *jusqu'au bout des ongles.*

Co za finezya, co za poczucie ducha czasu, jaka trzeźwość i jaki zmysł oryentacyjny! Każda w swoim rodzaju jest tak wystylizowana na ideał bieżącéj chwili, że służyćby mogły za czuły galwanometr do wskazywania prądów, jakie w okresie kilkunastoletnim przebiegają przez gust publiczności. Jestto wprawdzie tandeta, ale jak łudząco, jak misternie podrabiana: naiwność poetyczna, inteligencya subtelna, weryzm i wagneryzm, trzy serye stosownie do wymagań najświeższéj mody, a to wszystko na tle takiego szyku, takiéj zręczności wrodzonéj, prawdziwe *articles de Varsovie.*

Nie byłaby ta powieść tak doskonałém odbiciem myśli współczesnéj, gdyby nie przenikała jéj najpopularniejsza idea chwili, wyrażona tak silnie w zakończeniu apoteozą rodziny. Jeżeli jest szczęście to jeszcze tam — i tam jedynie w poczuciu pożytecznego i czystego etycznie żywota, jeśli zaś szczęścia absolutnego rodzina nie daje, czy to z powodu niedoskonałości wszystkich rzeczy ludzkich,

czy też dla własnych człowieka win, błędów i zboczeń, to przynajmniéj stanowi tę zasadę dla któréj żyć warto. Tak mówią nam kolejno trzy utwory powieściowe z lat ostatnich. „Rodzina Połanieckich“, „Siostry Malinowskie“ i „Fermenty“.

Na tym dogmacie życia rodzinnego opiéra się cała budowa naszéj filozofii popularnéj w obecnéj chwili; jest to naturalny i logiczny wynik wszystkich przejść duchowych i materyalnych społeczeństwa od lat kilkudziesięciu: doprowadziły one do skupiania i zogniskowania wszystkich niemal sił żywotnych w tym jedynym organizmie społecznym, który ma wszelkie dane do pełnego i normalnego rozwoju. Gdy profesor Waskowski mówi nam o wcieleniu idei Chrystusowéj w dzieje narodów i o cywilizacyjnem posłannictwie „najmłodszych z Aryów“, to przyjmujemy te idealne, a promienne wywody za złudzenia słodkiego człowieka o niebieskich oczach, które inne pamiętają czasy i nad wielkiemi sprawami wiele łez wylały.

Nie liczymy się z tém na seryo, mimo najszczerszych chęci nie umielibyśmy wzbudzić w sobie takiéj prostéj i żywéj wiary, choć lubimy słuchać téj muzyki lat minionych, zdaje nam się jakby „echo grało“. Ale o chrześcijańskiéj prawdzie, o chrześcijańskiéj zasadzie rodziny nie zwątpiliśmy ani na chwilę. Wierzymy w możliwość najszlachetniéjszego charakteru, najszczytniéjszego poświęcenia, najserdeczniéjszéj dobroci, najstalszéj cnoty, najgorętszego serca na tle téj drobnéj społeczności, którą zbudowała miłość, a przejął duch Chrystusowy.

Wśród rozbicia prądów umysłowych, programów, haseł, wśród przygnębienia, które w nas pogłębia każda zawiedziona nadzieja, wśród tęsknego i umęczonego poszukiwania dogmatu, jest rodzina chrześcijańska tym ideałem, którego za chmurami szukać nie trzeba, ideałem, który wcielić można w życie. Na téj niwie ziarno Ewangielii wydało najobfitsze plony; jest to nasza wielka afirmacya jedna z nielicznych, które się ostały przed niszczącym powiewem hyperanalizy i sceptyzmu, a może ona być podstawą odrodzenia moralnego i ekonomicznego rozwoju społeczeństwa.

Ale istnieje typ rodziny, opartéj na dobrém małżeństwie, wzorowéj, która, mimo to, nie odpowiada obowiązkom gorliwéj służby społecznéj, typ z Zachodu do nas importowany, a zastępujący z biegiem czasu szerokie pojęcie staropolskie familii.

W chwili kryzysu ekonomicznego, rozwinęła się pewna samodzielność dzieci, które konieczność zmusiła do liczenia na własne siły. Wszelka emancypacya zaczyna się od niezależności pieniężnej. Wyszło z tego pokolenia dużo ludzi dzielnych, dorobili się majątku

i znaczenia, inni przeszedłszy twardą szkołę, zdobyli sobie pewne utrzymanie, inni przekształcili w duchu czasu gospodarkę na wsi rodzinnéj, którą tém uratowali, wszyscy zawdzięczają egzystencyę lub dobrobyt własnéj pracy.

Ludzie ci przyzwyczaili się mówić dużo „o błędach ojców“, uważać się za trzeźwo myślących, a cały zapas idealnych uczuć i sentymentalizmu wrodzonego koncentrują w życiu rodzinném. Własne przejścia mogłyby im dać pewne wskazówki, co do wychowania dzieci. Dzieje się coś wprost przeciwnego. Pamiętni swych trudnych początków, całą myśl, całą pracę wytężają ojcowie na to, aby ich swoim dzieciom oszczędzić. Życie „dla dzieci i przez dzieci“ jest dewizą, a pragnieniem zabezpieczenie każdemu z dzieci przyszłości o tyle, aby jak najmniej potrzebowało pracować. Nie tylko wychowanie najstaranniéjsze, najczulsze, jest przedmiotem wszystkich usiłowań rodzicielskich, ale za obowiązek niemal pierwszorzędny uważane bywa zapewnienie dzieciom wygód, dostatku, przyjemności, choćby to trudem okupić przyszło. Rodzina chrześciańska wychowuje dzieci dla Boga, dla kraju, dla bliźnich, do pracy i trudu; dzieci w jéj idei, nie są celem, ale pomocą, rodzina nowego typu cały ciężar trudów i obowiązków składa na barki rodziców, którzy mają żyć dla dziecka jedynie, dla jego przyszłości, jego szczęścia. Jestto system francuzki doprowadzony tam do *maximum* w kierunku materyalnym, przez uświęcony tradycyą i siłą opinii publicznéj obowiązek, zebrania posagu dla każdego dziecka. Na gruncie naszym objaw to względnie nowy, charakterystyczny dla pokolenia, które wzrosło samo wśród walki o byt i zupełnie innym warunkom zawdzięcza swoje wyrobienie. To może największa różnica między systemem francuskim, a naszym, że tam oszczędność z praktycznością w parze, wysila się na złożenie pieniędzy dla wyposażenia w dzień ślubu syna, czy córki, u nas przy atawistycznéj żyłce do życia nad stan, wszystkie dochody ludzi zamożnych obracane bywają po większéj części na zapewnienie dzieciom komfortu i największéj sumy przyjemności. Rodzina tego pokroju, o tyle ceni społeczeństwo, o ile ono może coś dać jéj dzieciom; więcéj ma od niego wymagań, niż dla niego obowiązków; z jéj stanowiska wydawanie pieniędzy na cele użyteczności publicznéj, nie jest właściwie dozwolone, jako uszczerbek majątku, co stanowi własność dzieci.

Dlatego też ewolucya rodziny w tym kierunku jest dla nas bardzo poważném niebezpieczeństwem, bo tę jedyną sferę, w któréj rozwijać się może myśl szersza i duch obywatelski, przejmuje swém tchnieniem egoizm rodzinny, ze wszystkich najwyłączniéjszy, z téj

racyi, że się sam cnotą mianuje. Jeśli zatem rodzina taka daje cel w życiu i szczęście jednostkom, to z punktu widzenia naszych interesów ogólnych stanowi wartość ujemną. Nie możemy jeszcze przesądzać na jakich ludzi wyrosną te dzieci chowane starannie, ale miękko i delikatnie, to tylko pewne, że nie staną tak przygotowane do walki o byt jak ich ojcowie, co przeszli samodzielnie szkołę życia. A mamy przed sobą do rozwiązania problem egzystencyi materyalnéj i cywilizacyjnéj, po prostu być, albo nie być. Pomocniczych środków żadnych, niebezpieczeństw i trudności wiele; liczyć możemy jedynie na dzielność osobistą, na inicyatywę prywatną, na wyrobienie pracowników wytrwałych. Takich ludzi nie wychowuje atmosfera adoracyi rodzinnéj, dla któréj dziecko jest środkiem świata. Dopiero co konieczność popchnęła do samodzielności, do próbowania sił własnych, do jedynego kierunku, co może przynieść zdrowie społeczne, a już następuje zwrot z téj drogi!

Nietylko jednakże chodzi o zahartowanie dziecka do życia, jakie go czeka na niwie naszéj, ale i o stworzenie koło niego duchowéj atmosfery, któraby tchnęła miłością wielkiego celu, wielkiego ideału. Zacieśnianie umyślne widnokręgu dla tém gorliwszego spełniania obowiązków macierzyńskich jest poprostu niezrozumieniem zadania. Rozwój duchowy i umysłowy dziecka zależny jest przedewszystkiém od rodzinnego życia, szerokiego w poglądach ibogatego w uczucia... Rozszerzyć widnokrąg po zarodziną, to nie znaczy rodzinę opuścić duchowo,— przeciwnie — to wprowadzić ją w koło dążeń wyższych, to stworzyć dla niéj atmosferę bujniejszego, bogatszego życia, to obudzić szlachetną ambicyę działalności najpełniejszéj, na jaką sił starczy. Kobieta, która czuje dużo i czuje głęboko w najciaśniéjszych nawet ramach stosunków wiejskich i prowincyonalnych—stworzy w domu życie, zamiast wegetacyi roślinnéj lub mechanizmu bezdusznego porządnych automatów. Stworzenie tego życia duchowego — to właściwie najgłówniéjsze zadanie wychowania; nie można po nad to dać dzieciom nic cenniéjszego — w tém cały sens istnienia. Ogromna, niczém nie zastąpiona wartość ogniska rodzinnego, jego wpływ na całą przyszłość, zależą od téj atmosfery, przenikającéj wszystkie zakątki wrażliwości dziecięcéj.

Otóż z tą kwestyą w najściślejszym związku zostaje ten typ kobiecy, którego ideałem jest Marynia Połaniecka. Ona sama, taką atmosferę ciepła i szlachetności wytworzy niewątpliwie na tle Krzemieńca, który kocha przy mężu rozumnym; choć nie wprowadzi w to życie wielu pierwiastków osobistéj inicyatywy, ale bo też nawet z pewną biernością swoją jest ta Sienkiewiczowska Marynia du-

żo głębsza i wyższa duchowo od swéj przeciętnéj kopii. Urodził się jednak klasyczny dla tego typu kobiet malarz, któremu zawdzięczają skończony wyraz swéj istoty. Gdy poznajemy te ładne i miłe osoby mamy wrażenie, jakbyśmy przeglądali album główek kobiecych Stachiewicza — tak wszystko jest wdziękiem i słodyczą, tak nic nie liczono na głębszy wyraz. I właściwie dopiero te kopie *à la* Marynia doprowadzają bierność swą do ideału, a rozkochanie w dzieciach do zupełnéj, doskonałéj obojętności na wszystko inne.

A jednak ten dwór polski, jeżeli tradycyą żyje i poczuciem obowiązków najbliższych, to wychowuje jeszcze takie panny, jak panna Anka z „Ziemi Obiecanéj" Reymonta. Bardzo dzielna panna, bardzo rozumna, głęboka, a przy całéj słodyczy i cierpliwości taka niezależna duchowo, tak pewna swej drogi i swéj prawdy, — umie dużo kochać, i dla kochanych jest promieniem słonecznym. Narzeczonemu ufa, wierzy w jego bogatą, rozumną, energiczną działalność, a pojmuje ją jako obowiązek społeczny; ale gdy intuicyą kobiecą odczuwa jego karyerowiczowskie ambicye, którym ona stoi na przeszkodzie, usuwa się z jego drogi — z delikatnemi słowami przebaczenia. Nie jest przytém naiwna wcale, nie podlega złudzeniom, ani sentymentalnym porywom. Taka kobieta to ogromna siła — czy na wsi gospodaruje, bliska sercem kościołowi, plebanii i ludowi, czy w mieście roztacza opiękę nad przybranym ojcem, usiłując rozproszyć jego tęsknotę ku temu życiu wiejskiemu, którego sama wyrzekła się z tak ciężkim żalem — czy ludzi fabrycznych ratuje i pielęgnuje chorych — czy wreszcie ochronkę zakłada — zawsze jest tą samą inteligencyą i wolą, która dąży do pełnienia dobrego przez miłość. Takich kobiet trzebaby nam dużo, takie wnoszą do rodziny dużo światła i ciepła, promieniują na otoczenie, takie wychowują dzieci w atmosferze poczuć obywatelskich.

Jest i w „Rodzinie Połanieckich" jeden profil wyróżniający się głębokością natury, zamkniętéj w sobie, aspiracyami wyższemi i uczuciem tak szczerém, że konwenansowe nie krępują go względy. To Stefcia Ratkowska, do któréj może zbliża się Ela z „Anioła Śmierci" Tetmajera, choć tylko pozornie, przez pewne podobieństwo sytuacyi. Te dwie przeczą twierdzeniu Płoszowskiego że z „łabędziowych Polek" żadna, nie zdobyłaby się na taki dowód szczerości uczucia, poświęcenia i pogardy konwenansu, jaki mu dała Klara Hilst, natura wyjątkowa, kochająca bez cienia egoizmu. Ale nie żądać tego od Anielki. Cały jéj urok, hypnotyzujący wielu mężczyzn, tak, jak hypnotyzował Płoszowskiego, polega na téj niejasności psychologicznéj, która się splata z nieświadomego zupełnie egoi-

zmu, słodyczy, mogącéj za dobroć uchodzić i absolutnéj mglistości pojęć moralnych, stąd musi się Anielka czepiać i trzymać silnie formułek, po za któremi groziłby jéj niechybnie upadek.

Ma być w Polkach jakaś duma odrębna w rzeczach miłości, duma instynktowa i wrodzona, co z nich czyni niedostępne, ale tém więcéj urocze „królewny". Ale jest przytém i świadomość, że ta duma stanowi wdzięk i potęgę ogromną, jest i taka bezwiedna kokieterya matki Ewy, tém niebezpieczniejsza, im mniéj sztuczna, im bardziéj nieświedoma. Anielka zgodna z kodeksem małżeńskim, imponujące sobie saméj cnotą, którą doprawdy ceni nad życie, z moralnością chrześcijańską kobiety prostéj a rozumnéj rozchodzi się ogromnie.

Od pierwszego kroku fałszywego same komplikacye, sprowadzone przez brak szczerości z własném uczuciem, przez takie strusie chowanie głowy w piasek. Anielka nie zdaje sobie sprawy, że grzechem jest przysięgać przed ołtarzem miłość, gdy się ją czuje dla innego, nie myśli, że słabością charakteru jest trzymanie rozkochanego człowieka na uwięzi, przyjmowanie choćby bierne jego hołdów, branie z uczucia jego tych pierwiastków, co zadawalniają kobiecą miłość własną. Przypomnijmy sobie jedną z najpiękniejszych postaci, jakie powieść polska kiedykolwiek stworzyła: Zofię z „Listopada". Cięższe było jéj położenie w tych stosunkach z przed lat stu, ale jéj natura wykwintna i prawa nie straciła nic z kobiecego wdzięku przez pójście za głosem serca i prawdy. Narzeczeństwo zerwane wtedy było wielką winą w jéj oczach, a przecież miała odwagę; — Anielka idzie za Kromickiego, *par depit* nie tylko bez miłości, ale i bez głębszego szacunku dla tego człowieka, a robi to w czasach, które sankcyonują zrywanie zaręczyn niedobranych. Ale taka, zupełnie taka, jak jest, powinna była być w naszéj literaturze, inaczéj nie mielibyśmy wyrazu na urocze, słodkie, przemiłe istoty, co łamią życie ludziom i sobie.

Czy to ideał? Przez oczy człowieka śmiertelnie zakochanego patrzymy na Anielkę — tak patrzy i autor, a inni zakochani będą w niéj nieraz odnajdywali drogie rysy. Postawić ją w warunkach normalnych, dać dobrego, kochającego męża — będzie dobra i szczęśliwa, dopóki pierwsza poważniéjsza trudność życiowa nie każe jéj wybierać pomiędzy poświęceniem się absolutnem, a połowiczną sytuacyą z dnia na dzień.

Jest to objaw, powtarzający się peryodycznie w historyi ducha ludzkiego, że gdy życie zaczyna zastygać w formach szablonu, na tle jakiegoś kierunku, który już spełnił swoje zadanie — zrywa się

gdzieś na świecie silny wicher reakcyi. Najniespodziewaniéj budzą się po zapadłych kątach echa — szum tego wichru, prąd tego powietrza poruszający w duszach struny na ten sam ton nastrojone. Jest w tém pęd jakiś żywiołowy; trudno zrazu dostrzedz, jak na różnych punktach tleją iskry wśród popiołów: ten wiatr je rozdmuchuje, aż wielkim ogniem wybuchną w filozofii, w sztuce i w życiu.

Jesteśmy na schyłku wieku, o którego znużeniu powiadają nam ci, co najwyższą kulturą zachodnią żyli, potomkowie staréj rasy, moralnie i umysłowo przesubtelizowani dekadenci. Jesteśmy u progu nowego życia i nowéj sztuki, która z wielką mocą spycha w przeszłość tych delikatnych, „mających umrzeć“ albo żyć dzień tylko jeden, a daje sztandar w rękę silnym, bezwzględnym, szczerym, a szczerym aż do okrucieństwa — prowadzi ich nad głębie i przepaści przez „wązkie, trudne, skaliste wydroże — Skąd runie, kto nóg pewno postawić nie umie. Do takiéj drogi trzeba być śmiałym i mocnym, mieć już za sobą tradycye wielkiego artyzmu, a należeć do społeczeństwa jeszcze młodego cywilizacyjnie. W atmosferze cieplarnianéj, na podkładzie intensywnéj cywilizacyi europejskiéj, wyrastają w naszym klimacie jednostki wyrafinowane inteligentne o szlachetnym nastroju i słabéj woli, jak Płoszowski i Bukacki, ale dekadentów rodzinnych z gruntu własnéj kultury nie mamy, bośmy jeszcze nie przeżyli męskiego wieku i jedynie przez odbicie Zachodu możemy być zmęczeni myślą i pracą stuleci.

Na całéj jednéj generacyi wybitniéjszych umysłów odbił się u nas ten duch, co stworzył tam Burgetowskich bohaterów: ta sama nerwowa wrażliwość, ten hyperkrytycyzm, ta jasność w obec siebie — w pokoleniu, do którego należał Płoszowski. Ale Płoszowski, gdyby się nie był zastrzelił — miałby dziś lat przeszło czterdzieści, po nim nadeszły już serye młodsze, ludzi innych. A ci czémkolwiek są, w każdym razie nie są dekadentami w tém znaczeniu, jakie przyjęliśmy od tych biednych Rzymian, ginących z wycieńczenia. Taki genialny Rdzawicz, silny, brutalny, zuchwały, taki Wichlicki wdzierający się na szczyt Risz-tau, taki Podkowiński, a z nim legion żyjący ogniem i fantazyą, strawiony gorączką w służbie sztuki — ten, niezmożony całemi latami strasznéj egzystencyi na dalekim Wschodzie, i tamten, idący przebojem po przez biedę, trud i tęsknotę do celu — to ludzie, w których wre życie. A każdy z nich poświęci wszystko, co poświęcić można, z uporem zaciętym, niezłomnym, dla swéj duchowéj niezależności, dla wyrażenia odrębności swojego „ja“.

Takich ludzi rozumie kobiéta nowożytna, ta, co obok wdzięcznych główek Stachiewiczowskich, wychowała się nad tą samą gdzieś Wartą, Pilicą, czy Bugiem, w tych samych warunkach na tle śpiącéj atmosfery sąsiedztw wiejskich, lub téż w stolicy odważyła się być sobą, żyć własném życiem wewnętrzném.

Skąd wzięła się tak odmienna organizacya duchowa, skąd tęsknota do ideałów innych od tych, które czci otoczenie? To tajemnica owych szeptów, co poprzedzają przyjście nowego prądu. Ją karmił duch reakcyi przeciw wszystkiemu, co banalne i słodkie, przeciw temu, co choć z daleka tchnie frazesem. Młodość jéj była najczęściéj przykra i chmurna, w rozterce duchowéj z otoczeniem, ale bogata rozwojem wybujałym i pełném życiem na łonie natury, któréj język mówi do jéj duszy bezpośrednio całą swą mocą i barwą. Pragnienia jakie przychodzą, nadzwyczajne, rwące w nieskończoność—w dzieciństwie marzenia o męczeństwie, później o miłości, o sławie.

Wyratować swoje niepospolite „ja“ z powodzi codziennych, szarych egzystencyi, wyodrębnić się myślą i uczuciem, dojść do swojéj prawdy, a przedewszystkiém żyć i żyć w słońcu. Z portretów Podkowińskiego patrzy nam w oczy kobieta nowożytna z naturalnością szczerą i prostą: w jéj rozumném spojrzeniu maluje się wyraz stanowczéj za siebie odpowiedzialności i to poniekąd stanowi charakterystykę ogólną, — tak. jak i wyraz skupienia, jak piętno inteligencyi nie zawsze może pierwszorzędnéj, ale zawsze osobistéj. Każda twarz jest tu inna, każda świadomie zaznacza wybitną, a choćby odrębną indywidualność. Niepokojąca uroda główek Aksentowicza dodaje jeden jeszcze rys interesujący, choć już tchnący stylem, do charakterystyki tego ciekawego stworzenia, które od Mony Lizy nauczyło się patrzeć i uśmiechać. Wyczółkowski z bajeczną brawurą wydobył z téj ruchliwéj fizyonomii nienasycone pragnienie wrażeń: złych, dobrych, silnych czy subtelnych — byle więcéj, byle nowych.

Portret własny Bilińskiéj, tryumfalny wybuch silnéj, zdobywczéj twórczości kobiecéj — i portret własny Boznańskiéj — jedna z najgłębszych skarg kobiecości, dla któréj poza miłością wszystko jest niczém, to dwa wyrazy ewolucyi, pierwszy i końcowy—między niemi rozgrywa się tragedya kobiety nowożytnéj. Silném tętnem biją w jéj duszy dwa motywy zasadnicze— miłość i ambicya, i splatają się czasem w jedno uczucie najpotężniejsze: ambicyi dla człowieka kochanego. Budowniczy Solness pocałował małą Hildę w usta i obiecał wznieść dla niéj kiedyś nadpowietrzne pałace. Ona to pa-

mięta, myśli o nim, i przychodzi upomnieć się o spełnienie wielkiéj obietnicy. Lecz musi wiedzieć, czy jéj pan i bohater wejdzie bez zawrotu głowy, aż tam w górę, na szczyt nowo-wzniesionego gmachu. To jest trudne, niezwyczajne, jest niebezpieczne, i dla tego właśnie on to zrobić musi. Solness dosięga wierzchołka, lecz traci równowagę i rozbija głowę o bruk. W okrzyku radosnym Hildy: „mój, mój, mistrz”, gdy go widzi w górze u szczytu, mieści się synteza i wyraz téj miłości kobiety nowożytnéj, a nie jestto motyw pustéj, zalotnéj panny Kunegundy, co rycerza słała między lwy, nie — Hilda kapryśna, prawie okrutna, żądna niepospolitości dla wrażenia, ma jednak silne poczucie, ideału, niepohamowany pęd ku górze, gdzie śmiały czyn, i wolna myśl panują.

W ojczyźnie Nansena w taki sposób i w tym kierunku objawia się to uczucie, u nas inaczéj, ale równie silnie.

Aniela była taką duszą, ona,
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera...

Tak, wcieleniem współczesnéj duszy kobiecéj o najszlachetniejszym dźwięku, jest ta Podolanka, „do Heglistki wcale niedorośnięta — bliższa Afrodyty pięknością”, a tak głęboka uczuciem, tak niezależna w postępowaniu, tak subtelnie inteligentna. Nie waha się Aniela na tajemną rozmowę wezwać ukochanego i z prostotą mówić mu o swém uczuciu silném — „czy ty nie ufasz że ja zdołam jedna — Oprzéć się — zostać twoją”. — Już wtedy w głosie jéj drga żal, że ten co jéj sercem Czarnego Zawiszę przypomniał — swoją dumę nad jéj uczucie przenosi, ten żal wyrywa się miękkiém, cudném:

„Ja przebaczyłam już, ale mi smutno” — ale wybucha w wielką, nieutuloną skargę, gdy Beniowski po powrocie z Krymu żegnać ją przychodzi na zawsze.

„Cóż ja kochałam, kochając człowieka
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce?!

Przez wszystkie chwile tęsknoty ubrała swego rycerza w pragnienia rwące sławy i zaszczytnéj służby, a oto staje przed nią widmo „żebrackiego żołnierstwa”, tułaczéj doli — ale nie to ją zabija — w nieszczęściu silna, nędze dzielić gotowa. Ale on nie mógł w sobie zrodzić wiary — w jej serce.

...„ta wychudła twarz i te łachmany
Są przecież ludzkie — a ty jak szatany
Zimny“.

„Gdy patrzę w twoje oczy — widzę jasno —
Że ty naprawdę żegnasz. — Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą — zagasną —
A nie odmieni się sercom, co giną
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną — z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca
Siostra i matka razem — i służąca".

„Nie przez duszę własną" — „musi być jakaś okropna przyczyna" — jeszcze w téj chwili serdecznego bólu — myśli o tém „ta jedyna dusza", aby jego zasłonić, wytłomaczyć, uniewinnić, zrozumieć. To miłość—taka uświadomiona, taka subtelna w wyrazie — miłość kobiety o niezmierném rozwinięciu duchowém, i o szerokim horyzoncie i dlatego Aniela, antyteza wszystkich Anielek — jest przeczuciem ideału kobiety współczesnéj; i nie starościanka z czasów barskich, ani kobiéta romantyczna — ale blizka nam nowożytna maluje się w tych słowach:

„Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodząca boży,
Głowie, co na twéj piersi się położy
To kiedy patrzę na świata pustkowie
Kiedy—a wszystko obejrzałam wzrokiem
Czuję, że to jest jedyne wezgłowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem,
Tu na kamieniu tym żałosną głowę
Pozwól położyć, reszta jest obłokiem
Reszta jest niczém — ten świat — ziemia cała",

Taką kobietę, dumną poczuciem swéj wartości, a kochającą bez dumy wychował Ibsen i Słowacki. Ibsen ujął w tysiącznych rysach i rzucił w kilkadziesiąt postaci, bardzo wybitnych, bardzo ciekawych — powiedział o niéj tak wiele! Wielka inteligencya i wielki charakter, nieokiełznana ambicya, żądza wrażeń i niepospolitości, histeryczne wybuchy, przeczulona wrażliwość, prawa, odważna otwartość i piekielna przewrotność — długie, ciche poświęcenia i żywiołowa niepowstrzymana chęć używania, wszystko wyprowadzone z tych dwóch motywów zasadniczych: miłości i ambicyi — na tle odmiennych temperamentów, a nad wszystkiém dążenie do niezależności duchowéj. Tę walkę o niezależność zaczyna Nora, ale Nora nie jest kobietą współczesną, która się już wychowała w warunkach równouprawnienia umysłowego — Nora należy do historyi, do przeszłości z przed lat 30-tu — do czasów wojującéj paradoksami emancypacyi. Zupełnie już współczesna jest Agnieszka z „Branda"

— najpiękniejsza postać, jaką ten duch nowy stworzył. Agnieszka ma narzeczonego — życie jéj się uśmiecha, ale dusza to jeszcze uśpiona — gdy nadchodzi Brand.

Oto jakaś umierająca staruszka wzywa pomocy, a do samotnéj chaty za fiordem przedostać się można tylko łodzią. Nad fiordem szaleje burza. Brand się nie waha — pojedzie ale z nim jechać musi jeszcze ktoś drugi u steru. Agnieszka spodziewa się; że tym drugim będzie jéj narzeczony — czeka—żąda od niego takiego czynu. Stchórzył. Agnieszka żegna go na wieki; siada sama obok Branda, ujmuje ster — wiara w dobrą prawę dodaje im siły i zapewnia zwycięstwo nad żywiołami. Odtąd już złączyły się ich losy, ta kobiéta cicha i silna staje się duszą jego duszy, miłością jego serca, jego szczęściem i towarzyszką w trudnéj drodze, jaką obrał do służenia bezwzględnéj prawdzie z dewizą „Wszystko albo nic”. Miłość bez granic i wiara w ukochanego człowieka. pragnienie doskonałości, ideału niepowszedniego, któremu w ofierze przynosi się życie własne i życie najdroższych — to rysy zasadnicze téj pięknéj duszy, na któréj tragiczne piętno wycisnęła wielka boleść macierzyńska po stracie jedynego dziecka.

Jeżeli wszakże miłość najwyższa i poświęcenie bez granic znajdują wyraz w kobiecie nowoczesnéj téj miary, to w innym typie pokrewnym jéj przez ambicyę—i aspiracye wygórowane, dochodzi do artyzmu najbardziéj wyrafinowany egoizm. Organizacya bujna i fantastyczna żyje sensacyami: naturą i sztuką, a zwłaszcza duszą własną, któréj szuka we wszystkich tych zwierciadłach, przeglądając się to z narcyzowém uwielbieniem, to z bolesną ciekawością.

Głód wrażeń pchnąć ją może do niegodziwości lub do upadku, lecz uniesienie chwil dobrych odkrywa w niéj całe skarby szlachetności, zapału, uczucia. To taka Hedda Gabler, taka Janka z „Fermentów” Reymonta, natury niezmiernie zbliżone psychologicznym podkładem, tylko Hedda inteligencyę ma subtelniejszą z poczuciem jasném pierwiastków złych i tragicznych własnéj natury. Tego krytycyzmu nie ma Janka, któréj umysł chaotyczny, nieświadomie przewrotny, przedstawia stan zamętu, więcéj jeszcze niż „fermentu” jak chce autor. Wyobraźnia wybujała, ale inteligencya to ani zupełna, ani głęboka, choć wrąca i świetna. Jest w niéj tylko wyraźne pragnienie niepospolitości i wybitne w tym kierunku dążenia; jest silne, panteistyczne zlanie się z naturą, zrozumienie wszystkich jéj głosów, odczucie wszystkich barw, drgnienie serca na każdy jéj szept tajemniczy. Po za tém brak subtelności duchowéj i brak poczucia prawdy — i olbrzymi, przesłaniający wszystko egoizm, co

nic prócz własnych cierpień nie czuje, nic, poza sobą nie widzi. Że Janka w atmosferze lichéj trupy teatralnéj upada, to jest konsekwencyą smutnego położenia, ale że potém z poczuciem olimpijskiém swéj wyższości, traktować może lekceważąco, źle, niegodziwie, człowieka, któremu chce oddać rękę, to jest już wynikiem natury wysoce samolubnéj—egoizm ten w najdrobniejszych przezierający szczegółach, ta chęć zrobienia przykrości drugim dla zgłuszenia własnego cierpienia, zbliżają Jankę do Heddy Gabler. „Cóż to za pudło obrzydliwe, pewno kapelusz służącéj" — pyta Hedda staréj ciotki— zrzucajac ze stołu kapotkę, którą sobie ciotczysko na przywitanie siostrzenicy umyślnie sprawiło. A Hedda wie o tém. Do nieufności dała Janka narzeczonemu wszelkie powody, lecz nie zważając na to, wyjeżdża tajemniczo do Warszawy, niechby temu człowiekowi serce pękło, ona zadowolni wspaniałomyślną fantazyę dopomożenia Zaleskim, a spotkawszy z powrotem Andrzeja w wagonie, daje mu uczuć swą wyższość, i obojętność, w przykry sposób. Porywy litości dla biednych i takie objawy zupełnego braku serca charakteryzują świetnie tę wybujałą i spaczoną naturę. Naraz, teatralna, niewytłomaczona psychologicznie zmiana: z gwałtownéj Heddy, czuła, sentymentalna mateczka, żadnego przejścia wewnętrznego, żadnéj walki w młodéj kobiecie. Od powtórnego upadku ratują bohaterkę: okno zamknięte a drzwi otwarte, jedynie dlatego poczciwy Andrzej cieszy się domowém szczęściem, które szczebiot dziecka rozwesela, i dlatego demoniczny Witowski — *romantique ariéré*, odjeżdża obrażony. Gdyby nie ruch nienaturalnie szybki, jak w kinematografie, to mielibyśmy może wrażenie silne téj logicznéj, zacierającéj wszystko, chłonącéj i ból wielki i wielkie porywy, konieczności codziennego życia. Mielibyśmy téż historyę ogromnéj większości tych kobiét, rwących się do życia bujnego. którym los daje natomiast obowiązki, oplatające żelazną obręczą i szarą dolę przeciętnéj egzystencyi wśród pospolitego otoczenia. Ale w życie takie całemi latami sączą się, kropla po kropli, fermenty, zanim zbuntowana dusza drogą przemian, cierpień i pracy wewnętrznéj dojdzie do zrozumienia głębokiéj syntezy tego zwyczajnego życia, codziennego mozołu i odczuje całą wartość organizacyi rodzinnéj. Do tego się dochodzi — ale nie z dnia na dzień i nie bez trudu. Ci niepospolici ludzie są—niewątpliwie, ale czasem nie spotyka się ich przez życie wcale, często mijają obok. Żyć trzeba dla zwykłych i ze zwykłymi — i to się powoli układa. Nie jest to może szczęściem, ale nie jest i desperacyą. Zupełnie zaś tragiczny i desperacki motyw, odzywa się w kobiecie, gdy ją ogarnia pustka, gdy sama stworzyła

między sobą a otoczeniem przepaść, a skupiła całą swą istotę w oczekiwaniu uczucia, które czy zawiodło, czy nie przyszło wcale; czas idzie nieubłaganie, młodości słońce zachodzi „z niém reszta nadziei".

Taka Jadwiga Strzeliska z „Anioła Śmierci" w gruncie rzeczy uczciwa i dobra dziewczyna, ogromnie „*modern*", z pragnieniem wielkiéj miłości, którą czuje jak żadna, ale wprost zwichnięta, zdesperowana, dla głodu wrażeń głębszych. Cała jéj niesmaczna efronterya i układanie romansów cudnych, to tylko próby oszołomienia, zgłuszenia jęku, co się wydziera, gdzieś z pod serca. Ten jęk płaczem spazmatycznym wybucha u milionowéj Żydówki Róży w „Ziemi obiecanéj" Reymonta, ten jęk cichy, stłumiony odzywa się w tysiącu serc.

Najświetniejszy może dokument psychologiczny, do studyów nad kobietą nowożytną, stanowią pamiętniki genialnéj Maryi Baschkirtzeff. Są tam wszystkie pierwiastki téj skomplikowanéj organizacyi, ale podniesione do potęgi, w najsilniejszym swym ujęte wyrazie.

To, co u innych aspiracyą jest, marzeniem, szkicem, u niéj czynem się staje, rzeczywistością; to co na kilka rozdzielone natur, z każdéj zrobiłoby niepospolitą i wybitną, łączy się w téj jednéj, tak wyjątkowo i wszechstronnie obdarzonéj. Wielka uroda z inteligencyą olbrzymią, wybitna muzykalność, głos piękny, wreszcie talent malarski istotnie pierwszorzędny, a do tego wykształcenie rozległe, wszystkie środki materyalne na zawołanie, pozycya w świecie u czoła kosmopolitycznéj arystokracyi, ale jéj ambicya przewyższa jeszcze to wszystko, ambicya i dumne poczucie swéj genialności.

Hardy, potężny „nadczłowieb", jest w téj dwudziestokilkoletniéj dziewczynie, nad którą zawisła tragedya powolnego konania w pełnym rozkwicie świetnéj karyery artystycznéj. Szalona żądza wiedzy, potęgi, panowania, przez piękność i przez sztukę, szczepi w młodziutkiém sercu egoizm silny, który żywiołowo wybucha, chce hołdów, ubóstwienia; Wielki artyzm i wielkie nieszczęścia rozszerzają w lat kilka ten bogaty umysł, tak, że pragnieniem obejmuje horyzonty niezmierne, poza dumném poczuciem wspaniałego „ja". Natura jéj mięknie, rozgrzewa się, pogłębia, uczucie nią owłada pełne, a dziwne: miłość-przyjaźń dla genialnego artysty Bastien-Le Page'a, mrącego tak jak ona, na suchoty. Tén motyw uczucia, w obliczu już prawie „niepożytéj" śmierci, czyhającéj na to dwoje, i świadomość bezwzględna tego, co przyjść musi nieubłaganie, tragicznym akordem kończą to krótkie jak błyskawica, ale téż błyskawicowo świetne życie. Żyć najpełniejszém życiem, jakie

w wybujałéj wyobraźni wymarzyć można i żyć krótko, zostawić ślad istnienia swego w niepospolitéj wartości dziełach!

Marya Baschkirtseff jest przedmiotem podziwu i zazdrości dla tych spragnionych dusz, co się rwą do wyrażenia swéj istoty osobistym, odrębnym a genialnym językiem w sztuce, lub do miłości tęsknią nieskończenie doskonałéj, a mrą powoli w poczuciu niedostatku swego talentu i w długiém oczekiwaniu rzeczy silnych, które nie przychodzą, przychodzi starość. Kobiétę nowoczesną oplotły aspiracye artystyczne i ciagną ją w wir téj niespokojnéj, rozdzierającéj sztuki modernistycznéj z nieprzepartą siłą. Fala ta w nurtach swych zatapia wiele, a od czasu do czasu wyrzuca z głębi, jakąś indywidualność niepospolitą, Dla kilku kropel olejku różanego zbiera się całe pola róż. Trzeba męki serdecznéj, krwawego trudu, porywów nad siły tylu i tylu istot zwichniętych, zgniecionych, zdeptanych w drodze, aby wystrzelił w górę wśród nich jeden potężny talent, jeden głos mocny i świeży. Że ten objaw, jak wszystkie zresztą dążenia naprzód, kosztuje dużo ofiar to pewna. Z żalem do świata, z goryczą cierpką snują się talenta zapoznane i złamane, w imię urojonéj genialności zaniedbuje się wiele potrzeb najbliższych, obowiązków najświętszych, ale ten wir silniejszy nad wszystko. Taki pęd do studyów poważnych, do nauki oderwanéj, i do sztuki, wielkiéj sztuki, jest wybuchem nieprzepartym ducha czasu, a istnieje niezależnie od utylitarnego prądu emancypacyjnego, który się zrodził z potrzeb ekonomicznych. Obok czystéj sztuki, jest i sztuka przemysłowa, zatrudniająca wielką ilość kobiét, tak, jak je zatrudnia pedagogika i literatura, coraz szersze pola zdobywane z trudem, otwierają się powoli przed szeregiem armii szaréj, bezimiennéj, walczących o byt. Ale kobiétę nowożytną trawi gorączka wydobycia się z szeregu, przejmuje ją wstręt do szarości i bezimienności, stąd dezercya z drogi już zdobytéj, piaszczystéj wśród równiny, stąd darcie się na wyżyny z krwawym znojem, ale i z zapałem zaciekłym. A prąd ten, opanowawszy umysły wybitne udzielił się i takim, które nie mają wielkich danych do wyjątkowości. I stąd poczęła się szerzyć gwałtownie epidemia fałszywych aspiracyi. Ktoby chciał pisać historyę psychologii obecnéj chwili musiałby objawowi temu poświęcić jeden z najważniejszych rozdziałów. Fałszywe aspiracye, cały ten wielki ciężar przy śmieszności sztucznych nastrojów, skrzywionych umysłów, przewrotnych zdań, niedociągniętych, chaotycznych inteligencyi, nadmiernych pretensyi, wysiłków i wymagań umysłowych. Tak, cały ten ciężar wlecze za sobą sprawa kobieca a mimo tego, idzie naprzód, wołając wytrwale: „światła, więcéj świa-

tła". Istotnie trzebaby światła dużo, jakiejś jasności aż jaskrawéj, aby tę mgławicę, ten półmrok chaosu rozproszyć, a rzecz ta staje się coraz bardziéj zawikłana, coraz trudniejsza, nie do rozwiązaaia już, ale wprost do osądzenia. Brakuje bowiem wyraźnego kryteryum, któreby dozwalało dążenia głębokie, szczere, pewne swych sił i swych celów odróżnić w samym początku od chorobliwych, przesadzonych ambicyi. Kierunek, który przychodzi w sztuce, nie znosi mierności, wymaga pierwszorzędnych umysłów, potężnych talentów i subtelności niesłychanéj; zarazem jednak wprowadza formy niezmiernie łatwe do naśladowania i posiada wiele danych do wytworzenia klasycznego gruntu dla rozwoju bujnego wszystkich fałszywych aspiracyi. Biada! Niebezpieczeństwo jest groźne:

„Troje nas jest współczesna Laokona grupa —
Ale wąż wielkich pragnień dusząc, darzy życiem".
(Wiersz p. Maryi Konopnickiej, w książce zbiorowéj Forpoczty).

Być może wkrótce takich „współczesnych grup Laokona" będziemy mieli dużo. „Wąż wielkich pragnień" już szepce córkom Ewy, że stać się mogą równe „Panu Panów", artyście, magowi współczesnemu. Nie zawsze, nie zawsze. Munch, Wiegeland, Przybyszewski— a p. Costenoble i p. Komornicka, różnica jest, tak — różnica duża— i to może najtragiczniejsza nuta, która dziś ledwie brzmieć zaczyna, ale zadzwoni jeszcze, zadzwoni w duszy nowożytnéj kobiéty-artystki. Czy pod wpływem modernistycznéj sztuki rozwinie się w naszéj kobiécie instynkt niszczenia, żywiołowa nienawiść — miłość, mocowanie się rozpaczliwe z mężczyzną? Element ten był nam obcy nawet jako pojęcie: ojciec, brat, mąż, narzeczony, kochanek, przyjaciel, to mężczyzni, ale synteza wyrazu „mężczyzna", jako pierwiastku złowrogiego, przed którym wszakże pada się na kolana, nie przeniknęła uczucia, nie stała się tragicznym podkładem wzajemnych stosunków. Dziś przebija ten motyw w literaturze „najmłodszych", ale w życiu spotyka kobiéta w naszych stosunkach tak często na drodze swojéj dobroduszność i szlachetność, przyjaźń i szacunek, a namiętne ubóstwianie w połączeniu z namiętną pogardą, tak wyjątkowo, że zawiść i gorycz nie mają czém sycić swego jadu. Jedynie w umysłach fanatycznych doktrynerek, rozmiary emancypacyi duże przybiera poczucie krzywdy, wyzysku, zależności, a wypływa ono raczéj z teoryi, czasem z osobistego zawodu, niż z głębokiego instynktu mysogenii.

Nie można zresztą przesądzać, jaki typ nowy stworzy najbliższa przyszłość, obecnie jest ich wiele, odrębnych, ale pokrewnych

pewnemi rysami zasadniczemi. Gdzieś w zakątku wiejskim taka dusza cicha, głęboka, uparta i niepodległa, gdzieś w miasteczku prowincyonalném jakaś inteligencya ciekawa i wrażliwa, jakieś serce gorące i mistyczna, rozpalona wyobraźnia...

Gdzieś w Paryżu, czy Monachium organizacya tragiczna, przepalona fermentacyą myśli świetnych, wrzących, niespokojnych, w Zurychu czy Krakowie jakiś umysł, skupiony w sobie, świadomy swych celów, szukający w nauce drogi do wyrażenia się przez rozumną pracę. O równouprawnienie duchowe nie walczy już ta kobiéta współczesna z mężczyzną — bo je ma, stoi obok najbujniejszych umysłów, rozumie je, rozumie wszystko. To téż wyrabia się typ nowożytnego małżeństwa, w którém kobiéta dzieli umysłowe życie męża: jest to połączenie duchów równych i przenikających się wzajemnie inteligencyi. I w tém szczęście. Tysiące interesów intelektualnych wiąże tych dwoje przyjaźnią i szacunkiem, wplata się w ich miłość, stwarza im życie pełne, przez dążenie do czynu, przez bogatą działalność. Z chęcią do pracy, z świeżemi siłami staje obok mężczyzny, kobiéta umysłowo dojrzała, rozwinięta uczuciem i zrozumieniem obowiązków, obejmująca wzrokiem horyzonty szerokie, i przez to odpowiada pojęciu naszego ideału kobiecego. Brak jéj może téj pogody i prostoty, jaką miały prababki za Hoffmanowéj i Korzeniowskiego, żyje zbyt gorączkowo, przyspieszoném tętnem, ale żyje duchem czasu i nie poprzestając na biernéj roli, przyjmuje żywy udział w rozwoju myśli i pracy wspólnéj.

I dla takich — program — zostawił Słowacki:

„Jestem w zapale —
I oto mówię, że piękność kobiety —
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda —
Lecz może — w duchu będąc — robić cuda.
Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą.
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
Sercu, i słońcem, które świeci nocą
I panią razem i razem być sługą
I nawet w świecie aniołów — pomocą —
Wdzięczność to cudna — ducha nie obarczyć —
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć“.

Julia Krzymuska.



Z piśmiennictwa hiszpańskiego.

W przeciągu niewielu miesięcy Madrycka *Academia de la Historia* utraciła, dzięki nieszczęśliwym wypadkom, trzech wybitnych swych członków: w sierpniu 1897 r., w Santa Agneda tragiczna śmierć *Don Antonia Cànovas del Castillo* pozbawiła ją prezydenta, który był w jednéj osobie mężem stanu, mówcą, historykiem i poetą; we wrześniu fatalny upadek spowodował zgon męża w sile wieku, niepospolitego polotu myśli, jakim był *Don Luis Vidart*, który łączył żołnierskie skłonności z zamiłowaniem do literatury pięknéj i historyi, który wskrzeszał znakomite postacie, zasłużone na polu militarném i historyczném, jak Markiz de Santa Cruz de Marcenado, — który propagował uroczysty obchód trzechsetnéj rocznicy urodzin Kalderona, podczas jubileuszu Krzysztofa Kolumba miewał o nim w Madryckiem *Ateneo* odczyty, dla uchronienia Hiszpanii od zarzutów niewdzięczności względem wielkiego genueńczyka... który wreszcie wraz z Campoamorem w tém odkrył tajemnicę życia, że co rano nietylko cieleśnie lecz i duchowo trzeba być nowonarodzonym. Wreszcie, w październiku, zeszłego roku, Madrycka Akademia Historyi postradała dzięki nieszczęśliwemu upadkowi na ulicy w Londynie ośmdziesięcio-ośmio letniego *Don Pascuala de Gayangos*, urodzonego w Sewilli, wysoko cenionego profesora wielu generacyi, znakomitego arabistę i bibliofila, o którego niezmordowanéj pracowitości świadczy cały szereg dzieł. Ze starcem tym zeszło

do grobu wiele tajemnic hiszpańskiego życia, zarówno politycznego jak i piśmienniczego. Z językiem angielskim był on tak obznajmiony, że mógł pisać bez trudności angielszczyzną z czasów królowéj Elżbiety.

D. Ignacio Montes de Oca y Obregón, biskup rezydujący w *San Luis Potose*, znakomity mexykański poeta, będący zarazem wybitnym członkiem akademii hiszpańskiéj, ogłosił swą mowę poświęconą pamięci *Canovasa del Castillo*, kreślącą obraz niecnie zamordowanego, co był nietylko żywem wcieleniem hiszpańskiego ducha, lecz i przedstawicielom panhiszpańskiego elementu na obu półkulach ziemskich. Przed pięćdziesięciu laty młody Canovas del Castillo, który podzielał złudzenia Piusa IX, napisał podniosły wiersz Włochom poświęcony, nie przeczuwając oczywiście, że z tak ukochanéj przezeń ziemi, wyjdzie morderca, co mu przedwczesny grób zgotuje. „Sławném, — czytamy w mowie, — było życie Canovasa; lecz stokroć sławniejszą była jego śmierć męczeńska". Każdy, co w 1892 roku był obecny w Hiszpanii na uroczystościach, poświęconych pamięci Kolumba i widział Canovasa del Castillo, prezydującego w Huelvie i w Madrycie — z żalem i podziwem wspominać będzie znakomitego męża. Podobnież jak biskup z Sain Luis Potosé, poeta i uczony w jednéj osobie, i *D. Victoriano Agüeros*, redaktor pisma *El. Tiempo* wychodzącego w stolicy Mexyka, żywo zajmujący się kwestyami religijnemi i poezyą, jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli meksykańskiéj literatury. W wydawnictwie *Biblioteca de Autores mexicanos*, ogłaszającém kompletne wydania dzieł takich autorów, jak Garcia Icazbalceta, Oroseo y Berra, Ron Bàrcena, Mungia, Pesado, Carpio, Conto, Jose Lopez Portillo y Rojas i wielu innych ukazał się w tym roku pierwszy tom *Obras literarias de D. Victoriano Agüeros*. Znajdujemy w nim ważne przyczynki do dziejów meksykańskiego piśmiennictwa, meksykańskiéj kultury i meksykańskiéj akademii, skreślone wytwornym stylem i tchnące niekłamanem uwielbieniem piękna. Autor domaga się usilnie tworzenia w Meksyku, stowarzyszeń, mających na celu pożytek i kształcenie młodzieży, która pracuje na niwie piśmienniczéj — jak to ma miejsce w Hiszpanii, gdzie należący do jednego związku: Antonie de Trueba, Luis de Eguilaz, Narciso Serra, Augustin Bonnat i inni odczytywali swe utwory, gdzie Pedro Antonio de Alarcon z powieściami swemi występował. D. Victoriano Agüeros podnosi również w dziele swém niepospolitą wagę studyów historycznych, posiadających specyalne jeszcze znaczenie dla Meksyka, jako dla kraju, który wydał tylu dzielnych mężów". Autor jest w jednéj osobie

publicystą i poetą: widzimy to i z poważnych, pełnych polotu prac poświęconych pismu świętemu, oraz znaczeniu chrześciaństwa, a także i z pełnych wdzięku wiosennych obrazków, po mistrzowsku odtwarzających czar meksykańskiéj przyrody, jak np. w szkicu „*El dia de muertos en mi pueblo*“. Agüeros jest apostołem miłośei dla Meksyku, w połączeniu z miłością dla Ameryki i Hiszpanii.

Temi samemi uczuciami jest przejęta — zamieszkała w Barcelonie hiszpańska autorka, Dona Emilia Serrano, baronowa de Wilson, która właśnie w mieście tém wydała dzieło o ukochanéj przez siebie Ameryce. Ukazało się ono p. t. „*America en fin de siglo*“ a czyta się jak zajmująca powieść, pomimo, że w pracy téj, nie pozbawionéj zresztą naukowego materyału, przeciągają przed naszemi oczami wszyscy niemal z ostatnich czasów prezydenci amerykańskich rzeczypospolitych i wszystkie prawie wybitne postacie z amerykańskiéj historyi i literatury. Owe „*actualidades*“ i „*semblanzas*“ posiadają dla czytelnika urok tém większy, że autorka poznawała osobiście odtwarzane w dziele swém postacie, przedzierając się konno przez puszcze amerykańskie. Baronowa de Wilson pracuje obecnie nad dziełem, poświęconém Niemcom.

Do zespolenia Hiszpanii z Ameryką dąży również w świeżo wydanych: „*Cardas Americanas*“, mistrz współczesnéj powieści hiszpańskiéj, Don Juan Valera. Zebrał on właśnie prace swe, po czasopismach rozproszone i wydał w Madrycie p. t. *A Vuela pluma*. Jest to rzeczywista uczta dla literackiego smakosza — ten szereg prostych, dowcipnych, a zarazem wytwornie napisanych opowiadań. Autor jest prawdziwym artystą w sztuce opowiadania, zabawiając i ucząc zarazem czytelnika. Valera mówi w sposób nader zajmujący o wielu kwestyach: o regionalizmie galicyjskich poetów, o przedwcześnie zmarłym południowo amerykańskim pisarzu, D. Juanie Montalvo, który z powodzeniem starał się naśladować hiszpańskie wzory i o wydawaném przez D. Marcelino Menendez y Palayo dziele „*Antologia de poetas loricos castellanos*“, którego właśnie ukazał się tom szósty, obejmuje dzieje hiszpańskiéj kultury, w czasach panowania królewskiéj katolickiéj pary.

Bizantynizm, panoszący się tu i owdzie w poezyi za dni naszych, miał już wtedy podczas rządów Ferdynanda i Izabelli, przedstawiciela swego w osobie Anton'a de Monsoro, jak dowodzi strofa, w któréj poeta zwraca się do królowéj katolickiéj:

Alta reina soberana,
Si antes nascierados vos
Que la hija de Santa Ana,

En vos le hijo de Dios
Recibiera carna humana.

Pani na wysokim tronie!
Gdybyś wcześniej się zrodziła,
Niżli Marya w Anny łonie—
Tybyś matką Tego była,
Co w cierniowej zgasł koronie.

Hiszpania potrzebuje takiego pisarza, jak Valera, który jest zawsze optymistą, dowodząc, że jego ojczyzna, wysławszy na Kubę 200000 żołnierza, nie może być nazywana ani biedną, ani téż słabą—że dzisiejsi Hiszpanie ulani są z tegoż metalu, co Cyd, książe Alba, Cortes i Pizarro—że hiszpański geniusz zasługuje na większe poszanowanie za granicami swéj ojczyzny — i że współczesna hiszpańska poezya, oraz sztuka nie ustępuje żadnéj innéj. Przebywając w ostatnich latach, jako poseł w Wiedniu, Valera interesował się piśmiennictwem niemieckiém, zwłaszcza zaś „Hanusią" Hauptmana i „Mistrzem z Palmyry" Wilbrandta.

W dramacie pierwszego z poetów dostrzega on przerażający wyraz pesymizmu, który zwątpił o wszystkiém — jeszcze więcéj przesady widzi w dziele Wilbrandta. Niejedna „osobliwość (rarezas) razi go w tekście Goethego. Nie może mianowicie zrozumieć, by człowiek będący z woli boskiéj uosobieniem Hijoba, mógł z dyabłem wchodzić w umowę, dopuszczać się niepotrzebnych przestępstw i robić większe głupstwa niż D. Simplicio Bobadilla y Majaderano.

Cała przepaść leży pomiędzy dziełem Valerasa'a „*A vuela pluma*", a wydaną w r. 1898 w Sewilli przez D. Jose Alonso Morgado książką „*Nuestra Señora de Valma*", ku czci téj świętéj opiekunki Dos-Hermanos. „Chroń nas—de Valme!" te słowa modlitwy, zwróconéj do Królowej Niebios rozlegają się nad brzegami Batisu, od czasu zdobycia Sewilli aż do dni naszych. Poeci Sewilli złączyli się pod wodzą D. Jose'go Lamarque de Novoa dla oddania poetyckiego hołdu Niepokalanéj Dziewicy z Valme.

Interesujący się dziejami Hiszpanii znajdzie niejeden nowy, zajmujący szczegół w téj ciekawéj książce. O religijnym nastroju współczesnych hiszpańskich Rolandów świadczy jedna z „cantares", którą tu w dosłownym przekładzie przytaczamy:

Matko! idę dziś na Kubę,
Jako ziemi téj obrońca —
Więc się za mną módl do Maryi,
Co na modły twoje baczy.

Moja luba przy rozstaniu
Wieczną miłość mi przysięgła
I tuliła mnie do serca —
Matka łez przelała morze.

W boju duszy méj pociechą,
Jest Dziewica, matko moja!
Wołam: „Chroń mnie, Valme. Valme!“
I kule mnie oszczędziły.

. . . .

Kiedy z wojny powróciłem,
Matka spała już w mogile —
A zaś moje ciemnowłose
Dziewcze wyszło za innego.

. . . .

Tak bez matki i kochanki
Dziś pociechę widzę tylko
W Przenajświętszej Pannie z Valme.

W uroczéj miejscowości Dos-Hermanos rozgrywa się trzeci akt pierwszego dramatu o Don-Juanie (Burlador de Sevilla) pióra Tirso'a de Molina. Hiszpania, ojczyzna téj legendy, ma na każde stulecie swego Don-Juana: w XVII w. opracował go Tirso, w XVIII — Zamora, w XIX—Zorrilla. Ostatni z nich, którego D. José Echegeray nazwał i ostatecznym zarazem, grywany jest od lat przeszło pięćdziesięciu we wszystkich teatrach Hiszpanii i hiszpańskiéj Ameryki, w oktawę dnia Wszystkich Świętych.

J. F.



Rozbiory i Sprawozdania.

Wisła, miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom XIII, zeszyt I, styczeń 1899 r.

Ostatni zeszyt niniejszego wydawnictwa prócz działu „poszukiwań“ i bibliografii zawiera i kilka prac oryginalnych.

Na pierwszem miejscu widzimy przyczynek folklorystyczny p. Erazma Majewskiego p. t. „Nietoperz w pojęciach i praktykach ludu naszego“. Więc przedewszystkiem gatunki nietoperza, żyjące w kraju naszym, potém nazwiska ludowe i naukowe nietoperza i różnych jego odmian, wreszcie — nietoperz w wyobraźni ludowéj: przysłowia, przypowieści, pieśni, podania, baśni, opowieści, wierzenia, poglądy, tyczące się początku, właściwości i obyczajów tego zwierzęcia. Nakoniec — rola nietoperza w różnego rodzaju praktykach, zabobonach, czarach i gusłach; stąd początek barbarzyńskich zwyczajów przybijania „gacka“ na wrotach obory, stajni lub domostwa dla zapewnienia sobie wszelkiego powodzenia, lub pieczenia go żywcem w zalepionym garnku dla dokuczenia wrogowi, lub wreszcie zakopywanie go żywcem w mrowisku dla pozyskania jego kosteczek, t. zw. grabek i widełek, mających w sprawach sercowych wielkie znaczenie i t. d. Kończy rozprawkę wymienienie wróżb i przepowiedni, związanych z „gackiem“, ze sposobem jego latania i t. d.

Druga z kolei rozprawa — Seweryna Udzieli traktuje o „Swiecie nadzmysłowym ludu krakowskiego, mieszkającego po prawym brzegu Wisły“. Jest to dalszy ciąg studyum, zamieszczonego w XII tomie „Wisły“; po wężach, topielcu albo topcu i boginkach przyszła obecnie koléj na czarta. Autor wymienia wszelkie podania, opowieści, klechdy i baśnie obserwowanéj przezeń okolicy, w których zjawia się dyabeł pod różnemi postaciami: swéj własnéj w kusym fraczku i trójgraniastym kapeluszu, spodeńkach na pół czerwonych, na pół zielonych, lub téż pod postacią pana, panny, chłopa, chłopczyka, potwora lub jakiego zwierzęcia.

Pozostałe wreszcie dwa artykuły — to dalszy ciąg „Materyałów do bibliografii ludoznawstwa polskiego“, ułożonych przez Adolfa Strzeleckiego w porządku alfabetycznym (od Starina do Sylwestrowicz), i „Kronika geograficzna za rok 1898“ przez Wacława Nałkowskiego.

W „poszukiwaniach” B. Dyakowski i R. Orzykowski podają kilka przyczynków do lecznictwa ludowego, ks. Wł. Siarkowski kilkanaście przysłów tak z ust ludu, jak i z różnych autorów, wreszcie J. Piątkowska — jedną kołysankę. Kończy zeszyt bibliografia i krytyka.

Na ostatniéj stronicy zeszytu redakcya „Wisły” pomieszcza następującą odezwę do inteligentnéj publiczności, którą uważamy za stosowne powtórzyć w całości:

„Otrzymawszy kilkanaście listów od prenumeratorów i czytelników „Wisły”, z których jedne zawierają wyrzuty, inne zapytania, dlaczego wydawnictwo nasze uległo znacznemu opóźnieniu, ośmielamy się wyjaśnić publicznie przyczynę niepożądanego stanu rzeczy i oświadczyć, że nie lekceważenie przyjętych zobowiązań, lecz jedynie trudne warunki finansowe zatamowały prawidłowy bieg wydawnictwa naszego.

„Dochód z prenumeraty nie pokrywa nawet kosztów druku i papieru. Jeśliśmy prowadzili „Wisłę” w takich warunkach, łatwo zrozumieć, że podtrzymywały nas: naprzód nadzieja, że garstka miłośników ludoznawstwa i geografii wzrośnie; powtóre, iż mieliśmy stały zasiłek z kasy im. Mianowskiego, pokrywajacy niedobory; wreszcie — poczucie obowiązku względem nauki krajowéj.

„Nadzieja nas zawiodła; stały zasiłek okazał się zbyt szczupłym, samo zaś poczucie obowiązku nie wystarcza do pokrycia deficytów. Przyszła chwila, w któréj wypadło postawić sobie pytanie: czy borykać się daléj, czy téż zwinąć czasopismo? Najwygodniéj wprawdzie byłoby zwinąć, lecz jak tu przerywać dzieło, gdy praca

nad zbieraniem materyałów ludoznawczych bardzo daleka jest od ukończenia? Etnografia nasza dopiero się rozwija. Potrzeba nam nie zmniéjszenia, ale raczéj pomnożenia liczby pracowników, gotowych zbierać to wszystko, co składa się na wierny obraz odwiecznéj kultury ludu, która szybko przekształca się i zatraca pod wpływem nowych czynników cywilizacyi.

„Nam nie ustępować, lecz zdwoić siły potrzeba, aby ocalić od zagłady, na pożytek nauki, to, co zasługuje na utrwalenie. Dlatego postanowiliśmy, bądź co bądź, poprowadzić wydawnictwo jeszcze przez rok bieżący. Czasopismo nasze, poczynając od niniéjszego zeszytu, wychodzić będzie o tyle pośpieszniéj, aby zaległości były wyrównane jeszcze przed końcem roku.

„Losy jednak „Wisły" z rąk wiernéj ale zbyt szczupłéj garstki przyjaciół wydawnictwa, składamy teraz w ręce wykształconego ogółu naszego.

„Z uwagi, że przemawiamy w sezonie, poświęconym hippice, niech nam wolno będzie użyć stylu obrazowego i zawiadomić, że całoroczne utrzymanie „Wisły", wraz z honoraryami dla autorów prac, drukujących się tutaj, kosztuje kraj o wiele mniéj od utrzymania jednéj czworonożnéj „Wisły" lub „Lorda", biegających na torze...

„Jeśli się okaże, że w kraju, utrzymującym ich setki, jest choć tyle miejsca na jedną „Wisłę" ludoznawczą, ażeby nie potrzebowała kołatać do dobroczynności publicznéj, wtedy poprowadzimy ją, nie szczędząc i nadal trudów, aby godnie reprezentowała etnograficzny i geograficzny odłam nauki krajowéj. W przeciwnym razie, mimo paruset wiernych odbiorców, będziemy musieli ustąpić ze straconéj placówki.

„Stroniliśmy zawsze od reklamy. Jeśliśmy w tém błądzili, niech te nieco jaskrawe słowa poczytane nam będą za pierwszą, ale i ostatnią reklamę".

Słowa to gorzkie, i co gorsza, najzupełniéj słuszne.

H. Galle.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Z pod prasy.

= Czerwcowy zeszyt **Biblioteki Warszawskiéj** zawiera następujące oryginalne prace: A. Brücknera „Skarby dawnéj poezyi polskiéj", rozbiór spuścizny rękopiśmiennéj po zapomianych poetach wieku XVII, Maryi Konopnickiéj „Juliusz II, nowa książka Juliana Klaczki", dalszy ciąg powieści „Miraże" Mariona, „Kronikę galicyjską" przez U., Stan. Kramsztyka „Stulecie galwanizmu" i dalszy ciąg „Zaczarowanego Koła", baśni dramatycznéj Lucyana Rydla, nagrodzonéj na konkursie im. Paderewskiego (początek aktu III).

= W **Kwartalniku Historycznym** z roku bieżącego, w zeszycie I i II, znajdziemy następujące studya: Antoniego Prochaski „O naprawie Rzeczypospolitéj Ostroroga", Al. Kraushara „Albert Sarmata" (Wojciech Turski), Oswalda Balzera „O zadrudze słowiańskiéj".

= **Przegląd Polski** w zeszycie lipcowym pomiędzy innémi drukuje „Protesilaus i Laodamia" tragedyę modernistyczną Stanisława Wyspiańskiego, Józefa Tretiaka „Puszkin i Rosya", Stanisława Srokowskiego „Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego".

= **Przegląd Powszechny** zamieszcza w lipcu między innemi studyum Józ. Tretiaka „Mickiewicz i Puszkin, jako byroniści", drukowaną również i w naszém piśmie, ks. Józefa Sasa „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III", „Z Capri" Józefa Rustana i rozprawę ks. Jana Nuckowskiego „Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficzném".

= Wyszedł z druku zeszyt III roku II **Przeglądu Filozoficznego**, zawierający prócz działu sprawozdawczego niżéj wymienione rozprawy: Wł. M. Kozłowskiego „Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody (Pełnia i próżnia)", Z. Balickiego „Socyologiczne

podstawy użyteczności", St. Grabskiego „Wstęp do metodologii ekonomii politycznéj", J. Kodisowa „Upadek materyalizmu w nauce", prof. M. Karejewa „A. Comte, jako założyciel socyologii".

= Jako bezpłatny dodatek do **Przeglądu Pedagogicznego**, otrzymaliśmy zeszyt II „Metodyki historyi literatury polskiéj", zawierający w znacznéj części bibliografię zbiorowych wydawnictw i wypisów do historyi literatury polskiéj. Rzecz starannie i szczegółowo opracowana.

= Jednocześnie prof. Chmielowski przygotował dla **Biblioteki dzieł wyborowych** oddawna zapowiadaną „Historyę literatury polskiéj", któréj pierwszy tom opuścił prasę drukarską. Jest to praca źródłowa, oparta na najnowszych wynikach nauki, przedstawiająca w sposób przystępny i barwny obraz naszego rozwoju duchowego od X do końca XVI wieku; dzieło ozdobione wielu ilustracyami. Po ukazaniu się dalszego ciągu téj pracy, podamy o niéj szczegółowe sprawozdanie.

= Taż **Biblioteka dzieł wyborowych**, pod Nr. 88 daje „Wybór poezyi" znanego humorysty Włodz. Zagórskiego (Chochlika). Są to rzeczy dawniéj już znane, bądź filozoficzne, owoc gorzkich doświadczeń wieku, jak np. „Król Salomon", poemat sceptycyzmu i sarkazmu, jak również wesołe i swawolne, jak np. powszechnie znana „Historya patryarchy Noego" lub „Poradnik dla noworodków".

= Inne zeszyty tejże **Biblioteki** zawierają „Pamiętniki Szymona Konopackiego", powieść S. M. Boguskiego p. t. „Wilcze gardła", wreszcie ciekawe „Pamiętniki sierżanta Bourgogne'a o wyprawie do Rosyi w r. 1812", w przekładzie i z przedmową Walerego Przyborowskiego.

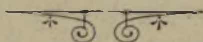
= Ostatnie tomy dodatków bezpłatnych do **Gazety Polskiéj** mieszczą w sobie Klemensa Junoszy „Żywota i spraw Imć Pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro" oraz powieść Wandy Grot-Bęczkowskiéj p. t. „W mieszczańskiém gnieździe".

— Z literatury podróżniczéj mamy do zanotowania drugie wydanie **Na Lagunach** *Stanisława Bełzy*, uskutecznione przez firmę wydawniczą Gebethnera i Wolffa. Wziąwszy sobie za dewizę orzeczenie Byrona o Wenecyi, że „obraz tego miasta jest podobny do snu, a historya jego do romansu", autor opisuje stylem barwnym, obrazowym i w miarę poetyckim to nawodne miasto, jego widoki, mieszkańców, życie, obyczaje i uciechy, nie zapominając również i o historycznéj jego przeszłości. Książkę zdobią liczne ilustracye, starannie odrobione.

— Do tegoż odłamu literatury należy również wykwintna książeczka p. *Jana Narkiewicza-Jodki* p. t. **Ze Wschodu**. Jest to opis podróży po Azyi Mniejszéj aż do Konstantynopola, a raczéj notatek turysty, spisywanych pod bezpośredniém wrażeniem opisywanych miejscowości. Trochę wspomnień historycznych okrasza bezpretensyonalne opowiadanie; książka ozdobiona jest również, jak powyższa, pięknemi ilustracyami ołówka p. Juliana Maszyńskiego.



KRONIKA MIESIĘCZNA.



Ze wsi nadchodzą wiadomości o żniwach. Po słotnych sianokosach rolnicy mają prawo spodziewać się pogody przy sprzęcie zboża. Według ostatnich sprawozdań stan urodzajów w kraju naszym nie jest zły, a gdy go porównamy z tém, co nam opowiadają o południowych guberniach cesarstwa, wyda się nam dobrym.

Gdy wieś przygotowuje się do zbierania plonów, Warszawa cuci się z opałów gorączkowego szału, w jaki ją wprawiła pokusa łatwego zarobku na „placach”. Jak zawsze, tak i tym razem, morały nie zdały się na nic. Kto mógł wkładał w place miejskie grosz jaki taki. Strat, jakie poniesiono w chwili, gdy cena nieruchomości się zachwiała, nie obliczył nikt. Mają być znaczne.

Gra na placach była próbką téj dzisiejszéj niecierpliwości, z jaką ludzkość czyha na zysk, na łatwe powiększenie majątku. Te same pieniądze, które podniecały spekulacyę, użyte w inny sposób, mogły podnieść rzeczywiście Warszawę; puszczone w obieg spekulacyjny, podbijały cenę przesadnie i krążyły bez pożytku dla ogółu.

A mimo to, miasto się rozwija, rośnie, wzbogaca. Naturalne warunki rozkwitu równoważą wszystko Bo téż rzućmy tylko okiem na mapę, a przekonamy się, jak szerokie trzeba zakreślić koło, ażeby napotkać drugi punkt, skupiający w sobie tyle interesów ekonomicznych, tyle naturalnych kierunków dowozu i wywozu, a zarazem tyle czynników życia społecznego i towarzyskiego. Trzebaby sięgnąć aż po Kijów, Odessę, Peszt, Pragę. To téż ci, co ukochali

Warszawę i pragną dla niéj świetnych dni w przyszłości, są wymagający i nie zadowalają się tém, co ona im dziś daje.

W porównaniu z innmi miastami, o równéj liczbie mieszkańców, nie mamy się czém chwalić; w porównaniu z tém, czém Warszawa była, zmienia się w naszych oczach do niepoznania. Zniknęły dawne wyziewy, dawne kurze, dawne bruki. Dawne mieszkanka ciasne i ciemne, do których wchodziło się przez kuchnię po schodach stromych, krętych i wązkich, przeszły w posiadanie najbiedniejszych.

Kto tylko może, stara się o mieszkanie schludne, odpowiadające przepisom hygieny i choćby najskromniejszym wymaganiom komfortu. Inaczéj wygląda dzisiaj wnętrze domu, a z tą zmianą będącą niewątpliwie jedną z ważnych przyczyn drożyzny mieszkań, łączy się tysiąc zmian innych. Ubyło zieleni wśród miasta, ale te ogrody publiczne, które nam wystarczać muszą, o ileż lepiéj utrzymane są dziś niż przed kilkunastu laty. Porządny domek letni pod miastem był jeszcze niedawno rzadkością. Dziś każdy z nas ma między znajomymi kilka rodzin, które pobudowały sobie wille, a między temi nowemi sadybami nie brak i takich, w których pobyt nie jest już rozpaczliwém wygnaniem.

Za lat parę, gdy Warszawa ujrzy swe Towarzystwo Zachęty w nowym gmachu, gdy na Krakowskiém-Przedmieściu stanie hotel, mogący, jak nam obiecują, uczynić zadosyć wymaganiom cywilizowanéj publiczności, gdy Filharmonia da nam salę, w któréj Warszawianin, niewiedzący dotychczas co ze sobą zrobić wieczorem, będzie mógł nareszcie spędzić parę godzin, słuchając muzyki, gdy o elektryczności nie będziemy musieli dowiadywać się dopiéro z „Nauki o rzeczach", lecz gdy ją będziemy mieli na ulicy, wśród nas, jako motor i jako światło, Warszawa będzie mogła naprawdę ująć sobie nietylko przybysza, który polubił ją na niewidziane i przybywa z bijącém sercem, ale i tego, który nie umie kochać bezinteresownie, lecz żąda od miasta, by mu uprzyjemniało pobyt.

Braknie jéj niestety dwóch ponęt, któreby w tych warunkach miało każde wielkie miasto na zachodzie, braknie jéj charakteru architektonicznego i ładnych brzegów rzeki. O ile w jakiemś mieście nie umiano zachować znacznéj liczby pomników dawnego budownictwa, o tyle może ono nabrać pewnego stylu, pewnéj odrębności indywidualnéj, jedynie dzięki monumentalnym budowlom publicznym. Kamienice mogą być wspaniałe, kosztowne, nawet ładne, nie przestają jednak, mimo to wszystko być szablonowemi. U nas, gdzie gmachy publiczne nie powstają prawie wcale, a o ka-

mienicach takich, jak te, co stoją na wiedeńskiéj *Ringstrasse*, marzyć jeszcze trudno, szablon architektoniczny rozpościera się wszechwładnie od rogatek do rogatek. Jest coś rozpaczliwego w koszarowéj monotonności, jaką się odznaczają nowe dzielnice Warszawy, a więc ta właśnie jéj część, w któréj skupia się życie warstw inteligentnych. Jeżeli młode pokolenie rozwinie w sobie jakieś uczucia estetyczne, nie będzie to zaiste zasługą architektów.

Brzegi Wisły to przedmiot, którego nie mogę dotykać bez wielkiego smutku. Kto w Warszawie nigdy nie był, kto wyobraża ją sobie tak, jak mu ją opisują Warszawianie, ten poprostu nie ma pojęcia o tém, co to jest Powiśle. Mimowoli przenosi nad fale naszéj rzeki wspomnienia z Drezna, Petersburga, Pragi Czeskiéj i łudzi się nadzieją ujrzenia czegoś w tym rodzaju. Trudno uwierzyć że brzegi spławnéj rzeki w wielkiém mieście, to kupy śmiecia rozrzucane wiatrem, to kryjówki zarazy, nędzy i zbydlęcenia. W dzień na wybrzeżu pustka; nocą snuje się tam tajemniczy szereg istot ludzkich, nie zachęcających do spotkania.

Pocóż rozdrażniać się napróżno i budzić w sobie żądzę oglądania czegoś, czego może jeszcze i następne pokolenie nie ujrzy. Dzielnica nie ochroniona należycie od wylewów Wisły, połączona w fatalny sposób z innemi częściami miasta, nie nęci do zabudowywania się. A jednak na Mazowszu, tak ubogiém w widoki, jest Powiśle jedyną ozdobą krajobrazu. Kto chce oglądać zachód słońca, kto chce widzieć grę barw i dalekie przestrzenie, kto wreszcie chce miéć widok na Warszawę, a gdy zmierzch zapadnie, zapuszczać z dala wzrok w fantastyczne tajniki Starego Miasta, wznoszącego się amfiteatralnie nad rzeką, ten idzie nad Wisłę. To wszystko byłoby dostępne dla tysiącznych tłumów, słynęłoby w świecie jako ozdoba i urok miasta,—gdyby brzegi Wisły nie były inną osobliwością jako rzadki w świecie przykład zaniedbania.

Skoro już mowa o powabach Wisły, nasuwają się na myśl wycieczki wodą. O jednéj z najpiękniejszych pisały niedawno wiele dzienniki warszawskie, a pisały jak się pokazało niebawem, z powodu omyłki, czy niewiadomości reporterów. Czytaliśmy wszyscy, że zwaliska zamku czerskiego mają być wkrótce sprzedane na licytacyi, czytaliśmy, że się znalazł obywatel z sąsiedztwa, objawiający chęć kupna i cieszyliśmy się, że ten malowniczy zabytek przeszłości nie zaginie do szczętu. Potém czytaliśmy znowu, że źle postępują dziennikarze, dający do gazet wiadomości nieprawdziwe. Ale to wszystko nie rozstrzyga kwestyi. Mury Czerska rozsypują się, baszt ubywa, resztki sklepień zapadają w ziemię. Dziś są to jeszcze

okazałe pozostałości dawnych wieków. Jeżeli tak pójdzie, spotka je los Lanckorony i tylu innych zamczysk.

A niegodzi się przecież, żeby do tego doszło. Nie umiem wyobrazić sobie wielkiego miasta bez śladów obronnego zamku opodal. Są okolice, gdzie zwaliska takie spotyka się co krok. Dodają one wdzięku okolicy, dla młodego pokolenia są otwartą księgą, a dla całego ludu to poszanowanie czegoś, co pozostało po ojcach, jest przykładem umoralniającym. Wandalizm, chęć burzenia, skłonność do pozostawiania wszędzie śladów niszczącéj ręki są to wrodzone rodowi ludzkiemu przywary. Objawiają się one na wsi wycinaniem drzewek przy drogach i tępieniem ptasząt, a w mieście rysowaniem okien sklepowych i struganiem ławek po ogrodach. Są społeczeństwa, w których lud wiejski i gawiedź miéjska już się pozbyły tych narowów, ale przykład poszanowania zabytków dająim tam warstwy oświecone.

Bolesław Prus pisał niedawno o sposobie polemizowania w pismach polskich. Sąd jaki wydał, przypomniał mi się żywo, gdym przeczytał w Nr. 160-ym „Słowa" artykuł p. Hłaski, zagniewanego na moją kronikę miesięczną w majowym zeszycie *Ateneum*.

Cóż było w owéj kronice z maja?

Prasa polska zajmowała się wówczas tak zwaną emigracyą inteligencyi. Pani Orzeszkowa i p. Lutosławski zabierali po kolei głos; zainteresowanie było ogólne.

W Kronice mojéj położyłem główny nacisk na to, że ta cząstka inteligencyi, która opuszcza kraj dla szukania artystycznych czy umysłowych podniet, dla pisania, malowania, czy rzeźbienia wśród warunków odmiennych — jest niesłychanie drobna. Biadać nad nią niema potrzeby zwłaszcza, że ogromny procent téj emigracyi pracuje w łączności z krajem i dla kraju.

Natomiast mamy olbrzymią emigracyę dla zarobku. Inteligencya nasza odpływa szerokim strumieniem na najdalsze krańce wschodu. Jeżeli więc mamy mówić o jakiejś emigracyi, to chyba tylko o téj.

Jeżeli zaś ta emigracya jest szkodliwa, to widocznie istnieje jakaś dysharmonia między warunkami bytu w naszym kraju, a wychowaniem, jakie naszéj młodzieży dajemy. Zastanowić się nad tém trzeba tém sumienniéj, iż wychowywanie jéj odbywa się wśród niedostatku i cierpień, wśród ofiar ze strony rodziny, o chłodzie i głodzie.

Całą sprawę streściłem w pytaniu: Czy większy dla kraju pożytek, gdy młody Polak zostanie rzemieślnikiem w Łodzi, czy też

gdy otrzyma posadę lekarza na dworze emira Buchary? Kto kronikę moją przeczytał, ten wié, jaką mam na to odpowiedź.

Zdawałoby się, że p. Hłasko, chcąc mię przekonać o błędzie, poruszy kwestyę zasadniczą i powié wyraźnie, czy ta emigracya jest według niego objawem dodatnim, czy ujemnym. Zamiast tego zbija on cały szereg twierdzeń, które ze zdumieniem poraz pierwszy w życiu oglądam. A więc przedewszystkiém zbija p. Hłasko, zdanie, iż mamy w Królestwie za dużo uniwersytetów, następnie obala twierdzenie, że mamy za wiele gimnazyów, w dalszym ciągu wykazuje niesłuszność teoryi, że lepiéj być niewykształconym niż wykształconym, potém bardzo trafnie dowodzi, że zamiast zamykać uniwersytety, lepiéj starać się o to, ażeby rzemieślnik w naszym kraju mógł pogodzić swój zawód z wyższym stopniem wykształcenia, a kończy przestrogą, iż nie należy mówić, że mamy za dużo uczonych.

Czytelnik zapyta zapewne, gdzie szanowny mój przeciwnik znalazł owe zbrodnicze twierdzenia. Odpowiem na to, że nie wiem.

Natomiast zwrócić się muszę z jedną uwagą do czytelnika, którego kwestya emigracyi zdołała zainteresować.

Nie łączmy dwóch rzeczy zupełnie różnych. Co innego jest stopień oświaty w jakimś kraju a co innego ilość adwokatów, lekarzy i kandydatów do posad urzędowych. O potrzebę podnoszenia poziomu oświaty powszechnéj nikt się z nikim w naszém społeczeństwie nie sprzecza. Natomiast gdy idzie o wyższe wykształcenie fachowe, każdéj chwili dozwolone jest poruszenie kwestyi, czy nie ma przepełnienia w jednym fachu, a braku w drugim. W Galicyi zauważono naprzykład, że w porównaniu z przerażającemi pustkami w szkołach rolniczych istnieje ogromne przepełnienie na wydziałach prawniczych. Jeszcze wyraźniéj występuje to zjawisko w Grecyi. Oświata ludu stoi tam nisko, a przepełnienie w adwokaturze jest niesłychane. Czyż atoli skonstatowanie tego przepełnienia ma być jakimś grzechem, wobec oświaty ludu. Nikt chyba tego nie powie.

Nie na wszystko, co dolega, można natychmiast znaleść lekarstwo. Ale obowiązek nakazuje społeczeństwu rozumnemu ze wszystkiego, co dolega, zdawać sobie sprawę. By dojść do tego, trzeba mieć odwagę nazwania każdego objawu po imieniu, trzeba umieć panować nad nerwami.

Tad. Smarzewski.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***Wł. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Іюля 1899 года.

Bezpłatny coroczny **52 tomy** Darmo. *dodatek.*